

CO SIĘ ROIŁO W GŁOWIE ZBRODNIARZA?

Awantura o polskie wydanie
„Mein Kampf” Adolfa Hitlera



TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 12/417 22-28 MARCA 2021 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)



Czy należy znieść
konstytucyjną barierę
zadłużania Polski?

JOANNA SIEDLECKA
O DONOSACH
JÓZEFINY PELLEGRINI
DO PRL-OWSKIEJ
BEZPIEKI



Armia USA pełna kobiet?
- czym to się skończy

MURZYN TO JUŻ NIE MURZYN?

Rada Języka Polskiego
szuka poprawnościowego języka
- śledztwo „Do Rzeczy”

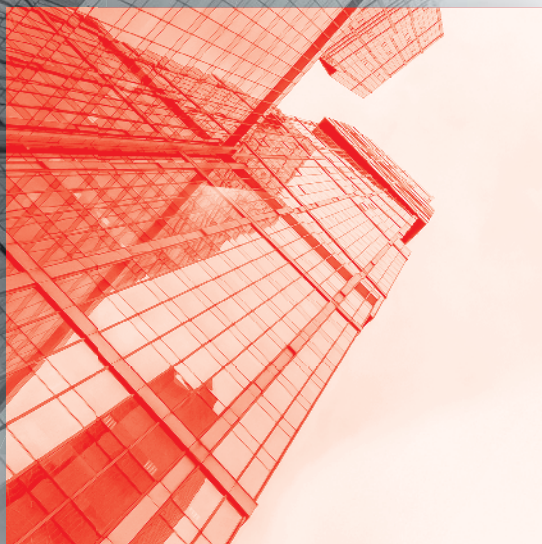


ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład: 57,5 tys. egzemplarzy

2021 rokiem audytu energetycznego przedsiębiorstwa



Czy wykonałeś już **audyt energetyczny**
Twojej firmy? Nie czekaj!
To szansa na **znaczące oszczędności**.

Profesjonalny audyt Twojej firmy
w korzystnej cenie gwarantuje
Energia – Obrót S.A.

➤ **Zamów już dziś na energia.pl/audyt**



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Anatomia mściwej obsesji

Coraz mniej rzeczy mnie oburza, co konstatuję z pewnym niepokojem. Patrzę przeto na kolejne wzmożenia i nagonki organizowane przez liberalnych propagandystów spokojnie i bez emocji, widząc w nich wykonywanie różnego rodzaju ideologicznych i politycznych zleceń. Czasem jednak przesadzają. Czasem opowieści o służbie interesowi publicznemu i dążeniu do prawdy tak mocno kontrastują z faktycznymi działaniami, że nie sposób tego nie nazwać draństwem. Trudno mi wówczas nie odczuwać, powiem to tak, rozdrażnienia. A może wręcz gniewu?

Tak było, kiedy przeczytałem na kilku portalach dzieło wyprodukowane przy Czerskiej i poświęcone kwestii zatrudnienia syna byłej premier Beaty Szydło, byłego księdza Tymoteusza Szydły. Tekst powstał w ramach szerszej kampanii skierowanej przeciw Danielowi Obajtkowi. O ile w przypadku prezesa Orlenu

Syn byłej premier nigdy nie sprawował żadnej funkcji publicznej, nawet w najszerszym tego słowa rozumieniu. Nigdy nie zabrał też publicznie głosu – ja przynajmniej nie znam takiego przykładu. Nie znam jego opinii na żaden temat. Nie pracował na żadnym stanowisku w spółce Skarbu Państwa, nawet na najmniej eksponowanym. Nie słyshałem nigdy o żadnych przywilejach, którymi miałby się cieszyć ze względu na funkcję swojej matki. Jedyne, czego mogłem się o nim dowiedzieć, to to, że dość szybko po wyświęceniu na kapłana porzucił stan duchowny. Rzecz przykra i godna ubolewania, ale prywatna. Można się domyślić, że po takim doświadczeniu człowiek najchętniej zaszyłby się gdzieś w dziurę, schował i próbował odzyskać duchową równowagę. Ma do tego prawo. Jednak nie udaje mu się to. Gdziekolwiek się pojawi, zaraz za nim ciągnie żądna sensacji chmara. Żeby było jasne: jedynym powodem zainteresowania nim mediów jest nazwisko, to, że jest synem nielubianej i zwalczanej przez lewicowe media premier i że pomógł mu po odejściu z kapłaństwa, sądzę, prezes Orlenu. Wielka zbrodnia polega na tym, że w prywatnej firmie, w której Daniel Obajtek ma udziały od 2012 r. (nie większościowie!), pan Szydło został zatrudniony jako... przedstawiciel handlowy zajmujący się sprzedażą folii.

Oto jak wygląda to, co „GW” nazywa śledztwem. Cytuję: „Zadzwoniliśmy do firmy w Bieruniu na podany na jej stronie numer telefonu, odebrał syn Szydło. Gdy się przedstawiiliśmy, zapytał, czy chcemy kupić jeden z produktów firmy. – Od kiedy pan tu pracuje? – zapytałem.

– Nie wiem, skąd ma pan tego typu informacje, ale zajmuję

się tylko sprawami związanymi z pracą – odpowiedział.

Do bieruńskiej firmy wysłaliśmy pytania w sprawie Tymoteusza Szydły. Chcieliśmy wiedzieć, od kiedy jest z nią związany i czym się zajmuje. Co sprawiło, że znalazł tu zajęcie? Odpowiedzi nie dostaliśmy”.

Straszne, nieprawdaz? „GW” (lub OKO.press.pl, bo nie wiem, kto pierwszy do tego dotarł) ma kolejny dowód na łamanie konstytucji i panujący krwawy reżim.

Ana poważnie: cała ta rozmowa i to rzekome śledztwo to nic innego, jak forma nękania i prześladowania. Czy syn byłej premier nie ma prawa pracować? Czy nie ma prawa ułożyć sobie życia? Czy nie może zachować milczenia? W przeciwieństwie do wielu durnych celebrytów były ksiądz robi wszystko, byle zachować prywatność. Jak rozumiem, nawet zmienił nazwisko – co zresztą „GW” wytropiła i publicznie pokazała, wskazując nazwę firmy i stanowisko.

To tylko jeden z wielu przykładów pokazujących, jak bardzo zmieniła się rola współczesnych mediów. Dziennikarze zamieniają się na role z naganiaczami, którzy bez żadnych skrupułów gnębią przeciwnika. W tej rozgrywce były ksiądz jest tylko narzędziem – atakuje się go, by uderzyć w matkę i, oczywiście, w polityków PiS. Swoją drogą żyjemy naprawdę w strasznym reżimie autorytarnym, w którym największym przywilejem syna byłej premier jest możliwość handlu foliami w Bieruniu. Z całym szacunkiem dla tej miejscowości i firmy nie sądzę, że chciałby się tam zatrudnić, nawet na krótko, jakkolwiek przedstawiciel gazetowych śledczych. ©©

RYСУNEK TYGODNIA



dziennikarze mogą powołać się jednak na interes publiczny, o tyle włączenie do tej opowieści pana Szydły mogą uznać jedynie za przejaw chorobliwej zemsty i obsesji.



TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI

SPRAWA „MURZYNA”

Język kształtujący przyszłość

18 GRZEGORZ KUCHARCZYK

CZARNI WIKINGOWIE

NA GRENLANDII I W KANADZIE

KRAJ

20 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PRZYCZÓŁEK DO REAKTYWACJI

Przyszłość Pawła Kukiza

22 ROZMOWA Z TOMASZEM RZYMKOWSKIM

CZAS WOLNOŚCIOWCÓW

24 PIOTR SEMKA

NA WSCHODZIE BEZ ZMIAN

28 MACIEJ PIECZYŃSKI

TĘCZA OBRAŻA

30 ROZMOWA Z JADWIGĄ EMILEWICZ

**KOBIETY CZUJĄ SIĘ
OSAMOTNIONE**

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

ZMIANA EKRANU

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK

UPADEK NOWEGO LONDYNU

Klasyka antyutopia na małym ekranie

38 ELŻBIETA MORAWIEC

CZUŁOŚĆ I „WYDRAŻENI LUDZIE”

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ŁUKASZ WARZECHA

ILE WYTRZYMAMY

Rok z pandemią:
Polska czy Szwecja

48 JAN FIEDORCZUK

DYSKRETNY UROK TVP

50 ROBERT WYROSTKIEWICZ

AMAZON Z DODATKIEM

HISTORIA

52 KRZYSZTOF MASŁOŃ

BĘDĘ CIĘ ZABIJAŁ ZAWSZE I WSZĘDZIE
„Mein Kampf” po polsku

ŚWIAT

58 ROZMOWA

Z PROF. VAKHTANGIEM MAISAIA

ROMANS PEKINU Z MOSKWĄ

Druza zimna wojna

60 TERESA STYLIŃSKA

GIORGIA I JEJ BRACIA

62 PIOTR WŁOCZYK

SEKSMISJA W US ARMY

EKONOMIA

64 ŁUKASZ ZBORALSKI

BANKOWE

CZEKANIE NA GODOTĄ

Balast frankowych kredytów

66 PAWEŁ SZAŁAMACHA

PRAWO NA TRUDNY CZAS

Czy należy znieść konstytucyjną
barierę zadłużania Polski

68 JACEK PRZYBYLSKI

SAMOCZODY NA WODÓR

KONTRA ELEKTRYKI NA BATERIE

72 WOJCIECH NAGEL

POPRAWIĆ SYSTEM

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ

LEK ZNACZY ŻYCIE

Coraz młodsze osoby ze szpiczakiem

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Niedouczone pokolenie”, Łukasz Zboralski, „DRz” 9/2021

Szanowni Państwo, przede wszystkim bardzo dziękuję, że zarówno autor artykułu „Niedouczone pokolenie”, jak i redakcja podejmując temat edukacji w czasach pandemii. Z niedowierzaniem przyglądam się reakcjom, a w zasadzie ich brakowi, na niewyobrażalną krzywdę, jaką wyrządza się najmłodszej części naszego społeczeństwa. Brak właściwego balansu w wazieniu „zysków i strat” na szali ludzi starszych z jednej strony, a dzieci i młodzieży z drugiej jest tak wyraźny, że aż szokujący. Pisali Państwo w jednym z wcześniejszych wydań o jakże różnym podejściu do tej kwestii w poszczególnych krajach UE. My dla odmiany stanowiliśmy chyba światową awangardę, stosując w tym samym czasie tzw. godziny dla seniorów oraz wprowadzając jednocześnie zakaz samodzielnego przemieszczania się osób poniżej 16. roku życia.



Krzywdą, o której piszę, nie polega tylko na braku ciągłości w procesie edukacyjnym i obniżeniu kompetencji w dziedzinie poszczególnych przedmiotów. To jest bodajże najmniejszy problem. O wiele większe spustoszenie dokonano się na poziomie psychicznym. Starsze pokolenia pokazały, że młodzi liczą się najmniej. Wszelkie nauki na temat solidarności społecznej wzięły w łeb. Propaganda reżimu sanitarnego nauczyła młode pokolenie jednego: fałszywej troski o innych, a tak

naprawdę, że liczę się tylko JA, tylko partykularne interesy.

[...] W jednym z ostatnich numerów „Do Rzeczy” pojawił się artykuł opatrzone pytaniem: „Czy Polska może być mocarstwem?”. Tekstu nie czytałem, ale znam odpowiedź: Nie, nie może. Mocarstwa, przynajmniej te, które mogą przetrwać dłużej niż jedną rewolucję lub światowy kryzys, tworzą społeczeństwa wysoce zorganizowane, w których system edukacji uczy nie tylko rywalizacji, lecz także tego, jak wspólnie pokonywać wszelkiego rodzaju kryzysy.

Dariusz Leszczyński

Krzyk dzieci

Nie wiem, dokąd zwrócić się z pytaniami o temat dzieci w „pandemii”, temat zdalnych „szkół”, zdalnych relacji rówieśniczych, zdalnej akceptacji, zdalnego sprawowania wiedzy i zdalnego wsparcia... Wasza gazeta jest jedną z niewielu, gdzie temat ten nie jest przemilczany ani zapomniany, dlatego postanowiłam spróbować jeszcze z Waszymi czytelnikami podzielić się moimi przemyśleniami. Jestem psychologiem i psychoterapeutą, mam dwojga dzieci w wieku szkolnym. Od 15 lat pracuję z dziećmi i młodzieżą i zauważam w ostatnim czasie „pandemiczny” zjawisko, które nazywam „gaśnięciem” dzieci. Nie krzyczą o tym telewizje, radio i gazety głównego nurtu, nikt nie wychodzi z tego powodu na ulice z transparentami, a DZIECI – ta najbliższa grupa społeczna (z punktu widzenia możliwości zmiany własnej sytuacji) – powoli oddalają się od rzeczywistości, zapadnięte w swoje łóżka/fotele/krzesełka, przykute do laptopów, bez ruchu, bez celu, bez sensu... Dla dzieci perspektywa, że kiedyś to minie, że kiedyś epidemia się skończy, jest tak abstrakcyjna, iż nie zdoła poprawić ich coraz bardziej depresyjnego nastroju. Ich życie, najważniejsze jego momenty są tu i teraz – to w szkole, wśród rówieśników, ale i nauczycieli budują swoją tożsamość, indywidualność, przeglądają się w innych jak w lustrze, które potem będzie kształtowało ich wartości. Czy naprawdę nikt nie słyszy ich krzyku!!!! To są miesiąc izolacji – dla młodych to jak lata dla osoby dorosłej – jak mają to udźwignąć? No nie dźwigają już... Widzę to w swoim gabinecie, w swoim domu. Gazeto, krzyczcie w imieniu dzieci! Niech wrócą do szkoły!

Sonia Skrętkowska



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemiakiewicz

Stali współpracownicy i feletoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Bruksela),
Tomasz Łukiewicz, Krzysztof Czałajski, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik,
Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pleczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwed Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Włoczyk, Jakub Wozniński,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje: **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak**
(zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska,**
Małgorzata Puzry, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk, Paweł Zdziarski

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Jakub Tański,**
Jacek Nadratowski, Włodzisław Zakrzewski
Fotograf: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Kruszyński**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Sunday/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Ilona Weiss, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@dorzeczy.pl; tel.: 539 953 631; **Monika Doros**, tel.: 508 040 664

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 57,5 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Poza Sejmem też jest życie

Trochę niezręcznie komentować wystąpienie w Sejmie felietonisty „Do Rzeczy”, ale przemówienie Marka Jurka z 17 marca odbiło się stanowczo zbyt małym echem w mediach. Były marszałek Sejmu występował jako pełnomocnik komitetu zbierającego podpisy pod projektem „Tak dla życia, nie dla gender”. Mimo niełatwego czasu pandemii wolontariusze związani z Chrześcijańskim Kongresem Społecznym Marka Jurka oraz fundacją Ordo Iuris zebrali ponad 150 tys. podpisów pod ważną społeczną inicjatywą sejmową.

Chodzi o wypowiedzenie przez prezydenta RP konwencji stambulskiej, którą przyjęła Platforma za rządów Ewy Kopacz, a której PiS – mimo ponad pięciu lat posiadania większości w Sejmie i życzliwej sobie głowy państwa – wciąż nie wypowiedział. Zebrane podpisy pod projektem ustaw wzywają rząd do opracowania międzynarodowej konwencji praw rodziny.

– Ani wprowadzenie tej konwencji, ani jej wypowiedzenie nie zmieni żadnego przepisu Kodeksu karnego [...]. Wypowiedzenie tej konwencji chroni nas jedynie przed

tym, co ona tak naprawdę wnosi [...], przed ideologią gender – mówił Marek Jurek, przedstawiając projekt. Jak dodał, chce, aby przyjęciu tej ustawy towarzyszyło jednocześnie zawarcie „narodowego porozumienia antyprzemocowego”.

Violetta Porowska (PiS) w imieniu swego klubu opowiedziała się za skierowaniem projektu do sejmowej komisji. Wskazywała, że polskie przepisy spełniają już obecnie standardy wymagane przy zwalczaniu przemocy.

Zdecydowanie za odrzuceniem projektu w pierwszym czytaniu odpowiedziały się kluby KO i Lewicy oraz koło Polska 2050. – Ten projekt opiera się na kłamstwie, strachu, homofobii, dyskryminacji i nierówności – mówiła Monika Rosa (KO). Wanda Nowicka (Lewica) zaznaczyła, że „wszyscy wiemy, iż projekt tak naprawdę nie jest inicjatywą obywatelską”. – To przede wszystkim inicjatywa fanatyków z Ordo Iuris, inspirowana przez polityków Zjednoczonej Prawicy – oceniła.

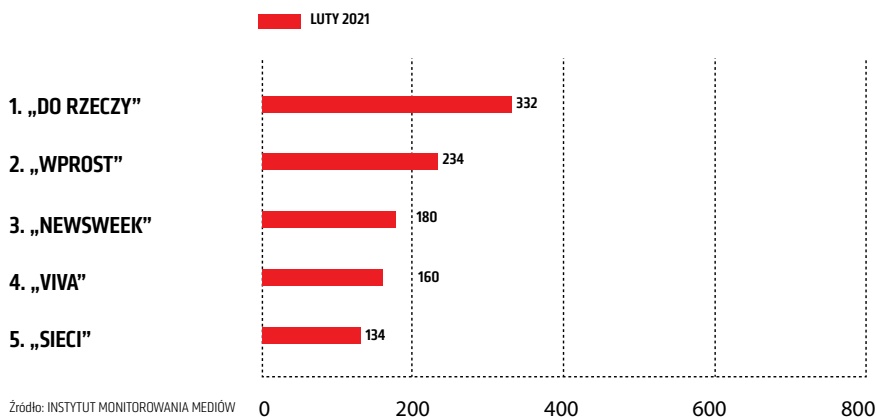
W związku ze zgłoszonymi w debacie wnioskami Sejm w głosowaniach – zapewne 30 marca – rozstrzygnie, czy projekt trafi do dalszych prac w komisji.

Dlaczego wystąpienie Marka Jurka mogło zrobić tak silne wrażenie? Jak się okazuje, ważne jest nie tylko to, co się mówi, lecz także to, kto to mówi. Marek Jurek jest wiarygodny, bo od 2007 r. płaci polityczną cenę za zderzenie z Jarosławem Kaczyńskim w kwestii poważnego traktowania ludzkiego życia. Teraz zaprezentował w Sejmie głos tych polskich katolików, którzy mają siłę i wolę, by korzystać z instytucji demokracji.

W ich imieniu, w nie najlepszym stylu, próbowała występować Kaja Godek, której zabrakło wyczucia i doświadczenia politycznego. Podobnie niespecjalnie udało się to Konfederacji, która w chwilach politycznych przesileń płacze się o własne sznurowadła.

Jeśli konserwatywna katolicka opinia publiczna przygotowywać się chce na „wahnięcie w lewo” i administracyjne sposoby walki z prawami ludzi wierzących, to takie inicjatywy jak „Tak dla życia, nie dla gender” winny być traktowane z najwyższą uwagą. Skala agresji wobec Marka Jurka z ław lewicy pokazuje zaś, że obóz progresywny doskonale to wyczuwa. © ©

Najbardziej opiniotwórcze TYGODNIKI I DWUTYGODNIKI



Źródło: INSTYTUT MONITOROWANIA MEDIÓW

„DO RZECZY” NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE

W lutym 2021 r. „Do Rzeczy” zajęło pierwsze miejsce wśród najbardziej opiniotwórczych tygodników i dwutygodników w Polsce. Według Instytutu Monitorowania Mediów na „Do Rzeczy” powoływano się aż 332 razy. Drugie miejsce w zestawieniu zajął tygodnik „Wprost”, a trzecie „Newsweek”. Wśród wszystkich mediów w Polsce najczęściej cytowano Onet (5831), RMF FM (4153) oraz TVN24 (2622). (jap) © ©



INSTYTUT WSPÓŁPRACY POLSKO- WĘGIERSKIEJ

IM. WACŁAWA FELCZAKA

Boldog
Lengyel–Magyar
barátság napját!
**Szczęśliwego
Dnia Przyjaźni
Polsko-Węgierskiej!***

Uniwersytet Letni – Szkoła Liderów na Zamku w Kraszynie

Co roku na Podkarpaciu ok. pół tysiąca studentów z Polski i Węgier bierze udział w wykładach oraz dyskusjach o najważniejszych wyzwaniach, przed którymi stoją Polska, Węgry, Europa Środkowa, UE i NATO. Młodzi uczestniczą w zajęciach sportowych, projekcjach filmów, koncertach i... odnajdują miłość swego życia.



Portal www.kurier.plus

Dostępna w języku polskim, węgierskim i angielskim strona www.kurier.plus to źródło najnowszych wiadomości m.in. ze świata polityki, gospodarki i kultury. Na jej łamach publikowane są również unikalne politologiczne i historyczne analizy. Zachęcamy do regularnej lektury i prenumeraty newslettera.



Klub F

Dyskusje z czołowymi politykami i ekspertami na temat najważniejszych wydarzeń na Węgrzech oraz w Polsce. Np. w marcu o przyczynach sukcesu węgierskiej polityki prorodzinnej mówiła minister Katalin Novák, a w grudniu nie tylko o polityce opowiadała węgierska minister sprawiedliwości Judit Varga.

Archiwalne spotkania można obejrzeć na portalu www.kurier.plus i na kanale YouTube Instytutu Felczaka.

Karpacki Rajd Kurierów im. Wacława Felczaka

Etapowy, szosowy wyścig rozgrywany na terenie Polski, Słowacji i Węgier. To najwyższej punktowany (2.2U) w Europie przez Międzynarodową Unię Kolarską UCI wyścig w kategorii młodzików do lat 23. W tym roku odbędzie się jego kolejna edycja.



* 23 marca z inicjatywy Prezydenta Lecha Kaczyńskiego został ustanowiony Dniem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej przez uchwały Parlamentów obydwu państw w 2007 r.

Instytut Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka
02-616 Warszawa, ul. Seweryna Goszczyńskiego 12. Tel. +48 22 845 08 52
www.kurier.plus

eprasa.pl 126e0fb246



„Atlas Wyszehradzki”

to wspólne dzieło dwóch instytucji – Instytutu Współpracy Polsko-Węgierskiej im. Wacława Felczaka oraz Polskiego Towarzystwa Geograficznego – wydane na trzydziestelecie współpracy wyszehradzkiej. Monografia składa się z 50 rozdziałów w języku polskim i angielskim przygotowanych przez grono ponad 40 autorów, kartografów i redaktorów, pracowników PAN i czołowych polskich uniwersytetów. Prezentowane są w nim różne zagadnienia społeczne, ekonomiczne, przyrodnicze, ale także historyczne i geopolityczne. Więcej informacji i formularz zamówienia na www.kurier.plus.

Języki Bratanków

Prowadzimy naukę języka węgierskiego w polskich liceach i języka polskiego w szkołach na Węgrzech. Czekamy na dalszych zainteresowanych i zachęcamy również do zdalnej, bezpłatnej nauki węgierskiego. Kurs dostępny na portalu www.kurier.plus.



RAFAŁ A.
ZIEMIAKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Trybunał szokuje

Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej znów zawiódł „obóz demokratyczny”, jak się zwykła ostatnio nazywać opozycja – odnotujemy, że jednocześnie obraża się za nazywanie jej „opozycją totalną”, choć i tę nazwę kiedyś nadała sobie sama. Cóż, pamiętam czasy, kiedy Adam Michnik nazywał sam siebie „lewicą laicką”, i pamiętam, jak mówił, że kto go tak nazywa, ten świnią. Sapienti sat.

Wróćmy do TSUE: wyrok, w którym za jednym zamachem uznał on, że Komisja Europejska nie ma prawa blokować wprowadzenia w Polsce podatku od hipermarketów i że węgierski podatek od reklam nie jest sprzeczny z prawem wspólnotowym, musi boleć, tym bardziej że tym razem TSUE orzekał w granicach swoich

traktatowych kompetencji, więc nie sposób tego orzeczenia podważyć ani zbagatelizować.

Co zaś z niego wynika? Z pierwszego, czyli podatku od hipermarketów, taki drobniaczek, że Komisja Europejska nie jest, jak wmawia nam „proeuropejska” opozycja, nieomylna. Co więcej, z uzasadnienia wyroku można wnioskować, że upór, z jakim starała się zablokować opodatkowanie w Polsce marketów (wspomniany wyrok jest już drugim, od pierwszego, identycznego, KE się odwołała – ten zamyka sprawę), płynął po prostu z chęci popierania swoich zachodnioeuropejskich firm, kosztem interesów nowych państw członkowskich i głoszonej jako fundamentalna wartość Wspólnoty „solidarności europejskiej”. Po prawdzie, dla nikogo, kto śledzi europejską

politykę, nie jest tajemnicą, że propaganda sobie, a neokolonialna praktyka sobie już od dawna. Ale „proeuropejska” opozycja zawsze temu przeczyła.

Co do podatku od reklam natomiast, to przecież miał on być według opozycji sposobem likwidacji „wolnych mediów”. Może zresztą i jest, ale w takim razie ich likwidacja okazuje się zgodna z prawem i wartościami Unii, na które najusilniej się prota-goniści akcji „media bez wyboru” powoływali.

Strach pomyśleć: KE może popierać nieuczciwą konkurencję firm „starej” Unii przeciwko „nowej”, a „antydemokratyczne” posunięcia „populistów” zgodne są z duchem jej praw... Jak mówią w moim ulubionym britkomie: „Do czego to doprowadzi?” ©©



MAREK JUREK

OD POZACZĄTKU

Za dużo Mszy?

Jednym z najpiękniejszych aktów polskiego katolicyzmu w obecnym smutnym czasie było – szeroko podjęte w parafiach – zalecenie naszych biskupów, by w momencie pojawienia się pandemii, gdy zaczynała się narodowa kwarantanna, odprawiać jak najwięcej Mszy Świętych.

To była najlepsza „pozytywna” odpowiedź na pretensję, że w kościołach może gromadzić się za dużo osób. Skutkująca (niezależnie od przymusowo ograniczonej frekwencji) jeszcze większą modlitwą, przy zwiększeniu również ostrożności sanitarnej. Każda Msza niesie bowiem owoce Odkupienia. W ten sposób to, co miało ograniczyć życie Kościoła,

w pewnym sensie przyczyniło się do jego rozszerzenia.

Zawsze robił na mnie wrażenie porządek dnia w „Zapiskach więziennych” kard. Wyszyńskiego: „5.45 Modlitwy poranne i rozmyślanie. 6.15 Msza Święta księdza Stanisława. 7.00 Moja Msza Święta” itd. Teolodzy piszą bowiem, że niezależnie od intencji Mszy i od zawartych w niej owoców Odkupienia, każda Msza niesie też owoce duchowe dla samego kapłana.

Tym bardziej zaskoczyła mnie, tak jak wielu innych katolików, decyzja, by (w samym środku pandemii) w bazylice św. Piotra zakazać licznych celebracji indywidualnych poza ściśle określonym i ograniczonym porządkiem nabożeństw. Składana nieustan-

nie ofiara Mszy przez księży pielgrzymów – u św. Piotra, w innych wielkich bazylikach rzymskich, na Jasnej Górze, w Brompton Oratory – była (i na szczęście jest) przepięknym świadectwem katolickiej wiary w Ofiarę Eucharystyczną. Również konstytucja „Sacrosanctum concilium” mówi jasno, że każdy „kapłan ma prawo odprawiać Mszę Świętą osobno, byle nie równocześnie z koncelebrą”. Totalny zakaz indywidualnego odprawiania Mszy w San Pietro, właśnie tam, gdzie konstytucja ta była ogłaszana, musi więc budzić poważne zdziwienie. Z perspektywy pandemicznej oczywiście również, ale nawet jeszcze bardziej z – potocznie mówiąc – soborowej. ©©



PIOTR KOWALCZYK
Z RYZMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Kowal zawinił, tłumacza powiesili

Ze wszech miar słuszną walką z rasizmem przybiera formy absurdałne, bardziej szkodzące niż pomagające sprawie, bo rasistowskie.

Młoda 23-letnia Afroamerykanka (Może tak być? – pytam Rady Języka Polskiego, która przepędziła „Murzyna”) poetka Amanda Gorman zdobyła światową sławę, recytując swój poemat „Wzgórze, które zdobywamy” podczas inauguracji prezydenta Bidena.

jest młodą, czarną kobietą, aktywistką walki z rasizmem. Nie jest jasne, czy zastrzeżenia zgłosiła autorka czy jej wydawcy. W każdym razie wynika z tego jasno, że tylko takie osoby mogą dostąpić zaszczytu przekładania Amandy Gorman. Poetka musiała słyszeć o tym kretynstwie, bo donosiły o tym wszystkie najważniejsze amerykańskie media. Ale milczy, choć w swoim pamflocie napisała: „Walczyliśmy o jedność. Nasz cel to zbudowanie kraju ludzi wszystkich kultur, kolorów, charakterów i uwarunkowań”.

Ciekawym, czy wydawnictwu Univers uda się znaleźć czarnoskórą, młodą aktywistkę, która będzie w stanie godnie przełożyć utwór z angielskiego na kataloński. Prawidłowy profil ideologiczno-płciowo-rasowy kongenialnego przekładu nie gwarantuje.

Jak chce stary żart, w Moskwie w czasach odwilży Chruszczowa otworzono lokal ze striptizem. Początkowo waliły tundy, ale po pewnym czasie goście przestali się pojawiać. Zwołano zebranie aktywów partyjnego, który sprawdził wszystko: serwowane potrawy, uprzejmość obsługi, oświetlenie, zespół muzyczny i konferansjera. Wszystko pierwszy sort. W końcu ktoś nieśmiało zapytał o striptizerkę. I usłyszał, że do kobiety nie można mieć żadnych zastrzeżeń, bo jest towarzyszką sprawdzoną. Posiada legitymację partii bolszewickiej wydaną w 1903 r. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ĆWIERKOT

Sławomir Jastrzębowski

Deklaracje wywołujące perturbacje

Strach coś napisać, bo zaraz skrytykują.

Weźmy takiego prezydenta Warszawy Rafała Trzaskowskiego. Na Twitterze zamieścił dokument z czasów, gdy lat miał 18. Jako uczeń stołecznego liceum przystąpił do Międzyszkolnego Komitetu Solidarności i teraz skomentował to następująco: „W przeciwieństwie do premiera Morawieckiego, nie obaliliśmy »komuny« sami, ale na ile mogliśmy, wzięliśmy sprawy w swoje ręce”. Cóż, komentatorzy nie byli raczej łaskawi dla tej uszczypliwości. Ci delikatniejsi przypominali tekst „Gazety Polskiej” o matce Rafała Trzaskowskiego, której zarzucano współpracę z SB pod pseudonimem TW Justyna. Ci mniej delikatni sztydziłi, że w 1990 r. (taką datę ma dokument) walka z komuną w Polsce była poniekąd bezprzedmiotowa. No bo skąd komuna w 1990 r.? Inni jeszcze wspomnieli, że Morawieckiego esbecy jednak za prawdziwej komuny wywieźli do lasu i kazali kopać grób, więc temat do żartów raczej mało zabawny...

Pani prof. Krystynie Pawłowicz przyznać należy, że ma swój styl na TT. Niełatwo go uchwycić definicją, nazwałbym go jednak zdecydowanie nazbyt wyrazistym. Pewne jest jedno, wpisy pani profesor, choćby lapidarne, szeeeroko są komentowane. Kiedy niedawno krzyczał w niej zaciekle krytyk telewizyjny, napisała: „Kto ogląda TVN, to wiadomo bez badań, że jest głupi...”. Na pytanie, jak skomentować widzów TVP, odpowiedziała: „Mądrzy”. Cóż i w tym przypadku komentatorzy raczej nie byli łaskawi dla tej uszczypliwości. Nasłuchiwała się pani profesor, oj nasłuchiwała, ale patrząc na historię jej wpisów, raczej nie było to dla niej zaskoczenie.

Trochę to smutne, ale komentarzogenne, gdy prezydent najpotężniejszego mocarstwa na świecie, Joe Biden, okazuje się człowiekiem jednocześnie niemłodym, a naiwnym. Jego niby-szlachetne opowieści o prawie otwartej dla nielegalnych imigrantów południowej granicy USA skończyły się podrzuceniem do Stanów ponad 4 tys. dzieci bez rodziców, z którymi niby-szlachetny Biden nie bardzo wie, co ma teraz zrobić, a dzieci przybywa. W związku z tym prezydent USA ogłosił: „Nie przybywajcie!”. Raczej średnio słuchany będzie ten apel, natomiast czytane są komentarze do działań tego gołębiowłosego, pozbawionego wyobraźni przywódcy. Króluje określenie „naiwniak”. ©

Różnorodność!!!



Wydawnictwo Univers w Barcelonie powierzyło tłumaczenie utworu na kataloński Victorowi Obiolowski, który przekładał m.in. Szekspira i Oscara Wilde’a.

Kiedy oddał tłumaczenie, dowiedział się, że honorarium otrzyma, ale przekład się nie ukaze. Zastrzeżenia zgłosiła strona amerykańska. Chodziło o to, że pan Obiols nie

ALE JAJA!

Gwiazdor disco polo Marcin Miller uznał, że nie ma sensu czekać na czas, gdy znów będzie mógł koncertować i spróbował podreperować budżet w inny sposób. Poinformował, że zamierza wkrótce uruchomić hurtownię jaj na Warmii i Podlasiu. „Mam znajomych, którzy mają dwie największe fermy kur niosek w Polsce i dysponują dużym asortymentem jaj. Już zapowiedzieli, że bardzo mi pomogą i dadzą dobrą cenę. Więc skoro jest możliwość, to dlaczego mam z tego nie skorzystać?” – pytał retorycznie w rozmowie z „Faktem”. Dodał, że zamierza samodzielnie doglądać nowego biznesu. „Początkowo będę miał dwoje pracowników, ale będę im pomagał. Będę doglądał, będę przyjeżdżał, może coś będzie trzeba pomóc pakować, to też pomogę. Ja jestem człowiek czynu” – podkreślił. Wiadomo, pańskie oko konia tuczy. A kury tym bardziej!

PO PROSTU VIOLA

Viola Kołakowska, naczelna koronosceptyczka w show-biznesie (tytuł ten dzierży wspólnie z Edzią Górniak), uznała, że wokalista Andrzej Piaseczny „Piasek” udaje, że ma COVID-19. Serio, napisała, że „Piasek” ściemnia, iż został zakażony i że trafił do szpitala, gdzie jest mu podawany tlen. „Piasek” poinformował o chorobie na wrzucanym do sieci ku przestrodze filmiku. – Też myślałem, że przejdę do wszystkiego spacerkiem, ale po 10 dniach chorowania w domu musiałem znaleźć się tutaj – tłumaczył wokalista. – Bardzo przepraszam wszystkich, z którymi miałem spotkać się na koncertach, ale to przecież wszystko wróci. Bądźcie zdrowi i trzymajcie się zasad bezpieczeństwa i higieny – apelował, dziękując jednocześnie personelowi szpitalnemu, który „z pasją i zaangażowaniem się nim zajmuje”. I wtedy właśnie odezwała się niezawodna Viola z teorią, że ktoś musiał „Piaskowi” za ten filmik zapłacić. – Cóż to jest za żenada. Kiepski aktor z ciebie, Andrzej, naprawdę zły... Co to jest za obrzydliwa propaganda... Do czego się posunął? Co za to dostajesz? – pyta celebrytka na swoim Instagramie.

Nie napiszemy, że to jej najgłupszy wpis ever, bo znając możliwości Violi, wiemy, że jeszcze nieraz nas zaskoczy. Niestety.



FOT. TOMASZ URBANEK/ODTYNWEAST NEWS



FOT. ANIELA CICHOMADA

CIERPIENIA GWIAZD

Kinga Rusin jest załamana sytuacją polityczną w Polsce. Konkretnie – Nowym Ładem, który ma zaprezentować partia rządząca. I nie byłoby w tym nic nowego, ale tym razem postanowiła poinformować o tym świat w dramatycznym wpisie na Instagramie. „Gdy na chwilę próbujesz zapomnieć o tym, że złodzieje, kłamcy i podpalacze wprowadzają w Twój kraj »nowy ład«...” – napisała, zamieszczając swoje upozowane zdjęcie na słonecznej plaży na Malediwach. Bo jak cierpieć, to tylko tam!

CIĘŻKIE ŻYCIE

Wie coś o tym aktorka Sonia Bohosiewicz, która także przebywa, co za przypadek, na Malediwach. Tam zastała ją informacja o kolejnych wprowadzanych w Polsce obostrzeniach. Bohosiewicz zmartwiła się bardzo perspektywą zamykania teatrów i swoim zmartwieniem postanowiła podzielić się ze światem na Instagramie oczywiście. „Właśnie ogłoszono lockdown. Znowu moje wyczekiwane 4 spektakle odwołane... Niby raj, a w głowie kłębek zmęczonych już myśli. A może tak by tu zostać?” – napisała w akcie rozpacz, dodając do tego piękne zdjęcie, na którym pływa sobie w błękitnym morzu. Człowiek dopóty, dopóki nie wejdzie na plotkarskie portale, nie zdaje sobie nawet sprawy, ile ludzkich dramatów wokół!

NIE MATURA, LECZ CHĘĆ SZCZERA

Tymczasem syn Edyty Górniak będzie w tym roku zdawał maturę. Na tę okoliczność „Fakt” odpytał gwiazdę, która sama egzaminu dojrzałości nie posiada, czy będzie wspierać i zachęcać syna, by do matury podszedł.

„Obecnie są takie czasy, że ten egzamin nie daje gwarancji niczego. Nie jest oceną człowieczeństwa, faktycznej wiedzy. Ja nie przystąpiłam do matury. W roku, w którym miałam to zrobić, pracowałam już w Nowym Jorku na Broadwayu i ominął mnie ten czas” – wspomina wokalistka. Dodała, że synowi zostawiła jednak wolny wybór. „Powiedziałam mu: »Synku, to jest twoja sprawa, czy chcesz mieć tę maturę. Dla mnie to nie ma znaczenia«” – relacjonuje Górniak. I dodaje: „Dla mnie ten kawałek papierka nie jest do niczego potrzebny. Życie pokazało, że jeśli jest się pracowitą i zdyscyplinowaną osobą, to w dobie dzisiejszego Internetu można uzupełnić tę wiedzę. Kiedyś były inne czasy”. Nagadała się Edzia o nikłych pożytkach z matury, a jej syn i tak postanowił ją zdawać. Taki cios! ©©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, na Facebooku robi furorę wpis Rafała Trzaskowskiego, iż dołączając w 1990 roku do Solidarności, przyczynił się do obalenia komuny.

Oczywiście zawistne prawactwo rozpoczęło kampanię shamingu wobec Rafała, że dołączył za późno, nie miał wpływu, to nic nie znaczy itp.

rząd się nieco sam oszukał i pewnie nie wziął poniższych aspektów pod uwagę, kiedy zdecydował, że osobodzieci mają siedzieć przed Teamsami.

Otóż, jak wiadomo, polska szkoła jest siedliskiem czegoś gorszego niż koronawirusoosoba, a więc jest siedliskiem potencjalnego patriotyzmu, nietolerancji, rasizmu i ksenofobii,

Celowo nie używamy słów „wychowanie” – iż to fashysm, oraz „ukształtowanie” – iż kształtowanie zakłada dopasowanie się do pewnych kształtów, a to oczywiście podważa autonomię jednostki i jej prawo do samostanowienia!

Wiadomo, Kraków – odważne performance’u tu u nas nie przejdą. A działa się, działa. Otóż w bazylice Mariackiej, a więc wyniosłym symbolu katofashystofskiej dominacji nad tkanką miejską Krakowa, doszło do próby przeciwstawienia się opresji ze strony Kościoła w tym kraju.

Jakaś młoda waginoosoba rozebrała się w czasie mszy i opluła księdza. Gdyby zrobiła coś takiego w muzeum sztuki nowoczesnej, to być może usłyszy jej to na sucho albo może dostałaby jakieś stypendium (of kors księży nie chodzą do takich muzeów xD musiałby go zastąpić inny performer), a tak, niestety, nieobeznany z ideą walki o prawa kobiet oraz poważnymi środkami ekspresji aparat państwowej przemocy ją zatrzymał i wygląda na to, że postawi jej zarzuty.

Jak zgłosili świadkowie, młoda osoba od kilku dni pojawiała się w kościele, aby przeprowadzać swoje performance’u. W końcu jednak została powstrzymana. Życie dopisało kolejny rozdział do opowieści o dyskryminowaniu kobiet w tym kraju :(☹☹

Do garów!!!



kr y s t o n d x e 1952 w a l c l e k

Sami widzicie, iż zarzuty te są zupełnie nietrafione. Czy mamy 100 proc. pewności, iż gdyby Rafał nie dołączył, to komuna by upadła? Skąd wiemy, co by wtedy się stało?

A tak mamy czarno na białym: Rafał dołączył, komuny nie ma. Dziękujemy, Rafał.

Wbrew temu, co wiele osób sądzi, widzimy sporo pozytywów wynikających z pozamykania szkół. Of kors

ponieważ nakazuje uczniom czytanie „W pustyni i w puszczy”. Ponadto wciąż naraża młode pokolenie na kontakty z wszystkimi tymi „iczymi”, co poważnie wypacza ogląd świata i zaburza procesy myślowe.

Im więc młodzież więcej czasu spędzi w domu, grając w „Fortnite”, „Minecrafta” czy co tam teraz jest modnego, symulując jedynie obecność na lekcjach, tym większa szansa na to, iż uda nam się wykreować nowe, młode pokolenie Europejczyków.

oczywiście nasze estymacje, ale te estymacje nie pozwalają w sposób jednoznaczny odpowiedzieć na tak postawione pytanie.

No ale... Bo nam się już naprawdę kończą pieniądze. Niektórzy wystawili swoje interesy na sprzedaż. Banki nie chcą czekać...

Szanowni państwo, wszystkim nam jest ciężko, wszyscy oczekujemy końca tej epidemii, jednakże mogą państwa zapewnić, że rząd robi wszystko, aby zmniejszyć do

minimum uciążliwości, zaś posiadane przez nas estymacje mówią, że w państwa branży odsetek zamknięć w drugim kwartale bieżącego roku nie będzie wyższy niż...

Ale ja już musiałem zamknąć działalność! Moich pięciu kolegów też! Z czego ja mam żyć?!

Szanowny panie, na tym poziomie emocji my nie będziemy rozmawiać. A teraz przepraszam, mam do opracowania ważne estymacje. ☹☹

Łukasz Warzecha

PODSŁUCHANE

Ważne estymacje

Pani minister, my już naprawdę nie dajemy rady. Proszę nam chociaż mniej więcej powiedzieć, jakie są szanse, że się otworzymy do maja. Szanowni państwo, odpowiedź na to pytanie jest bardzo trudna, ponieważ my posiadamy

OD RZECZY

„Różnice między politycznymi epokami – politycy PO jedli ośmiorniczki, za PiS w menu jest ośmiornica. W obu przypadkach płacimy my, tyle że w drugim nieskończenie więcej”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

No i znów zostaliśmy trendsetterami, powątpiewając tydzień temu w ogłoszenie Nowego Ładu 20 marca. Ogłoszenie odwołano. Na kiedy? Odpowiedź jest skomplikowana. Jedni w PiS mówią, żeby zaraz po Wielkanocy, inni sugerują majówkę. Oczywiście nie święto 1 Maja, tylko pozostałe, bardziej patriotyczne dni majówki.

Koronawirus storpedował też wizytę prezydenta Andrzeja Sebastiana na Węgrzech. Nad czym ubolewamy, bo sporo się dzieje. Po wyjściu Fideszu z Europejskiej Partii Ludowej w euro-parlamencie trwają zakulisowe targi. Szeregowy wicepremier Jarosław Kaczyński chciałby bratanków Orbána mieć w grupie Europejskich Konserwatystów i Reformatorów. Bratanek Orbán woli większy sojusz – polsko-węgiersko-włoski.

Sprawa poważna, bo połączenie EKR, Fideszu i europosłów Salviniego z Ligi dawałoby wielką, trzecią co do wielkości grupę w europarlamencie. Ponad sto szabel. Szeregowy wicepremier Kaczyński obawia się jednak łatki faszysty, która spada na wszystkich współpracujących z Salviniem, więc zakulisowe targi trwają. Czekamy na oś Warszawa-Rzym-Budapeszt!

Zabawimy się znów w proroków. Prorokujemy, że w pałacu prezydenta Andrzeja Sebastiana może się pojawić nowy minister. Po co? Ano po to, żeby szybko zniknąć z pałacu. Ten minister mógłby się nazywać na przykład – patrzymy w szklaną kulę – Witold Dzielski, obecnie kierujący Biurem Spraw Zagranicznych.

Już wyjaśniamy, o co chodzi. Otóż z jednej z najważniejszych placówek ambasadorskich, czyli z Waszyngtonu, zjeżdża niebawem ceniony Piotr Wilczek. Dzielski miałby być jego następcą. Dzielski w Waszyngtonie i Szczerski w ONZ mieliby razem pracować nad przyszłą międzynarodową karierą Andrzeja Sebastiana. I tu problemem jest obecna dość niska ranga Dzielskiego w pałacu, bo źli ludzie uważają, że kandydat na poważną placówkę powinien mieć poważne CV. Prorokujemy więc, że Dzielski najpierw zostanie ministrem u Andrzeja Sebastiana, a dopiero potem ambasadorem.

Informacja zakulisowa: są tacy, których zdaniem Witold Dzielski, jako posiadacz czarnego pasa w aikido, lepiej nadawałby się na placówkę ambasadorską w Tokio. Jednak akurat ta ambasada jest zajęta i się to w najbliższym czasie nie zmieni.

Zżycia Eine Totalopposition. Na razie Rafcio Trzaskowski zlekceważył naszą radę budowy mostu rowerowego przez Wisłę zgodnie z tradycją platformerską – wzdłuż Wisły. Ale za to ogłosił budowę III linii metra i tu okazał się nieodrodnym synem Pełło, bo linię planuje wzdłuż już istniejącej linii. Eksperci pukają się w głowy, my widzimy w tym wielką mądrość. To kontynuacja programu Pełło: generalnie nic nie robimy. Jak już coś robimy, to nie tam, gdzie trzeba, i za drogo.

Polskę zelektryzowała inna informacja o Rafciu Trzaskowskim – ujawnił, że walczył z komuną! W marcu 1990 r.! Wtedy zapisał się do Międzyszkolnego Komitetu Solidarności. Cóż, premierem był wtedy Tadeusz Mazowiecki, wicepremierem Leszek Balcerowicz... Z Rafcia musiał być prawdziwy prawicowy radykał.

Rafcio podobno ma już serdecznie dość rządu Warszawy i nie może się doczekać, kiedy zostanie premierem. Przypominamy, że idealnym

kandydatem do jego zastąpienia byłby Miro Drzewiecki. Mało kto pamięta, że jego ekipa chciała budować w Warszawie nad Wisłą kolejkę gondolową. Ze Starego Miasta do osiedla apartamentowców, które miało powstać wedle Hanki Bufetowej tam, gdzie dziś stoi Stadion Narodowy.

Przy okazji – zupełnie nie rozumiemy, dlaczego teraz Rafcio chce robić ze stacji Stadion Narodowy węzeł dwóch linii metra i duży punkt przesiadkowy. Pamiętamy, jak w czasach pierwszego Tuska opublikowano wizualizację, na której Stadion Narodowy to wielopoziomowy dworzec z pociągami, liniami metra, autobusami i tak dalej. Czyżby go nie zbudowano? Czyżby Platforma nie dotrzymywała obietnic? To się w głowie nie mieści!

Dwa tygodnie. Tyle wytrwał w swej niezależności poseł Zimoch Tomasz, kiedyś komentator sportowy, potem poseł Koalicji Łobywatełskiej, a teraz poseł Szymka Hołowni. Zimoch utrzymuje, że nadal jest niezależny, bo on się nie zapisał do Polski 2050, tylko wstąpił do jej koła. Witamy kolejnego w polityce, który pali, ale się nie zaciąga.

Jak wiecie, po mieście krąży plotka, że powrócili szantażyści od książek. Znaczący osobnicy oferujący bohaterom świeżo napisanych biografii, że nie opublikują książki, jeśli dostaną za to, powiedzmy, 100 tys. euro. Dodajemy od siebie – słyszeliśmy, że tym razem ofertę otrzymał biznesmen nie tylko o nazwisku na literę S, lecz także mający związek z biznesami medialnymi. I że nie tylko „pewien portal” ma szczegóły, ale przede wszystkim pewna telewizja z literą N na końcu nazwy. Tak, w sprawę zamieszany jest pewien mecenas.

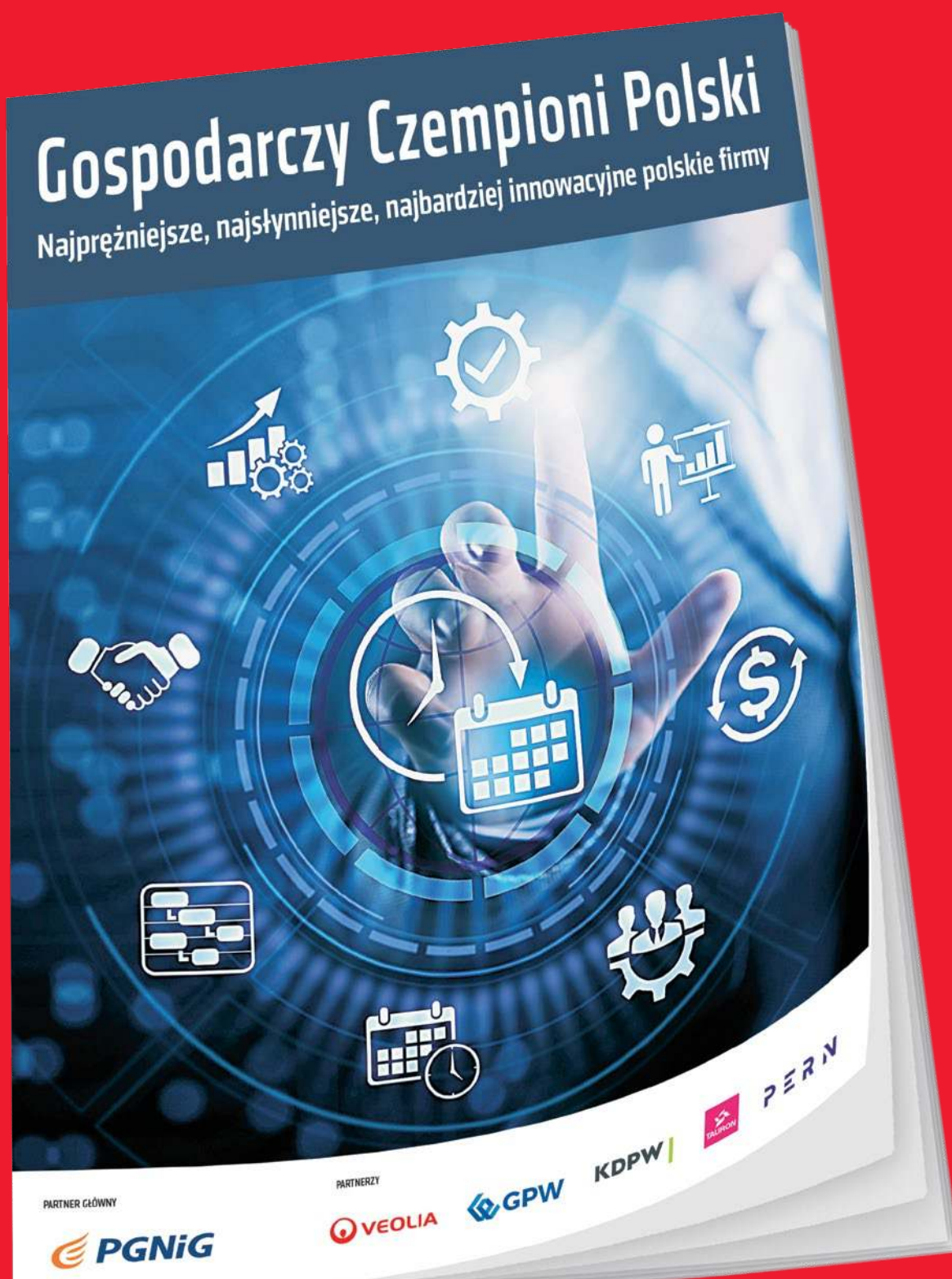
Prosimy o uwagę Adama Bodnara Poraz Helsińską Fundację Tego i Owego – chcieliśmy zgłosić razism oraz ksenofobię. Chodzi o nie byle kogo, bo o Marcina Bosackiego, senatora Pełło, przewodniczącego klubu Koalicji Łobywatełskiej w Senacie. Otóż powiedział on w wywiadzie dla „Przeglądu Sportowego”, że w Lechu Poznań pojawia się zbyt wielu nowych obcokrajowców, którzy okazują się niewypałami. Zapraszamy na Marsz Niepodległości. Tam zawsze mile widziani są goście „Wyborczej”. ©©



FOT. ROBERT CAROZINSKI

dwaj panowie g

Już za tydzień w „Do Rzeczy” dodatek



PARTNER GŁÓWNY

PARTNERZY





Tomasz Rowiński

Rada Języka Polskiego,
kwestionując używanie słowa
„Murzyn”, wykonała krok, który
może uruchomić lawinę kastrowania
języka polskiego w imię nowych
ideologii

Sprawa „Murzyna”

Wszystko zaczęło się od opinii przekazanej Radzie Języka Polskiego przez jej członka prof. Marka Łazińskiego na temat słowa „Murzyn”. RJP otrzymała list z zapytaniem, czy słowo to ma charakter pejoratywny, i postanowiła się do tego odnieść. „Słowo »Murzyn« było niegdyś neutralne, a w każdym razie najlepsze z możliwych [...]». Dziś słowo »Murzyn« jest nie tylko obarczone złymi skojarzeniami, jest już archaiczne” – napisał ekspert RJP i w zasadzie nie ma powodu, by się z nim nie zgodzić. Profesor Łaziński zauważa, że obecnie „Murzyn” pojawia się „w prasie i tekstach publicznych bardzo rzadko, a jeśli już, to zwykle nie jako neutralne określenie człowieka, lecz jako słowo, o które toczy się spór”.

„Murzyn” rzeczywiście wyparował z języka, a pozostał tylko w odosobnionych powiedzeniach, takich jak „sto lat za Murzynami”, „Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść”, i w wierszyku „Murzynek Bambo”. Czy faktycznie wyrażenia te są stygmatyzujące? Można przyjąć, że te odrwane od kontekstu struktury językowe (dodajmy jeszcze takie jak „biały murzyn” czy „zdawać egzamin na murzyna”) stały się przyczyną wzmocnienia negatywnego wydźwięku tego słowa. W tym kierunku szła zresztą argumentacja prof. Łazińskiego: „Frazeologia wzmacnia też skojarzenie Murzyn – niewolnik”.

Ważnym argumentem w ekspertyzie prof. Łazińskiego jest aspekt społeczny. „Warto uszanować wrażliwość odbiorców. Nasi sąsiedzi o czarnej skórze wolą być nazywani ze względu na konkretną narodowość (np. Senegalczyk, Nigeryjczyk), wolą być Afrykanami, czarnoskórymi, ciemnoskórymi lub po prostu czarnymi” – pisze prof. Łaziński. Ten argument znalazł jednak wyrazistego krytyka. Bawer Aondo-Akaa, czarnoskóry Polak, działacz pro-life, doktor teologii, nazwał opinię RJP „absurdalną”, wskazując na przypadku pozytywnego użycia słowa „Murzyn” w polskiej historii. Tego Marek Łaziński nie kwestionuje, jednak zwraca uwagę, że słowo „czarny” jeszcze kilkadziesiąt lat temu miało znacznie gorszą konotację od „Murzyna”. Dziś jest odwrotnie.

Profesor Katarzyna Kłosińska, przewodnicząca RJP, w opinii dla Poradni Językowej PWN pisała, że słowo „Murzyn” trafiło do polszczyzny poprzez język czeski w formie „Maurus”. Z czasem „Maur” stał się „Murzynem”, który poprzez niefortunne tłumaczenia utożsamiał się z post-

kolonialnymi słowami typu „nigger”, które ma charakter obelżywy. Idąc tym tropem, możemy powiedzieć zatem, że „Murzyn” odbiera dziś karę za „czarnucha”, który przecież zawsze był określeniem pejoratywnym w polszczyźnie. Wnioski Marka Łazińskiego nie są radykalne. Skoro słowa prawie już nie używamy, a są ludzie, dla których pachnie ono „czarnuchem”, można to wziąć pod uwagę. Jednocześnie w swojej opinii prof. Kłosińska pisała, że negatywne konotacje, jakie wiążą się dziś ze słowem „Murzyn”, nie są na tyle silne, by kwalifikować je jako obraźliwe, co sugeruje prof. Łaziński.

Profesor Łaziński ostatecznie zaleca używanie słowa „Murzyn” na prawach cytatu, zaleca, by nie posługiwać się tym słowem w przestrzeni publicznej w kontekstach oficjalnych, w szkołach czy mediach. „Osoby przyzwyczajone do języka sprzed lat będą dalej używać słowa »Murzyn« w rozmowach prywatnych w przekonaniu, że słowo to jest neutralne. Taką opinię podziela część językoznawców. Dlatego nie zachęcam do poprawiania wszystkich i w każdej sytuacji” – pisze ekspert.

JAK TO POPRAWIAĆ?

Czy to oznacza, że mamy do czynienia po prostu z ciekawą dyskusją i nie ma żadnego problemu? Niestety nie. Nadejście opinii prof. Marka Łazińskiego przez RJP charakteryzuje stanowiska oficjalnego uruchomiło określone mechanizmy działania sfery publicznej. Na pewno ograniczyło racjonalność dyskusji, ale narzuciło nowe pytania: Jak RJP wyobraża sobie to postulowane „poprawianie”, czy używanie słowa „Murzyn” będzie teraz definiowane jako „mowa nienawiści”? Czy trzeba będzie za nie przeproszać?

Sprawa wygląda tak, jak gdyby mająca wpływ na decyzje większość członków RJP postanowiła wypuścić próbny balon polityczny mający sprawdzić, czy Rada ma szansę stać się kolejnym trybunałem językowej moralności rewolucyjnej, edukującym Polaków – mówiąc słowami pewnego stalinowskiego filozofa – „jak myśleć bez alienacji”.

Na jesieni 2020 r., kiedy pojawiła się opinia prof. Marka Łazińskiego, prezydium RJP napisało w specjalnym oświadczeniu: „Rada nie ma kompetencji, by zakazywać używania jakiegokolwiek słowa lub wyrażenia, ani też, by nakazywać posługiwanie się jakimkolwiek wyrazem”. Sprawa miała kontynuację i październikowe posiedzenie plenarne RJP przyjęło jednak opinię

prof. Łazińskiego jako własną. Profesor Katarzyna Kłosińska – przypomnijmy, przewodnicząca RJP – jeszcze latem tego samego roku pisała w swojej opinii dla Poradni Językowej PWN: „Nie wyobrażam sobie, żeby językoznawca miał arbitralnie stwierdzić, że dane słowo jest jednoznacznie obraźliwe, skoro fakty językowe (np. badania korpusowe) wskazują na coś innego”. Słowa prof. Kłosińskiej można zresztą traktować jako regułę objaśniającą zadania stojące przed RJP, której kompetencje nie obejmują takich zadań jak „decydowanie o nacechowaniu słów”.

Na stronie internetowej RJP możemy przeczytać, że „Rada Języka Polskiego została powołana przez Prezydium Polskiej Akademii Nauk uchwałą nr 17/96 z dnia 9 września 1996 r. W 1999 r. działalność Rady została ujęta przepisami Ustawy o języku polskim”. Zadania rady zdefiniowane są jako „upowszechnianie wiedzy o języku polskim, jego odmianach, normach i kryteriach oceny jego użycia oraz proponowanie form językowych odpowiednich w różnych sytuacjach”, „rozstrzyganie wątpliwości językowych co do słownictwa, gramatyki, wymowy, ortografii i interpunkcji, a także co do stosowności stylistycznego kształtu wypowiedzi”, „poszukiwanie rozwiązań w zakresie używania języka polskiego w różnych dziedzinach nauki i techniki, zwłaszcza w dyscyplinach nowych (np. w informatyce)”, „wyrażanie opinii o formie językowej tekstów przeznaczonych do komunikacji publicznej, a zwłaszcza w prasie, radiu i telewizji oraz w administracji”, „ustalanie zasad ortografii i interpunkcji języka polskiego”, „opiniowanie nazw (oraz ich form gramatycznych i ortograficznych) proponowanych dla nowych towarów lub usług”, „otaczanie szczególną opieką kultury języka polskiego w nauczaniu szkolnym”.

Przynajmniej niektóre fragmenty opinii prof. Marka Łazińskiego można byłoby uzasadnić powyższymi punktami, np. te, które przedstawiają złożony charakter historii słowa i jego odbioru. Wiedza ta nadałaby się jako element edukacji szkolnej podnoszący świadomość i kulturę językową uczniów. Jednak ostatecznie to sami uczniowie decydowaliby, w jaki sposób odnosić się do użycia słowa „Murzyn”, czy i kiedy go używać. Prezydium RJP pozostało ostrożne, dobrze – jak się zdaje – wyczuwając, że przyjęcie opinii prof. Łazińskiego będzie aktem działania przynajmniej na granicy kompetencji

Rady, a przez opinię publiczną zostanie potraktowane jako ich przekroczenie niezależnie od merytorycznej zawartości rzeczonego tekstu. A tak dyskusję wyłączone, a uruchomiono quasi-polityczną polaryzację. Mimo wszystko zdawało się, że można przymknąć oko na „sprawę Murzyna”, wszak zawierała ona w sobie pewien element komiczny, wiążący się

Okazało się, że Rada Języka Polskiego postanowiła się upolitycznić i zamienić w trybunał moralności rewolucyjnej

z archaicznością słowa. Rację jednak mieli niestety ci, którzy od początku protestowali, przeczuwając, że atak na „Murzyna” jest znakiem zmiany klimatu działań Rady.

NAGŁA WOLTA JĘZYKOZNAWCÓW

W marcu tego roku okazało się, że RJP postanowiła się upolitycznić i zamienić w trybunał moralności rewolucyjnej. Udzielono „merytorycznego patronatu” podręcznikowi agencji Fleishman Hillard, który ma uczyć, „jak mówić i pisać w sposób niedyskryminujący, empatyczny i wolny od stereotypów o kobietach, osobach LGBT, uchodźcach, Żydach i Afrykanach”. Na stronie agencji czytamy, że „rozdziały poświęcone każdej z grup napisane zostały przez autorów i autorki z wyspecjalizowanych organizacji pozarządowych”. Jakże to organizacje? Na przykład skrajnie lewicowe, feministyczne i proaborcyjne Dziewuchy Dziewuchom czy skrajna grupa politycznego ruchu homoseksualnego, którą jest Kampania Przeciw Homofobii. Czy w raporcie znajdziemy przedstawicieli „wyspecjalizowanych organizacji samorządowych”, którzy wypowiedzieliby się o sposobach językowej dyskryminacji i dehumanizacji osób nienarodzonych nazywanych „zlepkiem komórek” lub o dyskryminujących określeniach polskich katolików, a szczególnie duchownych? Oczywiście, że nie. Ale za to podręcznik pod „patronatem merytorycznym” RJP namawia „do wspierania naszych partnerów poprzez udział w inicjowanych przez nich działaniach, wsparcie wolontariackie i finansowe”.

„Nie chcemy, by język był narzędziem dominacji nad drugim człowiekiem. Chcemy natomiast, by naszym działaniom słownym przyświecała zasada wzajemności zawarta w złotej regule etycznej: »Traktuj innych tak, jak sam chciałbyś być traktowany«. Lub w prostej, ogólnoludzkiej sentencji: »Nie czyni drugiemu, co tobie nie miłe«” – pisze we wstępie podręcznika agencji Fleishman Hillard prof. dr hab. Ewa Kołodziejek z Uniwersytetu Szczecińskiego, członek RJP, merytoryczny opiekun wydawnictwa. We wstępie tym znajdujemy liczne pochwały „różnorodności”, „inkluzywności”, „wielokulturowości” i „równości”. Jest także znacząca wskazówka praktyczna: „Język jest głównym narzędziem kształtowania postaw wobec świata, to za pomocą słów można kreować zachowania społeczne, wybierając z zasobu środków językowych jedne sformułowania, a pomijając inne”.

I to właśnie znajdziemy w poradniku. Różnorodność świata według autorów oznacza, że jest np. tylko jeden poprawny sposób mówienia o homoseksualizmie, z grubsza ten, który stworzyły środowiska politycznego ruchu homoseksualnego. „Używanie odpowiedniego słownictwa to pierwszy krok w kierunku tworzenia materiałów medialnych opartych na szacunku do osób, których one dotyczą. Dlatego tak ważne jest, aby pisać artykuły lub przeprowadzać wywiad na wizji, dbać o język, który stosuje się do opisanego społeczeństwa LGBT. Błędy zdarzają się każdemu, tak jak np. misgendering polegający na użyciu niewłaściwych zaimków względem osób niebinarnych. Ważne jest, by w sytuacji, gdy zdarzy nam się popełnić gafę, przyjąć krytykę, przeprosić i w następnym pytaniu lub tekście użyć właściwych słów”.

DOMINACJA JEST ZŁA, DLATEGO MUSIMY DOMINOWAĆ

Jednym słowem – gdy nie chcemy, by język nie był „narzędziem dominacji”, musimy wytworzyć własne mechanizmy dominacji i całkowicie podporządkować różnorodność stanowisk i opinii sztywnemu kodeksowi kontrolowanemu przez jedną grupę, która „wytworzyła swój język”. I tak, nie można używać słów takich, jak „homozwiązki”, „homomałżeństwa”, „homorodziny”, ponieważ „przedrostek sugeruje, że są inne niż pozostałe związki, małżeństwa, rodziny”. Zapytam. A nie są? Co jeśli, za ostatnio wydanym przez Stolicę Apostolską dokumentem, uważamy, że „nie istnieje żadna podstawa do porówny-

wania czy zakładania analogii, nawet dalekiej, między związkami homoseksualnymi a planem Bożym dotyczącym małżeństwa i rodziny”? Nie można też mówić rzecz jasna o „ideologii LGBT”, ponieważ, jak wiadomo, LGBT to ludzie, a nie ideologia. Ludzie, którzy nie mają przecież żadnych postulatów politycznych związanych ze swoim stylem życia. Za to trzeba mówić o „równości małżeńskiej” itd.

Dział poświęcony językowi politycznego ruchu homoseksualnego jest doskonałym potwierdzeniem, że jednak ideologia LGBT istnieje i jest zaprzeczeniem różnorodności. Jest jasna, klarowna i bezdyskusyjna. Za próbę dyskusji trzeba po prostu przeprosić.

Oczywiście to garstka przykładów z setek reguł językowych arbitralnie ustalonych przez wąskie grupy aktywistów i ekspertów chcących „kreować zachowania społeczne” zgodnie z interesami swoich organizacji. To zwykłe uzurpowanie sobie prawa do bycia reprezentacją grup, na które się powołują, i zamknięcie języka na różnorodność czy dyskusję. Podobna metodologia panuje w rozdziale poświęconym kobietom, który jest skrótem propagandowych broszur feministycznych. Nawet jeśli pewne uwagi można by rozważyć jako właściwe, to giną one w zalewie ideologii. „Podział na kategorie kobiece/męskie nie wyczerpuje kwestii płci. Zamiast tworzyć założenia na podstawie cudzego wyglądu, dopytajmy o to, w jakiej formie należy zwracać się do konkretnej osoby. Miejmy na uwadze, że emancypuje się także polszczyzna niebierna, i nie wahajmy się jej stosować”.

W rozdziale dotyczącym imigrantów można zrozumieć zachęty do ostrożnego używania języka – co zresztą zawsze jest godne polecenia – by unikać form dehumanizujących. Jednak lektura konkretnych wskazówek znów daje poczucie obcowania z absurdem. „Odradzamy także używanie terminu »migrant ekonomiczny/migrantka ekonomiczna«, który może nasuwać krzywdzące skojarzenia z lenistwem czy wykorzystywaniem systemu pomocy społecznej. Decyzja o zmianie kraju zamieszkania jest dyktowana wieloma powodami” – czytamy. Wypada tylko przypomnieć, że emigracja ekonomiczna jest szerszą kategorią obejmującą np. emigrację zarobkową. Mówienie o emigracji ekonomicznej pozwala odróżnić w perspektywie socjologicznej takich ludzi np. od uchodźców. Szukanie „krzywdzących skojarzeń” i negatywnych konotacji wygląda albo na

robione na siłę, albo na celowe utrudnianie koniecznych rozróżnień, co znów jest elementem ideologii imigracjonistycznej.

„Jeszcze gorsze jest używanie w tym kontekście takich słów, jak »najeźdźca«, »inwazja«, »nachodzący«, sugerujących przemoc, wojnę, kolonizację. Używanie tego typu języka wobec osób migrujących wzbudza w odbiorcach i odbiorczyniach takiego przekazu strach, wzmacnia uprzedzenia i przyczynia się do negatywnego nastawienia wobec cudzoziemców i cudzoziemek”.

Jakkolwiek warto się zastanowić, czy akurat takich słów powinno się używać, to ten krótki fragment dobrze oddaje przesłanie rozdziału – imigracja nigdy nie może być postrzegana jako problem czy zagrożenie społeczne. Tyle że takie przekonanie nie jest kwestią językową, ale określonym stanowiskiem politycznym, które próbuje normy swojego języka zaangażowanego ustanowić obiektywnymi normami języka.

INNE SŁOWA TEŻ SĄ ZŁE

Rozdziały poświęcone osobom czarnoskórym i społeczności żydowskiej nie są pozbawione dyskusyjnych fragmentów, jednak nie zbliżają się nawet do poziomu zideologizowania tych, które zacytowałem. Natomiast trzeba zauważyć, że na kanwie „sprawy Murzyna” pojawił się już postulat, by ze względu na negatywne konotacje odradzać używania słowa „Żyd”, a zastąpić je słowem „Jehuda”. Jeśli lista ta będzie rosła, to proponuję nie używać też słów takich jak „katol”, „ultrakatolik”, „fundamentalista”, „prawak”, „klecha”, „kler”, „pedofil”, „faszysta”, „antyaborcjonista”. W utopii językowej, którą się nam proponuje, nieustannie musielibyśmy usuwać kolejne słowa, ponieważ nabywanie negatywnych znaczeń jest zjawiskiem całkowicie naturalnym dla języka.

Dobór grup, autorów, a i same treści pozycji „Poradnik: Jak mówić i pisać o grupach narażonych na dyskryminację. Etyka języka i odpowiedzialna komunikacja” mają charakter arbitralny, polityczny, a nawet wykluczający w czasach rozpowszechnionej na ulicach i w Internecie agresji antykatolickiej. Czy RJP afirmuje taką wykluczającą koncepcję języka? Czy prof. Jerzy Bralczyk, prof. Jan Miodek, prof. Michał Głowiński, prof. Mirosława Marody czy wreszcie przewodnicząca RJP prof. Katarzyna Kłosińska – by podać tylko bardziej znane osobistości z RJP – biorą odpowiedzialność za ten projekt? Czy Rada w końcu ma, czy „nie ma kompeten-

cji, by zakazywać używania jakiegokolwiek słowa”? Czy poradnik Fleishman Hillard jest ideałem językowym i politycznym RJP? Czy RJP będzie się teraz zajmować polityką? W końcu chodzi o „patronat merytoryczny”...

Nie jest też zaskoczeniem, że patronat honorowy nad wydawnictwem objął Rzecznik Praw Obywatelskich Adam Bodnar znany ze skrajnie lewicowych poglądów, zwykle obojętny wobec obrażania w sferze publicznej ludzi wierzących, aktów obrzydliwych religijnych wiążących się z profanacją przedmiotów kultu czy szerzej – naruszaniem moralności publicznej przez grupy lewicowe i rewolucyjne. Jak pisał swego czasu mecenas Jerzy Kwaśniewski, komentując wykład RPO w muzeum Polin z listopada 2018 r.: „Wśród nielicznych odwołań do filozofii prawa zastanawia przywołanie przez rzecznika praw obywatelskich koncepcji »militant democracy« (»zbrojnej demokracji«), postulującej ograniczenie wolności słowa i wolności politycznej arbitralnie

Na kanwie „sprawy Murzyna” pojawił się już postulat, by ze względu na negatywne konotacje odradzać używania słowa „Żyd”

zdefiniowanych wrogów demokracji jako uzasadnienia dla penalizacji mowy nienawiści”. Czy RJP także przyjmuje tę właśnie doktrynę w swoich ekspertyzach językowych?

Czy wobec powyższego powinien nas dziwić, że walka z dyskryminacją rychło staje się mechanizmem wskazywania nowych wykluczonych? Może faktycznie za użycie słów „homoseksualista” czy „Murzyn” będzie się stygmatyzowanym przez prominentnych członków RJP jako „hate speaker”, którego trzeba „wykancelować”, usunąć poza obręb kultury? Inna sprawa, że natura ludzka i język to silne żywioły, które zwykle znajdują sposób, by wyrazić to, co komisarze poprawności próbują wy-mazać. Ale przecież mieliśmy już zawsze żyć w czasach wolności słowa, które – jak mówiono – jest najlepszym lekarstwem na patologie ideologii i autorytaryzmu. Związek RJP z podręcznikiem Fleishman Hillard to nic innego jak pełzający językowy autorytaryzm. © © Wszelkie prawa zastrzeżone



Grzegorz Kucharczyk

Kto nie wierzy w Boga, ten uwierzy we wszystko – ta myśl nigdy nie była bardziej prawdziwa niż w XXI w. Ileż to osób po odrzuceniu Boga gotowych jest zaakceptować każdy zabobon, najbardziej złudną utopię, z gruntu niewiarygodną manipulację myślową? Dlatego coraz głośniej mówi się o wielkim kryzysie zachodniej, chrześcijańskiej cywilizacji – znanej kiedyś pod dumną nazwą Christianitas – albo zgoła o jej upadku

Rzecz jasna, czujność rewolucyjna adeptów różnych ideologii udających dyscypliny naukowe koncentruje się przede wszystkim wobec tych, którzy „fenotypicznie” i „świadomościowo” są „biali”, czyli oddają się „szowinistycznemu racjonalizmowi” wziętemu z „arystotelesowskiej taksonomii esencjonalistycznej”. A tłumacząc na język zrozumiały w naszym kręgu cywilizacyjnym – lewacy wykazują szczególną czujność wobec tych, którzy w swoich badaniach historycznych posługują się zdrowym rozsądkiem i rzetelnym warsztatem.

Chodzi między innymi o omawiany poniżej przypadek Mary Lefkowitz, która „ośmieliła się” zakwestionować „ustalenia” tzw. afrocentrycznej historiografii. Aby zrozumieć tło całej „kontrowersji”, która powstała wokół tej uczoney, należy raz jeszcze przywołać Molefię Kete Asante, jednego z najgłośniejszych propagatorów tej paranauki. Na poszukiwanie „afrocentrycznej historiografii” wyruszył on z tezą typową dla marksizmu przemieszanego z postmodernizmem, wedle której nie ma trwałych tożsamości, bo nie ma czegoś takiego jak natura bytu, ponieważ nie ma bytu ontologicznie osadzonego. Skoro nie ma bytu, to wszystko jest produktem „kreacji” warunkowanej kulturowo i społecznie. Nie ma czegoś takiego jak „fakty historyczne”, są jedynie „opinie”. Te ostatnie zaś są również warunkowane społecznie i kulturowo.



Tzw. afrocentryczna historiografia nie ma służyć poznaniu prawdy, tylko wychodzić naprzeciw społecznym i kulturowym zapotrzebowaniom danej społeczności. FOT. SIPA USA/EAST NEWS

Czarni wikingowie na Grenlandii i w Kanadzie

Wychodząc z tych przesłanek, Asante twierdzi, że „afrykańska świadomość w kontekście historycznym opiera się na zagadnieniach społecznych doświadczeń”. Zarówno „Europa”, jak i „Afryka” są więc „wynalezione”. „Afrocentryczność ogłasza, że nie ma już uzasadnienia, aby dyskutować o tożsamości jako mocno osadzonej idei (fixed idea), ale raczej jako o niemających końca staraniach, by odzyskać, przywrócić lub skonstruować tożsamość”.

W ujęciu neomarksistowskim – powstałym z połączenia marksizmu z postmodernizmem – historia nie ma służyć poznaniu prawdy („jak było”), tylko czerpiąc ze „społecznych doświadczeń”, wychodzić naprzeciw społecznym i kulturowym zapotrzebowaniom danej społeczności. W przypadku Afroamerykanów chodzi przede wszystkim – jak podkreśla szkoła, której reprezentantem jest Asante – o porzucenie na gruncie historiograficznym i poprzez „właściwe ustalenia badawcze” zanegowanie „bezwzględного kulturalizmu” (ruthless culturalism), który widzi w zachodniej cywilizacji „najwartościowszą formę ludzkich zwyczajów i tradycji”.

Na tym jednak nie wyczerpuje się „pedagogiczny” walor afrocentrycznej historiografii. Ma ona udowodnić, że „ci, którzy byli historycznie zniewoleni, są w stanie stworzyć teorię, zaproponować idee, stworzyć nowe konstrukty refleksji”. De facto chodzi więc o ostateczne pokonanie fatalnego dziedzictwa niewolnictwa i białego kolonializmu. Kolonizacja Afryki – podkreśla Asante – „nie tylko była aktem fizycznym, lecz także intelektualnym”. W czytelnej analogii do marksowskiej walki z „alienacją” poprzez czyn rewolucyjny propagator afrocentrycznej historiografii traktuje ją jako przezwycięzenie jej nowej formy jako „bezwzględного kulturalizmu”. Historia jest tutaj poręcznym narzędziem. „Jeśli jako osoba afrykańskiego pochodzenia nie mogę podejmować decyzji w kontekście mojego własnego historycznego doświadczenia, to oznacza to, że zawsze jestem zależny od tych, którzy mogli być moimi fizycznymi i politycznymi prześladowcami. Tak więc uwolnienie się od politycznej opresji, od dyskryminacji, od poniżającego doświadczenia społecznej i ekonomicznej degradacji spowodowanej przez apartheid jest tylko pierwszym krokiem w kierunku całkowitego wyzwolenia, które – w moim rozumieniu – przychodzi wraz z wyzwoleniem umy-



GRZEGORZ KUCHARCZYK
„KATEDRA
I UNIwersYTET”
BIAŁY KRUK 2021

słowem. Tutaj wchodzi afrocentryczność jako ludzka odpowiedź na intelektualne prześladowanie”.

„Całkowite wyzwolenie” ma polegać na upowszechnianiu komunikatu (z gruntu propagandowego, bo nieopartego na materiale źródłowym, ale przecież historia jest „konstruktem”), że cywilizacja, którą tak bardzo chlubią się biali ludzie, tak naprawdę została stworzona przez ludzi „fenotypycznie” czarnych i została im ukradziona przez perfidnych białych. Za początek tej propagandowej narracji uważa się opublikowaną w 1954 r. książkę George’a Jamesa „Stolen legacy” („Ukradzione dziedzictwo”). Potem przyszły publikacje jego ucznia Yosefa Ben-Jochannana (przez swoich admiratorów zwanego Doktorem Benem), cytowanego tutaj Molefiego Kete Asante, Martina Bernala i Senegalczyka Cheikha Anta Diopa. To tylko najważniejsi przedstawiciele „afrocentrycznego” spojrzenia na dzieje cywilizacji. Od lat 80. ubiegłego wieku na amerykańskich uczelniach tego typu „badaczy” jest cały legion.

Publikacje tego typu mogą i powinny być analizowane na zajęciach prowadzonych ze studentami pierwszego roku historii ze „wstępu do badań historycznych” jako szkolny przykład, jak nie należy „uprawiać historii”. Mogą też służyć jako materiał źródłowy dla studentów dziennikarstwa czy politologii, którzy mają w swoim curriculum przedmiot „historia propagandy”.

Przy czytaniu książek publikowanych przez autorów określających się jako reprezentanci „afrocentrycznej historiografii” przypomina mi się komunistyczny dyktator Nicolae Ceaușescu, który początki Rumunii kazał datować ab urbe condita [od założenia miasta, czyli Rzymu – przyp. red.]. No, ale skoro Dacia była kiedyś prowincją rzymską... Albo Erich Honecker, który zapisał króla Prus Fryderyka II do „postępowych tradycji ludu niemieckiego”, lub pewien bardzo gorliwy sekretarz powiatowy PZPR na

Kujawach, który w 1966 r. kazał umieścić tablicę z napisem: „1966. W tysiąclecie Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej”.

We wszystkich tych przypadkach mamy do czynienia z tak rażącym, że aż śmiesznym naruszeniem prawideł warsztatu historycznego oraz zwykłej ludzkiej przyzwoitości i zdrowego rozsądku. „Afrocentryczna historiografia” twierdzi bowiem, że tak naprawdę źródłem zachodniej cywilizacji nie była starożytna Grecja, ale Egipt. Ponieważ zaś Egipt leży w Afryce, oznacza to, że został on stworzony (jako państwo i cywilizacja) przez ludzi czarnych. Podobnie zresztą jak Kartagina, skoro leży w Afryce (cicho sza o Fenicjanach). Cywilizacja mykeńska, która rozkwitła w Grecji i na jej wyspach (Kreta), była wynikiem egipskiej inwazji na ten kraj w drugim tysiącleciu przed Chrystusem. Ateny, Argos, Mykeny i inne miasta greckie zostały założone przez Egipcjan, czyli przez Murzynów.

Od V w. przed Chrystusem – głosi „afrocentryczna historiografia” – zaczyna się wielka kradzież, a złodziejami okazują się Grecy. Podpatrzyli, a potem podstępnie „wytransferowali” do siebie filozofię narodzoną w Egipcie – tak narodziła się filozofia jońska i wszyscy presokratycy. Zresztą sam Sokrates, jak autorytatywnie twierdzi autor „Stolen legacy”, patrząc na płaski nos filozofa utrwalony na jego wizerunkach, był Murzynem, a fakt ten stał się ofiarą „spisku milczenia” białych ludzi.

W ogóle ludzie czarnoskórych objętych tego typu omertą było znacznie więcej. Czarna była słynna Kleopatra (kochanka Juliusza Cezara i Marka Antoniusza), czarny był św. Augustyn – ojciec i doktor Kościoła (urodzony w Afryce, biskup afrykańskiej Hippony, musi być czarnoskóry). Murzynem był nawet wódz wikingów Eryk Rudy, któremu przypisuje się dotarcie we wczesnym średniowieczu do Grenlandii i dzisiejszej Kanady, a tym samym odkrycie Ameryki na długo przed Kolumbem (de facto więc kontynent ten odkryli ludzie czarni).

Nie wiadomo, co z twórcami piramid azteckich i Wielkiego Muru Chińskiego, ale przecież jeszcze wszystko jest możliwe na drodze do „całkowitego wyzwolenia” z oków „eurocentrycznej” metodologii nakazującej trzymanie się faktów i źródeł (smutne dziedzictwo „szowinistycznego racjonalizmu” i „arystotelesowskiego patriarchy w zakresie taksonomii”).

Używanie w odniesieniu do Pawła Kukiza pojęcia „powrót” jest o tyle mylące, że dzisiejszy Kukiz niewiele ma wspólnego z tym, który namieszał w wyborach prezydenckich 2015 r. i wprowadził wtedy kilkudziesięciu posłów do Sejmu. Mniej więcej w połowie poprzedniej kadencji Kukiz porzucił dotychczasową postawę „trybuna ludowego”, przestał mówić o obaleniu „systemu” jako takiego i o tworzeniu „ruchu”, w którym on sam nie będzie dyktatorem, a tylko patronem współdziałających ze sobą „platform programowych” i lokalnych aktywistów, uciągających wspólne poglądy w drodze referendów i prawyborów (nawiasem mówiąc, ta wizja polityki antypartyjnej bardzo przypominała to, co u zarania głosiła Platforma Obywatelska). Od tego czasu Kukiz funkcjonuje jak każdy inny z partyjnych liderów – tylko marniej, bo, w przeciwieństwie do pozostałych, nie ma swojej partii. Nie chciał jej założyć na fali sukcesu, aby nie sprzeniewierzyć się własnym hasłom walki z „partiokracją”, potem było za późno – w efekcie, aby pozostać w polityce, musiał dostać się na listy partii cudzej, i to tej, którą wcześniej piętnował jako „najgorszą mafię”.

Polityczne „małżeństwo z rozsądku” z PSL opłaciło się obu stronom – Kukizowi pozwoliło pozostać z grupką współpracowników w Sejmie, PSL-owi dało dodatkowych 100 tys. głosów w miastach i umożliwiło przekroczenie progu wyborczego. Ale też trwało tylko tak długo, jak długo było niezbędne. Na odchodne PSL okradł Kukiza z wyborczego szyldu Koalicja Polska, nie wydaje się jednak, by była to wielka strata. Dużo większe szkody przyniósł mu sam związek z PSL niż jego zerwanie – wybory pokazały, że liczba jego wyborców spadła dramatycznie.

ZMIANA MYŚLENIA

Kukiz wielokrotnie porównywał się w tym czasie z Jarosławem Kaczyńskim, wskazując podobieństwa: z pierwszego parlamentarnego klubu Kaczyńskiego też odeszła w trakcie kadencji połowa posłów, potem również dostał się do Sejmu dzięki gościnie na cudzej liście wyborczej – a potem przecież, jak wiadomo... Widać było z tych opowieści, jak bardzo Kukiz zmienił sposób myślenia od czasów, gdy twierdził, że polityka to dla niego tylko epizod, wszedł do niej na chwilę, załatwić „dla ludzi” parę waż-



Przyczółek do reaktywacji



Rafał A. Ziemkiewicz

Paweł Kukiz znów zaczął być zauważany przez media. Negocjuje z Jarosławem Kaczyńskim, z Jarosławem Gowinem, zapowiada rozmowy ze Zbigniewem Ziobrą, stawia warunki i nie zaprzecza spekulacjom o możliwym wsparciu Zjednoczonej Prawicy... Czy rockman, który swego czasu zmienił bieg polskiej polityki, wróci jeszcze do gry, czy już tylko jest rozgrywany?

nych spraw, i gdy tylko to zrobi, z ulgą wróci do muzyki. Dzisiaj wyraźnie chce pozostać politykiem, i nie tylko pozostać, lecz także odegrać jeszcze w polityce znaczącą rolę.

Na razie udało mu się ze swoją grupą – obecnie stanowiącą pięcioosobowe koło poselskie Kukiz'15 Demokracja Bezpośrednia – dotrzeć do momentu, gdy sejmowa arytmetyka zaczyna ulegać rozchwianiu. Z jednej strony, konflikt w Zjednoczonej Prawicy zmieknął stanowisko Jarosława Kaczyńskiego, dotąd starającego się nie zauważać sejmowego

drobiazgu, z drugiej – w potrzebie znalazł się zaatakowany we własnej partii Jarosław Gowin. Z trzeciej, swoje koło poselskie stworzył w Sejmie Szymon Hołownia, co ma znaczenie jako sygnał dla Kukiza, że jeśli chce po kolejnych wyborach istnieć w polityce, to bierne czekanie na pewno nie wystarczy.

To dość, żeby zaczęła się wymiana politycznych duserów. Kukiz nie mówi już o PiS jako o bolszewikach czy wręcz gangsterach, których to epitetów kiedyś partii rządzącej nie skąpił. Nie licytuje się z Konfederacją w rzucaniu gromów



FOT. KRISTIAN MAJ/FORUM

politycy PiS zaczęli nie tylko komplementować Kukiza jako człowieka prawdziwie ideowego, lecz także przebąkać nawet o możliwości rozważenia zmiany ordynacji na mieszaną, wzorowaną na niemieckiej – ale wiadomo, że to nie ci, którzy tak mówią, podejmować będą decyzje.

W JAKIEJ ROLI?

Sam Jarosław Kaczyński zaś JOW-ów nigdy nie popierał i nie poprze na pewno: są one w całkowitej sprzeczności z jego filozofią silnego państwa i polityki opartej na mocnym przywództwie, w typie gaulistowskiej Francji. Nigdy nie ukrywał, że jego zdaniem ordynacja większościowa w dzisiejszej Polsce skutkowałaby zbudowaniem drugiej Ukrainy, a nie Ameryki. Z tych samych względów na pewno nie zgodziłby się na partyjne prawyborcy, marginalizujące prezesów i rozpraszających polityczne przywództwo, ani na referendum. Te ostatnie, poza potraktowanym bardzo szczególnie referendum akcesyjnym, nigdy w Polsce nie zgromadziły wymaganej ustawą frekwencji, a z kolei obniżenie tego progu musiałyby sprawić, że referenda stałyby się – tak jak „budżety obywatelskie” – użytecznym narzędziem w rękach pragnących wyrwać coś dla siebie sił i mów.

Z 20 projektów ustaw, które, jak poinformował poseł Sachajko, przedstawił ruch Kukiza partii rządzącej (są jeszcze i takie, jak np. „o uwolnieniu konopi siewnych”), jedynym pomysłem dającym się wpasować do pragmatyki PiS byłoby powołanie instytucji sędziów pokoju. Trochę za mało, by Kukiz mógł obiecać w zamian cokolwiek więcej niż to, że będzie popierać te przedłożenia władzy, które uzna za słuszne.

Pytanie jednak, czy spotkanie Kaczyńskiego z Kukizem w ogóle miało być czymś więcej niż tylko sygnałem, pogrożeniem palcem koalicjantom ze Zjednoczonej Prawicy. Sejmowa arytmetyka jest nieubłagana: koło Demokracja Bezpośrednia to tylko pięć głosów, w najlepszym wypadku, gdyby zechciała wrócić do Kukiza niezrzeszona obecnie Agnieszka Ścigaj, sześć. A wyłamanie się ze Zjednoczonej Prawicy Porozumienia albo Solidarnej Polski to, teoretycznie, utrata kilkunastu głosów. Więcej sensu wydaje się mieć połączenie Kukiza z tą częścią Porozumienia, która pozostaje wierna Gowinowi. To zrekompensowałoby temu ostatniemu ewentualną utratę posłów wyprowadzonych do osobnego

koła, a może bezpośrednio do PiS, przez Adama Bielana, i summa summarum wzmocniłoby zarówno lidera Porozumienia, jak i Zjednoczoną Prawicę... Tylko co mógłby z tego mieć Kukiz?

Istota sprawy tkwi jednak w użytym wyżej słówku „teoretycznie”. W PiS panuje przekonanie, że gdyby padło hasło „Sprawdzam”, to z partii koalicyjnych tylko niewielka część posłów nominalnie do nich należących pójdzie za Gowinem lub Ziobrą – a wtedy głosy Kukiza wystarczą do zachowania większości. Jarosław Kaczyński może jednak jeszcze pamiętać, że w 2005 r. przekonany był, iż po zdekapitowaniu Samoobrony i LPR posłowie Leppera oraz Giertycha, mając alternatywę wcześniejszych wyborów, czyli wymiecienia z polityki, poddadzą się PiS. Jak wiemy, wybrali jednak inaczej.

EROZJA OBECNEGO UKŁADU

Chyba że Kukiz miałby odegrać rolę brokera, w perspektywie kolejnych miesięcy przeciągającego na stronę Zjednoczonej Prawicy kolejnych posłów. Na przykład, odwiedzając się jego kierownictwu za niedawne potraktowanie, z PSL. Ta partia do Sejmu weszła tylko dzięki koalicji z Kukizem, a obecne sondyżę każą wątpić, czy zdołałaby dokazać tej sztuki ponownie. Liderzy PSL starają się rozwiać te obawy, snując wizję rozłamu w PO i stworzenia wspólnego bloku z jej „skrzydłem konserwatywnym”, które niebawem ma odejść po aborcyjnym skrucie Borysa Budki w lewo. Marek Sawicki ogłosił już rozłam w PO jako przesądzone, ale trudno to traktować jako cokolwiek więcej niż jego „chciewstwo”. Nic nie wskazuje na to, by w PO jacyś ideowi konserwatyści przetrwali erę Kopacz i Komorowskiego, a jeszcze mniej, by byli skłonni do secesji.

Nie ulega jednak wątpliwości, że wielu posłów PO „z tylnych ław” straciło poczucie bezpieczeństwa, więc obecny układ sejmowy w ciągu najbliższych lat będzie ulegać stopniowej erozji. Kukiz, podejmując rozmowy, dał sygnał, że w tej grze będzie istniał. I w gruncie rzeczy, o to przede wszystkim chodzi – a także, analogicznie, tak jak w wypadku tworzenia koła poselskiego przez Hołownię, o to, by po prostu być w mediach. Wyborcy mają krótką pamięć i o tych, którzy nie dają pretekstu do wspominania o nich na portalach i w dziennikach, do roku 2023 zwyczajnie zapomną.

na epidemiczne obostrzenia i dławienie nimi przez rząd drobnych przedsiębiorców, ale nie skorzystał też z okazji, jaką atak liberalnych mediów na Daniela Obajtka dawał do przypomnienia, że zawsze krytykował instytucję spółek Skarbu Państwa jako źródło patologii. Skupił się na kilku, wciąż tych samych postulatach, mających służyć „oddaniu państwa obywatelom”. Ordynacja większościowa, poszerzenie zakresu spraw rozstrzyganych w drodze referendum, w tym prawo odwoływania przez wyborców parlamentarzystów w trakcie kadencji, oraz wprowadzenie sędziów pokoju.

Oficjalne włączenie tych postulatów do programu PSL umożliwiło swego czasu Kukizowi zachowanie twarzy (a przynajmniej pozorów) przy zbliżeniu z tą partią. Ale PSL, powiedzmy szczerze, mógł sobie dopisać do programu wszystko, bo i tak szczytem marzeń tej partii jest rola mniejszościowego koalicjanta przy PO i ewentualnie Lewicy. PiS natomiast jest partią rządzącą, chce nią być jeszcze długo, i w składaniu ustrojowych obietnic musi zachować umiar. Co prawda, na fali podjętych rozmów znaczący

RYSZARD GROMADZKI: Czy w polskiej polityce jest dziś przestrzeń do budowania katalogu spraw wspólnych dotyczących społecznych i narodowych priorytetów, wychodzących poza utrwalone podziały i bieżącą taktykę partyjną?

TOMASZ RZYMKOWSKI: Oczywiście, że tak. Podam świeży przykład. Reprezentowałem w ostatnich dniach Ministerstwo Nauki i Edukacji w Sejmie podczas drugiego czytania poselskiego projektu ustawy dotyczącego nauczania domowego. Ku mojemu zaskoczeniu wszystkie ugrupowania z wyjątkiem Lewicy w większym lub mniejszym stopniu, ale pochlebnie wypowiedziały się o tym poselskim projekcie ustawy odpowiadającej na potrzebę środowiska rodziców, którzy chcą akurat z tej formy edukacji, realizacji obowiązku szkolnego poza szkołą, korzystać. To pokazuje, że wokół takich spraw, które dla obywateli są ważne, można budować większość parlamentarną ponad podziałami politycznymi. Warto dodać, że ten projekt firmował poseł Bartłomiej Wróblewski, kandydujący obecnie na stanowisko Rzecznika Praw Obywatelskich.

Czy pana zdaniem w tym katalogu spraw wspólnych, wokół których można budować ponadpartyjną większość, mieszczą się kwestie sędziów pokoju i jednomandatowych okręgów wyborczych?

Jestem wielkim orędownikiem sędziów pokoju. Byłem zwolennikiem tego postulatu w czasie, kiedy byłem posłem ruchu Kukiz'15. Nadal uważam, że jest to jedno z najważniejszych remediów na niewydolność polskiego systemu wymiaru sprawiedliwości. Wielu ludzi w Polsce wciąż nie ma rzeczywistego poczucia sprawiedliwości. Możliwość wybierania i odwoływania sędziów, którzy rozstrzygaliby w tych najprostszych sprawach dotyczących drobnych sporów sąsiedzkich czy wykroczeń oraz drobnych przestępstw, jest moim zdaniem akceptowalna dla większości naszej sceny politycznej. Pamiętajmy, że instytucja ta funkcjonowała przecież w systemie prawnym II RP oraz działa z powodzeniem w krajach zachodnich, takich jak Stany Zjednoczone, Wielka Brytania czy Belgia.

A JOW-y? To chyba twardy orzech do zgryzienia przez klasę polityczną. Czy opór wobec tego postulatu nie jest przede wszystkim podyktowany strachem, że taka formuła ustrojowa spowodowałaby, iż wielu obecnych parlamentarzystów nie miałoby szans na znalezienie się w Sejmie?



Z Tomaszem Rzymkowskim, wiceministrem edukacji i nauki, posłem Prawa i Sprawiedliwości rozmawia Ryszard Gromadzki

FOT. PIOTR MOLECKI / EAST NEWS

Czas wolnościowców

Są argumenty przemawiające zarówno za takim rozwiązaniem, jak i przeciwnie. Z jednej strony obywatele poprzez JOW-y zyskaliby lojalnych wobec siebie reprezentantów, bo ci mieliby świadomość, że z końcem kadencji zostaną w rzeczywistości, a nie pozorny sposób rozliczeni przez swoich wyborców. To niewątpliwie atut ordynacji jednomandatowej. Z drugiej strony, przyjęcie tego systemu może skutkować szerokim wejściem do Sejmu lokalnych oligarchów i rozdrobnieniem sceny politycznej. Jest jeszcze jedna, najpoważniejsza bariera blokująca jednomandatowe okręgi wyborcze, czyli zmiana konstytucji. Konstytucja RP mówi przecież, że wybory do Sejmu są proporcjonalne. Alternatywą jest ordynacja mieszana na wzór obowiązującej w Niemczech.

Czy w trakcie toczonych obecnie rozmów pomiędzy prezesem Kaczyńskim a Pawłem Kukizem te sztandarowe postulaty Kukiz'15 są przedmiotem negocjacji? Czy PiS w zamian za poparcie Kukiza i jego posłów gotowy jest wprowadzić je do swojej agendy?

To pytanie do obydwu tych polityków. Nie mam wiedzy na temat ich ustaleń.

Jeszcze niedawno wydawało się, że bliższa współpraca pomiędzy PiS a Kukizem jest niemożliwa. To nie kto inny, jak Paweł Kukiz porównywał kilka lat temu Prawo i Sprawiedliwość do PZPR... Skąd ten „przypływ uczuć” do PiS z jego strony?

Żnów odsyłam po odpowiedź do Pawła Kukiza. Dobrze znam Pawła, nadal się przyjaźnimy. Moje odejście z Kukiz'15 na tle innych rozstań z klubem, które miały miejsce w poprzedniej kadencji Sejmu, było takim „aksamitnym” odejściem. Przy każdym spotkaniu na sejmowych korytarzach serdecznie się witaliśmy i tak jest do dzisiaj. Bardzo cenię Pawła Kukiza. Uważam go za człowieka, którego absolutnie nie można porównywać z Januszem Palikotem, Ryszardem Petru czy Szymonem Hołownią, co czynią niektórzy komentatorzy sceny politycznej. To nie jest produkt PR-owski stworzony do jakiegoś celu czy osoba, która angażuje się w politykę z niskich pobudek. To jest człowiek, który kieruje się imperatywem moralnym. Kukiz chce w polityce rzeczywiście coś zrobić, zreformować państwo. Jego światopogląd jest bardzo mocno nacechowany podmiotowym traktowaniem narodu, społeczeństwa. Dla niego niezwykle ważne jest, żeby decyzje polityczne były odzwierciedleniem stanowiska opinii publicznej. Nie zawsze się z nim zgadzam. Uważam, że niektóre populistyczne ha-

Wielu ludzi w Polsce wciąż nie ma rzeczywistego poczucia sprawiedliwości

sła bardzo nośne społecznie nie powinny być realizowane z punktu widzenia dobra państwa, a wręcz niewskazane byłoby realizowanie takich postulatów. Paweł Kukiz jest osobą, która ma swoje imponderabilia, swój świat wartości i bardzo konsekwentnie przy nich trwa.

Jak tę charakterystykę Kukiza pogodzić z paktem, który zawarł z PSL? Przecież ta partia to rdzeń post-peerelowskiego układu, formacja obrotowa...

Potraktowałem ten krok jako naiwność ze strony Pawła Kukiza. To dotyka nas wszystkich. Kukiz prawdopodobnie uwierzył w deklarację dobrej współpracy ze strony PSL. Ja nie miałem co do tego żadnych złudzeń. Na tym tle nasze drogi się rozeszły. Powtórzę: Paweł Kukiz jest wierny swoim poglądom. Jest zwolennikiem tego, żeby obywatele decydowali, czego odzwierciedleniem jest postulat jednomandatowych okręgów wyborczych. Jest postulat sędziów pokoju, który spotkał się już z akceptacją prezydenta Andrzeja Dudy. Bardzo się cieszę, że w Kancelarii Prezydenta powstał zespół ds. sędziów pokoju, którego pracownikiem będzie przewodniczył wybitny prawnik, którym jest prof. Piotr Kruszyński. Paweł Kukiz opowiada się za uczciwością w życiu publicznym, dlatego domaga się zaostrzenia prawa antykorupcyjnego. On też nigdy nie zrezygnował z innych postulatów proobywatelskich, takich jak zwiększenie kwoty wolnej od podatku czy ograniczenie administracji.

Czy Kukiz dołączy do Zjednoczonej Prawicy?

Tego nie wiem. Kukiz zawsze był niezależny politycznie. Podejrzewam, że formalnie nie jest gotów na tego typu ruch. Uważam natomiast, że jego postulaty w obszarze suwerenności państwa, polityki granicznej czy polityki historycznej są absolutnie spójne z programem Zjednoczonej Prawicy. Jestem przekonany, że Paweł Kukiz jest absolutnie szczery w swej retoryce dotyczącej usunięcia relikwów państwa postbolszewickiego z naszej rzeczywistości. On chce niezależnego, suwerennego państwa, którego jedynym imperatywem działania jest wola społeczeństwa.

Paweł Kukiz ma etykietę wolnościowca. Sporo takich wolnościowych akcentów znaleźć można było w wystąpieniu wspomnianego już w naszej rozmowie posła Bartłomieja Wróblewskiego, kiedy prezentowany był jako kandydat PiS na nowego Rzecznika Praw Obywatelskich. Sądzi pan, że poseł Wróblewski, nazywany przez Lewicę i Koalicję Obywatelską fundamentalistą, ma poważne szanse, żeby być wybranym na ten urząd?

Uważam, że tego rodzaju etykieta wystawiona przez opozycję jest świetnym świadectwem moralności. Ja też jestem obrzucany podobnymi inwektywami ze strony Lewicy i traktuję to jako wyjątkowy honor. Szanuję tych polityków, którzy obdarzani są przez Lewicę podobnymi określeniami. Znam dobrze posła Wróblewskiego, nie tylko jako prawnika konstytucjonalistę i sprawnego parlamentarzystę, czego dowodem jest przywołane w naszej rozmowie zaangażowanie przez niego w prace nad ustawą ułatwiającą dostęp do nauczania domowego. To człowiek wielu pasji, bardzo zaangażowany społecznie.

Gorąco wierzę, że zostanie wybrany na Rzecznika Praw Obywatelskich. To właściwy kandydat na takie stanowisko. Ten sznyt republikański, wolnościowy, proobywatelski to jest właściwy format kandydata na ten urząd i powrót do modelowych wzorców Rzecznika Praw Obywatelskich, myślę tu o nieodżałowanym rzeczniku Januszu Kochanowskim.

Czy uda się zbudować ponadpartyjną koalicję w Senacie, która pozwoli na wybór posła Wróblewskiego?

Wierzę, że to się uda, a jak wiemy, wiara jest wyższą formą poznania od wiedzy (śmiech). Uważam, że atutem posła Wróblewskiego jest pryncypialny stosunek do wartości takich jak prawo nienarodzonych do życia. Ochrona najsłabszych jest podstawową powinnością Rzecznika Praw Obywatelskich. Bartłomiej Wróblewski ma taką wrażliwość społeczną, co przejawia się w tym, że nie unika tematów, które wielu polityków omija szerokim łukiem z obawy o ewentualne straty wizerunkowe. Wróblewski jest człowiekiem odważnym, który ma twardy kręgosłup. Z tej perspektywy daję rękojmnię, także dla wielu senatorów opozycyjnych wobec PiS, którzy rozumieją, że Rzecznik Praw Obywatelskich powinien być osobą niezależną, która w sposób bezkompromisowy troszczy się o prawa obywateli.



Sierpień 1920 r., festyn ludowy Polskiego Komitetu Rewolucyjnego w Białymstoku. W centrum: Feliks Dzierżyński FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Na Wschodzie bez zmian



Piotr Semka

To już specyficzna, smutna tradycja. Niemal każdą rocznicę w relacjach polsko-rosyjskich Moskwa wykorzystuje do atakowania Polski. Nie lepiej jest na Białorusi. Prezydent Łukaszenka sięgnął po kartę antypolską dla odwrócenia uwagi Białorusinów od sytuacji w kraju

Nie każdą wystawę w Rosji prezydent Władimir Putin zaszczyca swoim specjalnym przesłaniem. I nie każda wystawa historyczna współorganizowana jest przez rosyjskie MSZ, a gości wita szef wywiadu Rosji Siergiej Naryszkin, jednocześnie szef

Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego. A zjawiała się prawdziwa czołówka ludzi z bliskiego otoczenia władcy Kremla. Wszyscy oni 16 marca br. wysłuchali przesłania rosyjskiej głowy państwa z okazji setnej rocznicy podpisania traktatu ryskiego z 1921 r. Porozumienia,

które zakończyło konflikt Sowietów ze świeżo zmartwychwstałą Polską. Wystawę w siedzibie Rosyjskiego Archiwum Państwowego zorganizowały same najwyższe służby naszych sąsiadów: Rosyjskie Towarzystwo Wojskowo-Historyczne, federalne archiwa i resort spraw zagranicznych Rosji. Jej wagę podkreślono patronatem agencji prasowej RIA i Sputnika – głównego portalu rosyjskiego zajmującego się propagandą za granicą.

TRAKTAT RYSKI JAK TRAKTAT WERSALSKI

W opinii Putina wydarzenia z lat 1919–1921 miały bardzo prostą logikę. Polska cały czas reprezentowała politykę agresji, a Rosja bolszewicka reagowała jedynie na polską ekspansję na wschód, bezskutecznie próbując pokojowej koegzystencji z Polską. Według rosyjskiego prezydenta konflikt zaczął się od tego, że Polska już pod koniec 1919 r. zaczęła zajmować terytoria Białorusi i Ukrainy. Kulminacja polskiej agresji nastąpiła w maju 1920 r., kiedy Polacy zajęli Kijów. Putin przyznał, że Rosja sowiecka marzyła o bolszewickiej rewolucji, ale unikał wszelkich nawiązań do wezwań Lenina i Trockiego, aby „po trupie Polski wkroczyć do Europy”. Ominął też niewygodny

fakt, że zanim doszło do pierwszych walk polsko-bolszewickich w marcu 1919 r., Armia Czerwona w styczniu 1919 r. zaatakowała Wilno i rozpoczęła marsz na zachód Polski.

Putin wrócił do swego ulubionego motywu, z którym wystąpił już na Westerplatte 1 września 2009 r. Piętnował wtedy traktat w Wersalu jako zarzewie przyszłych konfliktów w Europie. Tym razem wraz z „haniebnym Wersalem” na historycznej ławie oskarżonych umieszczono traktat ryski. Pokój zawarty w stolicy miał być czynnikiem niesprawiedliwości, konfliktów we wschodniej części Europy i w konsekwencji nowej wojny.

Prezydent Rosji z wyraźnym żalem napisał, że w traktacie ryskim „radziecka strona była zmuszona zgodzić się z tym, że Polska dostaje połowę terytoriów ówczesnej Białorusi i jedną czwartą ówczesnej Ukrainy”.

Według Putina przekazanie białoruskich i ukraińskich ziem innemu państwu nie odpowiadało realiom etnicznym, kulturowym i społecznym. Potępił dyskryminację miejscowej ludności i „aktywizację skrajnych idei nacjonalistycznych”. Nie zabrakło stałej już w kontekście wojny 1920 r. wzmianki o „tragicznym losie żołnierzy Armii Czerwonej, którzy dostali się do niewoli”. Znaczna część z nich zmarła w „polskich obozach”. Gospodarz Kremla ocenił, że wystawa może być jeszcze jednym krokiem do tego, żeby „wydarzenia sprzed stu lat nie były przedmiotem celowych zniekształceń i manipulacji, nie dzieliły państw, lecz służyły wzmocnieniu wzajemnego zaufania”.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

O szczegółach wystawy donosi polskojęzyczny portal Sputnik. Wśród eksponatów umieszczonych w kilku salach znajdują się dokumenty historyczne (783 nowe autentyczne dokumenty archiwalne), eksponaty muzealne, mapy działań wojennych, oryginalne ulotki i plakaty propagandowe (w języku polskim i rosyjskim), w tym oryginały legendarnych „Okien ROSTA” – propagandowych plakatów z epoki z osobistymi podpisami Władimira Majakowskiego, próbki obrazów i grafik, a także rzeczy osobiste Władimira Lenina, Feliksa Dzierżyńskiego i Siemiona Budionnego. Na stronie wystawy można znaleźć tak ciekawe świadectwa jak nagranie po podpisaniu pokoju komunisty Juliana Marchlewskiego (po polsku) i dokumenty z godłem Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad.

Są także wpadki dość żenujące. Oto pod zdjęciem z odznaczania polskich



Tak wyglądało planowane godło Polskiej Socjalistycznej Republiki Rad

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

oficerów w Warszawie w 1920 r. pojawia się podpis: „Piłsudski i papież Pius XI”. Po pierwsze, wydaje się, że na zdjęciu obok Piłsudskiego stoi biskup połowy WP Stanisław Gall, a po drugie, jeśli nawet na zdjęciu jest ówczesny nuncjusz papieski Ambrogio Damiano Achille Ratti (późniejszy papież Pius XI), to oczywiście przebywał on w Warszawie nie jako pontifex, ale jako przedstawiciel dyplomatyczny Stolicy Apostolskiej.

Jeden z autorów wystawy Piotr Skorospielów zauważa w komentarzu dla Sputnika:

„Oczywiście uwagę przyciąga prezentowany na wystawie dekret o zerzeniu się przez Rosję radziecką skutków licznych rozbiorów Polski. Jest rok 1918. Co więcej, liczne dokumenty wskazują, że Kreml myślał nie tyle o rusyfikacji Polski, ile o tym, jak przetrwać w rozpalonej wojnie domowej. Niewątpliwie inicjatywa rozpętania konfliktu nie leżała po stronie rosyjskiej”.

Skorospielów zachęca, by wojnę polsko-radziecką widzieć nie tylko poprzez kampanię Armii Czerwonej nad Wisłą. „W rzeczywistości rozpoczęła się na długo przed tym, w lutym 1919 r., a inicjatywa jej rozpętania, o czym świadczą liczne dokumenty, ewidentnie leżała po polskiej stronie. Nie próbowaliśmy tworzyć tutaj gładkiej historii, aby uniknąć ostrych zakrętów. Z pewnością idea światowej rewolucji w leninowskim okresie historii radzieckiej była jedną z zasad organizujących politykę zagraniczną, niemniej jednak

dokumenty pokazują, że był to krótki epizod, który zniknął wraz z klęską Armii Czerwonej pod Warszawą” – mówił Piotr Skorospielów.

Na stronie internetowej wystawy parokrotnie powtarzana jest teza o „polskiej agresji”. Oto próbka takiej argumentacji: „Z dokumentów prezentowanych na wystawie wynika, że Rosja Sowiecka dążyła do nawiązania stosunków dyplomatycznych z Polską i pokojowego uregulowania kwestii delimitacji terytorialnej. W styczniu 1920 r. Rada Komisarzy Ludowych RFSRR wystąpiła do rządu RP i do narodu polskiego o uznanie przez rząd radziecki niepodległości i suwerenności Rzeczypospolitej Polskiej z propozycją rozwiązania kontrowersyjnych kwestii w drodze negocjacji. Mimo założeń ideologicznych (hasło »rewolucji światowej«) radzieckie kierownictwo, zajęte walką na wewnętrznych frontach wojny domowej, początkowo nie miało możliwości siewietyzacji Polski.

Najazdowi polskiemu towarzyszyło zajęcie dużego terytorium, którego większość ludności stanowili Białorusini i Ukraińcy. 7 maja 1920 r. wojska polskie wkroczyły do Kijowa. W czasie wojny



Sowiecka ulotka dla żołnierzy polskich zachęcająca do buntu przeciwko swoim dowódcom

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

► radzieccy przywódcy dowiedzieli się o licznych ofiarach wśród ludności cywilnej.

Pod wpływem sukcesów militarnych bolszewicy, słowami Lenina, postanowili »poczuć bagietkami, czy rewolucja społeczna proletariatu w Polsce jest dojrzała«. O krótkotrwałej euforii, która ogarnęła bolszewickie przywództwo, świadczy rozkaz I.V. Stalin na linii bezpośredniej z 23 lipca 1920 r. Do dowódcy I Armii Kawalerii o zbliżającym się zawieszeniu broni z Polską i potrzebie szybkiej ofensywy na Lwów.

Błędna ocena sytuacji na froncie doprowadziła do rozbicia wojsk radzieckich pod Warszawą*.

Cytowany już Andriej Sorokin, dyrektor naukowy Rosyjskiego Państwowego Archiwum Historii Społeczno-Politycznej, w wypowiedziach dla Sputnika bardzo konsekwentnie broni ekipy Lenina.

„Bez względu na to, co sądzimy o bolszewikach, bez względu na to, co sądzimy o hasle światowej rewolucji, w tym konkretnym przypadku »czerwony ekspansjonizm« stał się odpowiedzią na »biały ekspansjonizm«, na polski ekspansjonizm. Jest to być może jedna z innowacji projektu, który realizujemy».

Na wystawę zareagował Polski Instytut w Moskwie. Na swojej stronie zamieścił polskie spojrzenie na tamten konflikt i na pokój ryski. Przez kolejne dni ma publikować tłumaczone na rosyjski polskie oceny wydarzeń sprzed stu lat. Pytanie jednak, jak wielu Rosjan zechce zajrzeć na strony polskiego instytutu w Moskwie?

WIELKA RUŚ, NIGDY NIESKALANA

Putin konsekwentnie buduje narrację, w której państwo – jakiegokolwiek by ono było: carskie czy stalinowskie – nigdy nie popełniało błędów. Co więcej, obowiązuje narracja, że to Rosja zawsze wyciągała rękę do polskiego sąsiada, ale ten uwiedziony podszeptami czy to Niemców, czy Francuzów tę przyjaźń lekkomyślnie odrzucił. I co gorsza, za wielkoduszość odpłacał Rosjanom okrucieństwem i „zwierstwami” (bestialstwem) wobec ludności cywilnej Białorusi i Ukrainy oraz wobec jeńców z Armii Czerwonej.



Wycufująca się szlachta w bezsilnej złości dynamitem od ententy wysadzała Kijów w powietrze i eksterminowała ludność cywilną. Sowiecki plakat z 1920 r. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wystawa ewidentnie jest kolejnym elementem budowania przez rosyjską politykę historyczną wizji okresu międzywojennego jako Europy skazanej po 1921 r. na nową wojnę z racji Wersalu i Rygi. Polska obsadzana jest w roli czynnika destabilizującego Europę i cichego sojusznika Hitlera.

„Nie jest zaskoczeniem, że na otwarciu wystawy pierwsze skrzypce grał Siergiej Naryszkin – szef wywiadu, a jednocześnie przewodniczący Rosyjskiego Towarzystwa Historycznego” – wskazuje Adam Eberhardt, szef Ośrodka Studiów Wschodnich. To Naryszkin przygotowywał grunt pod wiele propagandowych wojenek Kremla na polu historii. Ostatnio był aktywny rok temu, gdy Putin oskarżył polskiego ambasadora w Berlinie z lat 30., Józefa Lipskiego, o antysemityzm i kłamał na temat rzekomej tajnej antysowieckiej klauzuli w traktacie o nieagresji Berlin-Warszawa z 1934 r.

Ataki na Wersal to ułkon w stronę Niemiec, w którym to kraju, w tamtejszej historiografii, od lat obecny jest pogląd, że bez niesprawiedliwego traktatu wersalskiego Hitler nie musiałby dojść do władzy. A tym samym nie byłoby wojny. W przypadku potępienia przez Moskwę traktatu ryskiego jest to ułkon w stronę Białorusi i Ukrainy, które traktat ryski postrzegają jako kres swoich marzeń o niepodległości.

Nic dziwnego, że w wystawie partycypowały archiwa z Mińska, co dało asumpt do nazywania ekspozycji wspólną inicjatywą rosyjsko-białoruską. Nie można wątpić, że prezydent Alaksandr Łukaszenka w pełni patronował tej kooperacji. Granie kartą antypolską bardzo mu się przydaje w ostatnim czasie. Krążą informacje, że białoruski prezydent chce ustanowić świętem państwowym dzień 17 września – rocznicę najazdu z 1939 r. i tym samym dzień końca ładu ryskiego.

Białoruską Polonię zbulwersowały ostatnio przypadki rewizji w domach polskich działaczy ze strony łukaszenkowskich organów bezpieczeństwa w poszukiwaniu wydanych w Polsce podręczników historii, które według władz mają zawierać treści obelżywe dla narodu białoruskiego.

Łukasz Adamski, analityk polityki wschodniej, wskazuje: „Cokolwiek by mówić o tej wystawie, pokazuje ona, że w jakiś dziwny sposób Polska jest dla Rosji ważna, choćby jako negatywny punkt odniesienia. Jeśli na otwarciu wystawy melduje się cała czołówka ideologów putinizmu, to coś znaczy. Rosjanie czują się pokrzywdzeni wizerunkiem swojego państwa jako zaborczego i ekspansywnego imperium zła. Z tym większym zapałem desperacko udowadniają, że to inni byli źli, a Rosja od zawsze kochała pokój. W tym wypadku »ci źli« to nasz kraj».

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawę można obejrzeć w Internecie pod adresem: pswar.rusarchives.ru/vystuplenie-yuyu-markhlevskogo-o-zaklyuchenii-mira-s-polshey.

stop.
cafe

BUDZI APETYT NA ŻYCIE


ORLEN

NOWOŚĆ



Twoje śniadanie na ciepło!

Dostępne na wybranych stacjach ORLEN, o ofertę zapytaj sprzedawcę.



Elżbieta Podleśna (pierwsza z prawej) rozklejała wlepki z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

Tęcza obraża

Elżbieta Podleśna, Anna Prus i Joanna Gzyra-Iskander stanęły przed sądem za obrazę uczuć religijnych.

A konkretnie – za rozklejanie wlepek z wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej w tęczowej aureoli wokół kościoła św. Dominika w Płocku. Prokurator wnosił o sześć miesięcy ograniczenia wolności z obowiązkiem wykonywania nieodpłatnej, kontrolowanej pracy społecznej. Podleśna tłumaczyła podczas rozprawy, że bezpośrednim impulsem do akcji była „zawierająca treści homofobiczne, krzywdzące” instalacja Grobu Pańskiego w płockiej świątyni. Sąd niedawno przychylił się do tej argumentacji i uniewinnił aktywistki, stwierdzając, że choć ich działania miały „charakter prowokujący”, to „miały na celu ochronę osób dyskryminowanych”.

– Sąd wydał wyrok skrajnie ideologiczny. W mojej ocenie niekonstytucyjny, ponieważ faworyzuje konkretną grupę z uwagi na światopogląd jej reprezentantów – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Magdalena Korzekwa-Kaliszuk, prawnik i psycholog. – Zgodnie z taką linią orzeczniczą lobbystom LGBT



Maciej Pieczyński

Próbowała blokować legalne manifestacje, profanowała obraz Matki Bożej, atakowała biura polityków PiS. Niedawno uniewinniona przez sąd. Kim jest Elżbieta Podleśna, tęczowa rewolucjonistka?

i osobom wpisującym się w tę ideologię wolno więcej niż innym. Wolno im mianowicie obrażać tych, którzy nie podzielają ich poglądów. Szczególnie jeśli są to katolicy. Na tym przykładzie dobrze widać, jak instrumentalnie traktowane są przepisy o obrazie uczuć religijnych. Bardzo rzadko i niechętnie są stosowane w obronie katolickich świętości. Na większą empatię ze strony wymiaru sprawiedliwości czy opinii publicznej mogą liczyć wierni innych wyznań – dodaje.

GRZECH LGBT

A cóż to za skandaliczne treści wywołały gniew lewicowych prowokaterek? Grób Pański w kościele św. Dominika udekorowany został szarymi pudłami, z wypisa-

nymi na nich nazwami ciężkich grzechów. Czyż nie pomysłowa instalacja? Wrażliwe na sztukę lewicowe aktywistki powinny raczej pochwalić oryginalny pomysł proboszcza. Tyle że wśród grzechów, oprócz „chciwości”, „nienawiści”, „pogardy”, „egoizmu”, znalazły się również „LGBT”, „gender” czy „homozboczenie”. Podleśna sama uważa się za osobę wierzącą, która odeszła z Kościoła. Z kolei, występując rok temu na Festiwalu Polskim Asker na przedmieściach Oslo, określiła siebie mianem „wierzącej katoliczki”, twierdząc jednocześnie, że główne problemy Polski to rozpolitykowany Kościół i brak tolerancji oraz akceptacji mniejszości. Najwyraźniej jednak Podleśna albo nie wie, albo udaje, że nie wie, iż zachowania i poglądy

promowane pod tęczowym sztandarem z katolickiego punktu widzenia są zachowaniami i poglądami nieakceptowalnymi, grzesznymi. – Gender, LGBT, homoseksualizm to są ideologie lansujące postawy przeciwne prawdzie stworzenia i przeciwne autentycznej miłości – mówi „Do Rzeczy” ks. prof. Paweł Bortkiewicz, teolog moralny. – Skoro bowiem zamiast dwóch płci stworzonych przez Boga ktoś wyznaje wiele orientacji seksualnych, traktując je jako tożsamość, to oznacza, że odrzuca prawdę o stworzeniu i Stwórcy. Te ideologie można traktować jako wprost ateistyczne. Zarazem są to ideologie, które przeczą prawdzie o miłości, redukując ją do wyłącznie egoistycznej przyjemności. Tego nie da się pogodzić z Bogiem miłości w chrześcijaństwie – dodaje.

Podleśna oburzyła się, gdy ks. Tadeusz Łebkowski, proboszcz płockiej parafii, zeznał o swastyce. Przecież, zgodnie z lewicową narracją, LGBT to ideologia, tylko konkretni, zasługujący na szacunek ludzie. Problem w tym, że tej samej miary otwartości na człowieka Podleśna nie stosuje wobec Kościoła. Gdy papież Franciszek przyznał, że jest przeciwko związkowi tej samej płci, bo „Bóg nie pobłogosławi grzechu”, Podleśna skomentowała na Facebooku: „Uwielbiam gadanie w imieniu Boga. Ileż już tego było. Choćby takie Gott mit uns”. Zestawiła więc Ojca Świętego (który przecież reprezentuje lewicujący „Kościół otwarty”) z niemieckimi nazistami. Ponadto, jak widać, jej zdaniem „gadać w imieniu Boga” nie ma prawa nawet sam papież. Co innego Elżbieta Podleśna, która lepiej od katolików wie, co ich obraża i czego życzyłaby sobie czczona przez nich Maryja. Na sali sądowej, uzasadniając swój czyn, aktywistka twierdziła, że chodziło jej o „pokazanie, że Maryja nie pozwoli zrobić krzywdy dziecku, dziecku tęczowemu, dziecku, które urodziło się nieheteronormatywne”. Po pierwsze, o żadnej „krzywdzie” nie było mowy. Po drugie, teza o wrodzonym homoseksualizmie jest co najmniej kontrowersyjna. Po trzecie, ta wypowiedź pokazuje typową butę i arogancję lewicowych antyklerykałów, którzy nie poczuwając się do bycia częścią wspólnoty Kościoła i nie mając żadnych kompetencji w dziedzinie znajomości zasad, jakimi Kościół się kieruje, jednocześnie Kościół ten pouczają.

– Po pierwsze, tzw. tęczowa aureola niszczy aureolę królewską przysługującą Maryi. Zatem radykalnie dewastuje tożsamość Maryi królowej Polski. Gdyby

nawet przyjąć, że Maryja „nie pozwoliłaby zrobić krzywdy dziecku tęczowemu”, to postawa Maryi Matki wyraża się w tym, aby objąć to dziecko terapią, a nie obojętnością płynącą z tolerancji zła – komentuje ks. prof. Bortkiewicz.

BARWNY OBRAZ PODLEŚNEJ

Sprawa o obrazę uczuć religijnych to nie pierwsze kłopoty Elżbiety Podleśnej z prawem. Latem 2018 r. zdewastowała biura parlamentarzystów PiS. Napisała sprayem „PZPR” na drzwiach i oknach, a na chodniku przed biurem – „Czas na sąd ostateczny”. Początkowo prokuratura chciała oskarżyć Podleśną o propagowanie ustroju totalitarnego. Ostatecznie jednak stanęło na oskarżeniu o wandalizm. W grudniu 2020 r. sąd uznał Podleśną za winną zniszczenia mienia, ale warunkowo umorzył postępowanie na próbny okres jednego roku.

W 2017 r. Podleśna próbowała zablokować Marsz Niepodległości. Wraz z grupą aktywistek stanęła na trasie demonstracji z banerem o treści „Faszyzm stop”. Sprawa trafiła do sądu, który stwierdził, że usiłowały przeszkodzić przebiegowi niezakazanego zgromadzenia publicznego. Za to wykroczenie dziewięć aktywistek z 14 miało zapłacić po 200 zł. Podczas kolejnej rozprawy zostały jednak niewinione. Tym razem sąd orzekł, że chciały „zaprotestować przeciwko nienawiści”. Zgodnie z tą linią orzecniczą dopuszczalne jest blokowanie wszelkich legalnych zgromadzeń publicznych, jeśli tylko blokujący uznają, że tymi zgromadzeniami kieruje nienawiść... Do sądu trafiła też sprawa rzekomego użycia przemocy wobec aktywistek przez uczestników Marszu Niepodległości. Podleśna i jej towarzyszkę miały być łżone, oplute i kopane. Prokuratura uznała, że napastnicy wyrażali swoje niezadowolenie, i sprawę umorzyła.

Barwny obraz nie tylko przekonał, lecz także kultury osobistej Elżbiety Podleśnej dają zdjęcia opublikowane na jej facebookowym profilu. Na jednym z nich widać transparent z jednego z proaborcyjnych protestów, z hasłem: „Polska jest pojeb...a”. Na kilku aktywistka użyła nakładki o pełnej tolerancji i otwartości na drugiego człowieka o treści „Ch.. z wami, aborcje z nami”.

AFIRMACJA HOMOSEKSUALIZMU

W przerwach pomiędzy kolejnymi ulicznymi akcjami Elżbieta Podleśna jest psychologiem i psychoterapeutą. Prowa-

dzi terapię uzależnień. Również na polu zawodowym aktywnie staje po jednej ze stron cywilizacyjnego sporu w Polsce. „Po niesłuchanie niebezpiecznym ataku na Marsz Równości w Białymstoku, w którym nie padły ofiary śmiertelne dzięki zbiegowi okoliczności, bo rzucając w stronę uczestników kamienie były mierzone tak, by zrobić krzywdę, nie pod nogi, z moją przyjaciółką psycholożką założyłyśmy sieć wsparcia Terapeuci dla LGBT. Właśnie dlatego, że te osoby są od długiego czasu w sytuacji szczególnego stresu, autentycznego zagrożenia, które musi skutkować różnymi konsekwencjami psychologicznymi” – opowiadała w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów”.

Podpisała również i publicznie zachęcała koleżanki i kolegów po fachu do poparcia „listu otwartego psychoterapeutów i psychoterapeutek, psycholożek i psychologów do osób LGBT+ oraz osób zastanawiających się nad swoją orientacją seksualną i tożsamością płciową”. Treść listu ma jednoznaczny wymiar ideologiczny. Podpisani pod nim terapeuci sprzeciwiają się „pomysłom terapii konwersyjnej w jakiegokolwiek postaci i pod jakąkolwiek nazwą (»leczenie homoseksualizmu«, »przywracanie naturalnej orientacji płciowej«, »wsparcie duchowe dla osób LGBT« itp.)”. Czyli pełna i bezwarunkowa nie tylko akceptacja, lecz także afirmacja homoseksualizmu. Tęczowi terapeuci radzą adresatom swojego listu: „Pytajcie, przed podjęciem współpracy z osobą świadczącą pomoc psychologiczną, o to, jakie ma kwalifikacje, doświadczenie oraz czy akceptuje osoby LGBT+ [...]. Szukajcie rekomendacji ze strony organizacji społecznych działających na rzecz mniejszości seksualnych, pytajcie wprost, oczekujcie udokumentowania kwalifikacji”.

Terapeuci radzą więc osobom, które mają problem, by szukały pomocy u tych terapeutów, którzy tego problemu nie dostrzegają. Logiczne.

– Na tym przykładzie widać, że lobbysci LGBT bynajmniej nie reprezentują wszystkich osób homoseksualnych. Jeśli ktoś odczuwa problem z własną tożsamością płciową i chciałby ten problem rozwiązać, zamiast go pogłębiać, to nie musi wcale korzystać z usług terapeutów prezentujących „tęczową” ideologię. Może znaleźć psychologa, który naprawdę mu pomoże. Nie ma jednej, jedynie słusznej metody terapii – mówi Magdalena Korzekwa-Kaliszusk.



Kobiety czują się osamotnione



Z Jadvigą Emilewicz, posłanką Zjednoczonej Prawicy, była wicepremier i minister rozwoju
rozmawia Kamila Baranowska

KAMILA BARANOWSKA: W Dniu Kobiet zaprezentowała pani raport z dużego badania dotyczącego współczesnych polskich kobiet, ich aspiracji, oczekiwań, wyznawanych wartości. Jaki obraz polskiej kobiety wyłania się z tych badań?

JADWIGA EMILEWICZ: Przede wszystkim niejednorodny. Najważniejszy wniosek badania, przeprowadzonego przez

pracownię IBRiS, jest taki, że nie ma jednego modelu, swoistego wzorca z Sèvres, współczesnej polskiej kobiety. Jesteśmy różne, mamy różne aspiracje i oczekiwania. Nieznacznie się też różnimy w zależności od tego, czy mieszkamy w dużych miastach, czy w mniejszych miejscowościach. Jednak niezwykle

ciekawe jest to, co nas łączy – wśród wartości, które cenimy najbardziej, jest umiłowanie wolności. Drugą, równie ważną dla nas, Polek, wartością jest równość. Chcemy, aby każdy człowiek był równo traktowany i miał równe szanse rozwoju. Jednocześnie równie ważne są dla nas rodzina i poczucie bezpieczeństwa. To unikalne połączenie tradycji i wolności jest naszą specyfiką, która odróżnia statystyczną Polkę od Włoszek, Francuzek, Szwedek czy kobiet naszego regionu Europy.

To było największym zaskoczeniem?

Nie tylko. Niespodzianek było więcej. Jedno z pytań zadawanych respondentkom dotyczyło akceptacji dla nieoczywistych – w tradycyjnym rozumieniu roli kobiety – wyborów, takich jak rezygnacja z macierzyństwa albo powrót do pracy na cały etat i rezygnacja z opieki nad małym dzieckiem do trzeciego roku życia czy też zamieszkanie z partnerem bez ślubu. Sam fakt, że akceptacja wśród Polek dla takich wyborów występuje

powszechnie, dziś pewnie nie szokuje. Takie mamy dziś mocno promowane wzorce kulturowe i taki styl życia stał się – w sposób nieuzasadniony – synonimem nowoczesności. Ale to, że ten poziom akceptacji okazał się znacząco wyższy niż u statystycznych Włoszek, Francuzek czy Szwedek, był dla mnie prawdziwym zaskoczeniem. Staram się czytać te wyniki łącznie i myślę, że chodzi tu o to, że w swoim domu niezwykle cenimy sobie prywatność i nie interesuje nas to, jakie decyzje życiowe podejmują nasze sąsiadki czy koleżanki. Nie zmienia to jednak faktu, że tradycyjne wartości pozostają dla nas ciągle najważniejsze.

Dla ponad 90 proc. kobiet ważne w życiu są miłość, stabilizacja życiowa, udane życie rodzinne, szczęście partnera, ale także niezależność finansowa i aktywność zawodowa. Taki konserwatyzm w nowoczesnym wydaniu.

Kobiety bardzo chcą być aktywne zawodowo. Aż 97 proc. respondentek deklaruje, że praca jest elementem podnoszącym ich status społeczny. Dzięki niej czują się dowartościowane. Z kolei prawie 90 proc. odpowiada, że nawet gdyby nie musiały pracować, bo ich sytuacja materialna by na to pozwalała, to i tak nie zrezygnowałyby z pracy. I tu pojawia się inny problem. Mamy świetnie wykształcone kobiety, które realizują się zawodowo, i gorzej od nich wykształconych mężczyzn (co pokazują dane statystyczne). To sprawia, że kobietom coraz trudniej jest znaleźć partnera, który będzie rozumiał ich potrzeby, aspiracje, będzie je wspierał czy motywował. Widać, że te światy i oczekiwania gdzieś się rozjeżdżają i to jest bardzo niepokojące. Takich kwestii, nad którymi trzeba się pochylić, jest zresztą więcej.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę ogólnodostępne dane statystyczne z Eurostatu i GUS, dotyczące kwestii wykształcenia, luki płacowej, czasu poświęcanego na opiekę domową itd., to są one optymistyczne i kompletnie nie pokrywają się z tym, jak siebie i rzeczywistość postrzegają polskie kobiety.

To znaczy?

Statystyczna Polka jest nie tylko lepiej wykształcona niż statystyczny Polak, ale jest także jedną z lepiej wykształconych w Europie. Liczba kobiet na stanowiskach menedżerskich w Polsce jest także powyżej średniej europejskiej (to ok. 44 proc. w stosunku do mężczyzn).

Podobnie rzecz się ma z luką płacową. Jesteśmy poniżej średniej europejskiej, jeśli chodzi o różnice w zarobkach kobiet i mężczyzn (luka płacowa kształtuje się na poziomie 20 proc.).

Tylko skoro jest tak dobrze, to skąd u kobiet poczucie, że oczekiwania wobec nich są mocno wygórowane, a równość, zwłaszcza na rynku pracy, jest fikcją?

I to jest wyzwanie, przed którym stoimy. Bo rzeczywistość jest tak, że kobiety w ich własnym odczuciu, co pokazały badania IBRIS, odczuwają te nierówności znacznie bardziej, niż wynikałoby to ze statystyk. Mówią, że luka płacowa jest znacznie większa, że ich szanse na awans w pracy są mniejsze niż mężczyzn. Ja bym tego nie bagatelizowała, bo to pokazuje, że brak równego traktowania jest większy, niż się wydaje, albo mocniej jest dawany kobietom do zrozumienia. Z punktu widzenia kobiet oczekiwania, jakie im się dziś stawia, są niebotyczne, bo mają nie tylko być dobrze wykształcone, mieć dobrą pracę i dobrze wyglądać, lecz także być dobrymi żonami i matkami. Jednym słowem, mają być superbohaterkami. To prędzej czy później budzi frustrację i sprzeciw.

A w efekcie rozczarowanie równouprawnieniem. Wspominała pani o tym podczas prezentacji raportu.

Kobiety coraz częściej czują się zawiedzione faktem, że równouprawnienie zostało zredukowane tylko do sfery zawodowej. W radzeniu sobie z codziennością nadal czują się osamotnione. Pracują na pełen etat, mają poczucie, że wymaga się od nich więcej niż od mężczyzn, starają się te zadania wypełniać perfekcyjnie, następnie wracają z pracy i mają na głowie dom i dzieci. I w tej drugiej części swojego życia, domowej, nie czują wsparcia od swoich partnerów czy mężów. W pracy jesteśmy równouprawnione, ale już w obowiązkach domowych ta zasada nie działa, i to nie działa zarówno na wsi, w małej miejscowości, jak i w dużym mieście. A przecież, jeśli kobieta ma się realizować, to powinno się to odbywać z realną odpowiedzialnością mężczyzn za codzienność.

W dyskusji o kobietach często dominuje przekonanie, że kobieta musi godzić pracę z wychowaniem dzieci i prowadzeniem domu. A co, jeśli świadomie zdecyduje się tylko na to drugie? Feministki od razu zagrzmą o patriarchacie.

Wnioskiem, który wyciągam z tych badań, ale poniekąd także z ostatniej jesieni, bardzo trudnej, gdy debata zaczęła toczyć się na ulicy, a to nie jest miejsce, by rozmawiać o problemach kobiet i o tym, jak je rozwiązywać, jest postulat o równouprawnieniu wyborów kobiet. Bo zarówno kobieta aktywna zawodowo, która łączy te obowiązki z obowiązkami rodzinnymi, jak i ta, która mówi, że chce się zajmować przez większą część swojego życia wychowaniem dzieci, podejmuje równie istotną decyzję. To są dwa równoprawne i tak samo ważne życiowe wybory. Oczywiście można na to patrzeć przez pryzmat światopoglądu, ale ja bym radziła spojrzeć na to szerzej. Dane demograficzne są bardzo niepokojące. Jeśli mamy poziom dzietności na poziomie 1,46, to znaczy, że sięgamy do takich rezerw demograficznych, które zaczynają być niebezpieczne. Jeśli ten trend się wyraźnie nie poprawi, to w 2060 r. będziemy mieć tyle samo ludzi aktywnych zawodowo, ile tych, na których ci aktywni będą pracować. I to jest dla nas, jako państwa, fatalna perspektywa. W interesie społecznym i politycznym równouprawnienie wyborów kobiet i docenienie tych kobiet, które decydują się na pozostanie w domu, jest pożądane i konieczne. Stygmatyzacja określeniami takimi jak „kura domowa” to krzywda, którą wyrządzamy nie tylko kobietom, lecz także sobie jako społeczeństwu.

Stąd się wziął postulat objęcia kobiet, które wybierają wychowywanie dzieci, świadczeniem emerytalnym? Bo zajmowanie się domem to też praca.

Tak, to jeden z postulatów, które zaproponowałam. Oczywiście trzeba pomagać wracać na rynek pracy tym kobietom, które z racji urodzenia dziecka przerwały swoją aktywność zawodową i chcą do niej wrócić, ale trzeba też zaopiekować się tymi kobietami, które dokonały wyboru „zawodowego” macierzyństwa. W ubiegłej kadencji przyznaliśmy świadczenie emerytalne matkom z czworgiem dzieci. Uważam, że powinno ono obejmować wszystkie matki, także te z jednym dzieckiem czy dwojgiem – w czasie przed ich powrotem do pracy.

W ramach pomocy kobietom matkom w powrocie na rynek pracy proponuje pani, by to państwo pokrywało koszty urlopu macierzyńskiego przed porodem i po nim. Miałoby to ułatwić przedsiębiorcom zatrudnianie kobiet.

■ Ten postulat to efekt moich rozmów prowadzonych od roku z kobietami w Poznaniu. To tam panie, które prowadzą własną działalność gospodarczą i chcą zatrudniać inne kobiety, zwróciły mi uwagę, że koszty zatrudnienia młodych dziewczyn dla małego czy średniego przedsiębiorcy są bardzo wysokie wtedy, kiedy taka pracowniczka zachodzi w ciążę i później zajmuje się swoim dzieckiem. Dlatego uważam, że te koszty mogłyby zostać podzielone pomiędzy pracodawcę a państwo. Jeśli stawiamy sobie za cel politykę rodzinną, to taki argument zachęciłby i ośmielił przedsiębiorców do zatrudniania młodych matek.

Skąd wziął się pomysł na zrobienie tak przekrojowych badań dotyczących kobiet? Na pierwszy rzut oka wygląda to jak próba dotarcia do tej grupy po jesennych strajkach wokół kwestii aborcji.

Pomysł tych badań zrodził się dużo wcześniej, podczas mojej kampanii parlamentarnej w 2019 r. w Poznaniu, gdy uczestniczyłam w debacie kandydatek startujących z różnych list. To była bardzo trudna debata, byłam tam, jak łatwo się domyślić, osamotniona ze swoimi poglądami. Wtedy dotarło do mnie, że druga strona debaty regularnie robi badania społeczne i posługuje się konkretnymi – jak sądziłam wówczas – dość wybiórczo. I – jak się okazuje – miałam rację. Kobiety dzielące mój punkt widzenia – aktywne zawodowo, ale i odpowiedzialne za rodzinę i z niej czerpiące siłę, a intuicja podpowiada mi, że jest ich więcej, niż się wydaje – ani nie dyskutują publicznie o sprawach kobiet, ani nie mają własnych kongresów kobiet, ani nie dysponują badaniami, które mogłyby być punktem wyjścia do formułowania postulatów. Chciałam się więc dowiedzieć czegoś o polskich kobietach, a roboczy tytuł, który nadałam badaniu, brzmiał: „Czego pragną kobiety?”. Wśród pytań, które zostały zadane, obok stosunku do wartości rodzinnych, aktywności zawodowej, przedsiębiorczości, pojawiła się także np. bardzo bliska mi kwestia podejścia do środowiska naturalnego. I wyraźnie z tych badań widać, że jeśli chcemy skutecznie przeprowadzać programy w zakresie czystego powietrza czy transformacji energetycznej, to kobiety są najlepszymi adresatami takich zmian, ponieważ ich świadomość, jeśli chodzi o środowisko, jest bardzo wysoka. I w tym sensie te badania są także bardzo potrzeb-

ne i przydatne z punktu widzenia politycznej praktyki. Wnioski, które przedstawiałam na konferencji 8 marca – dotyczące stygmatyzacji kobiet decydujących się na pozostanie w domu, dotyczące luki płacowej, elastycznego czasu pracy, wsparcia przedsiębiorców, którzy zatrudniają młode matki – spisałam i przekazałam premierowi Mateuszowi Morawieckiemu. Myślę, że Polski Nowy Ład powinien zawierać także postulaty dotyczące problemów kobiet. Nie tylko dlatego, że jest nas dużo (populacja kobiet w Polsce to 51,6 proc.), lecz także dlatego, że jesteśmy coraz aktywniejsze na rynku pracy i możemy być kołem zamachowym ważnych procesów społecznych i gospodarczych. Z całą pewnością zrozumienie naszych potrzeb powinno być dzisiaj jednym z ważniejszych celów polityki. Z całą pewnością nie jest tak, że tylko lewa strona sceny politycznej ma klucz do zrozumienia problemów kobiet.

Lewica pewnie odpowie, że strajki kobiet pokazały, iż to ona ma rację w diagnozowaniu potrzeb Polek.

Po analizie wyników tych badań mam wrażenie, że lewica żyje raczej w świecie swoich wyobrażeń i kreuje swój przekaz przez pryzmat tego, jak wyobraża sobie potrzeby kobiet, starając się przenieść na grunt polski, metodą kserokopiarki, pewne trendy przyjęte w wielu krajach Europy Zachodniej. A to nie jest takie proste. My jednak jesteśmy nieco innym krajem. Różnimy się od kobiet z innych krajów i lepiej jest przed wyjściem z postulatem najpierw kobiet posłuchać, co ja starałam się w tych badaniach zrobić. Z okazji Dnia Kobiet sejmowa Lewica wyszła z propozycją zmiany definicji gwałtu, uznając, że to jest najpoważniejszy problem kobiet w Polsce. Nie jest, co wyraźnie pokazują chociażby badania, o których rozmawiamy. Zaryzykuję również stwierdzenie, że nie kwestie związane z zaostreniem prawa aborcyjnego są najistotniejszymi sprawami dla większości kobiet. Bo prawdziwe problemy leżą gdzie indziej.

To jak z perspektywy czasu wytłumaczyć to, co się wydarzyło na ulicach polskich miast po wyroku Trybunału w sprawie aborcji?

Zainteresowanie strajkiem, w stosunku do skali i gwałtowności protestów listopadowych, bardzo osłabło. Nie wspominając o liczności kolejnych

protestów, które już nie budzą emocji. Przy czym, chcę z całą mocą podkreślić, że nie bagatelizuję tych wydarzeń, a odpowiedź na pytanie o ich źródła przynoszą nasze badania. Bo jeśli wolność jest dla polskich kobiet najważniejszą wartością, to myślę, że źródłem ulicznych manifestacji było wejście polityki w obszar, w który kobiety nie chcą, żeby polityka wchodziła. W obszar, który uznawały za określony i względnie akceptowalny. Na ulice wyszły przeciw także kobiety, które wcale nie były za liberalizacją przepisów czy za aborcją na życzenie. To była demonstracja sprzeciwu, która mówiła, że tej sprawy nie wolno tak załatwiać, że politycy wkraczają w sferę, którą my – kobiety – uznajemy za domenę naszej wolności i naszego bezpieczeństwa. Pozostaje pytanie, co by było, gdyby proces decyzyjny wokół kwestii aborcji przeprowadzono na poziomie politycznym w inny sposób. Wprowadzić w pierwszej kolejności rozwiązania prawne wspierające rodziców dzieci z wadami genetycznymi, hospicja perinatalne. Może można było to normalnie procedować w Sejmie, pozwolić na debatę w parlamencie, przekonywać do swoich argumentów w inny sposób, nie mieszając w to Trybunału, i być może wtedy tak gwałtownych i licznych protestów na ulicach udałoby się uniknąć.

Czy pani zdaniem po tym wszystkim PiS ma jeszcze szansę na przekonanie do siebie kobiet?

Myślę, że liderzy PiS zdają sobie sprawę z tego, że dzisiaj poziom poparcia wśród kobiet dla prawicy spadł do jakichś 25 proc. I to jest ogromna strata. Jeszcze niedawno przecież prezydent Andrzej Duda wygrywał wybory głosami kobiet i kobiety stały po naszej stronie. Czy to jest do odwrócenia? Nie wiem. Ja na pewno tym tematem będę się zajmować nie tylko od święta. Tak jak prowadzę spotkania nieformalnego klubu kobiet w Poznaniu, tak chciałabym, aby takie spotkania odbywały się też w Warszawie i Krakowie, miastach mi bliskich. Chcę z kobietami rozmawiać i z naszą agendą do kobiet trafiać. Chcę także rozmawiać o postulatach, które nas łączą – bo zakładam, że chęć likwidacji luki płacowej nie ma barw partyjnych – próbować rozmawiać ponad podziałami politycznymi. Jeśli sprawy kobiet mają być w jakikolwiek sposób wygrane, to muszą być realizowane ponadpartyjnie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Polskie Górnictwo Naftowe
i Gazownictwo

Mecenas Teatru Telewizji



Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo od lat wspiera inicjatywy, projekty i wydarzenia promujące polską kulturę wysoką, występując w roli ich sponsora lub organizatora. W poczuciu odpowiedzialności za polskie dziedzictwo kulturalne objęliśmy mecenatem Teatr Telewizji.



Agnieszka Niewińska

TVP przejęła od konkurencji znanego choreografa Agustina Egurrolę, ale straciła dziennikarkę Marzenę Rogalską. Nieodłącznym towarzyszem takich transferów stały się ostracyzm i hejt

Rozwesele serducho w jakiejś innej telewizji” – napisała jednemu z fanów dziennikarka, prezenterka Marzena Rogalska po tym, jak gruchnęła wieść, że po 12 latach rozstaje się z TVP. W momencie ogłoszenia tej decyzji stacja zaczęła nadawanie spotów z jej udziałem promujących nowy kanał TVP Kobieta. „Programy i zwiastuny z moim udziałem, które jeszcze zobaczycie na antenie, zostały nagrane wcześniej” – napisała Rogalska na Instagramie. I wyjaśniała: „Po 12 latach współpracy z TVP podjęłam decyzję o odejściu. Środa, 10 lutego 2021 roku był najtrudniejszym dniem w mojej karierze zawodowej”.

STRAJK Z SERDUSZKAMI

10 lutego wiele mediów strajkowało w związku z planami nałożenia na nie nowego podatku. TVP nadawała jak zwykle, ale uwadze plotkarskich portali nie umknęło to, że Rogalska w mediach społecznościowych wspiera protest mediów. „»Serduszkowała« wpisy dotyczące strajku” – donosił o instagramowej aktywności Rogalskiej serwis plejada.pl. Poranny program „Pytanie na śniadanie”, który współprowadziła z Tomaszem Kammelem, zakończyła tego dnia słowami: „Dzisiaj nam nie jest do śmiechu”.

Od kiedy Rogalska rozstała się z publicznym nadawcą, media, także te branżowe, nie przestają spekulować na temat tego, czy zobaczymy ją w konkurencyjnym TVN. Już wcześniej współpracowała z tą stacją. Przez pięć lat prowadziła talk-show „Miasto kobiet” w TVN Style. Dziennikarka cieszy się sporą popularnością widzów (na Instagramie ma blisko 230 tys. obserwujących). Jako prowadząca program śniadaniowy została zapamiętana jako ta, która potrafi sobie radzić z kryzysami na wizji. A tych w programie na żywo nie brakuje. Raz pod Rogalską zarwał się hamak. Z wypadki wybrnęła z uśmiechem



Marzena Rogalska współprowadziła program „Pytanie na śniadanie” w TVP z Tomaszem Kammelem

FOT. PIOTR FOTEK/REPORTER

Zmiana ekranu

na ustach. „Ja naprawdę dużo nie ważę. Ostatnio nawet parę kilo schudłam” – skwitowała, nie przestając się śmiać. Były też i groźniejsze sytuacje. Zaproszonemu do studia iluzjonistcie nie udało się sztuczka z gwoździem. Prezenterka wbiła go sobie w dłoń. Do programu się jednak nie zraziła. Szybko wróciła na wizję. Początkowo z opatrunkiem na dłoni.

Nie tylko prowadziła wiele programów w TVP. Píše książki, występuje w teatrze, ma własną audycję w Radiu Żłote Przeboje. Nie dziwi, że konkurencyjne stacje chcą mieć ją u siebie. Plotkarski serwis pudelek.pl twierdzi nawet, że dziennikarka jest już po rozmowach w TVN i kanapę „Pytania na śniadanie” zamieni na kanapę „Dzień dobry TVN”, a program poprowadzi w parze z zaprzyjaźnioną dziennikarką Beatą Sadowską. Rogalska sprawy jednak komentować nie chce. „Nie mam nic więcej do dodania, poza oświadczeniem i dwoma wywiadami, których udzieliłam. Pewnie będziecie mnie pytać o ploty. Nie knujcie” – powiedziała serwisowi Wirtualnemedi.pl.

Choć programy śniadaniowe sprzyjają gustom widzów niezależnie od światopoglądu, to doniesienia o rezygnacji Marzeny Rogalskiej z pracy w TVP i spekulacje o jej przejściu do TVN wzbudziły sporo emocji. W sieci jedni złorzeczyli jej, bo odeszła z TVP, inni krytykowali, że w ogóle tam pracowała.

– W warunkach tak silnej polaryzacji nie ma już mediów, które by się nie kojarzyły politycznie. Każda ze stacji ma określony profil, dlatego dziennikarzy przychodzących z tej czy innej stacji od razu postrzegamy jako albo liberalnych, albo konserwatywnych. Niezależnie od tego, jak podchodzą do obowiązków zawodowych, spada na nich odium stacji, w której pracowali – mówi dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku publicznego z firmy Trzeciak|Chmal. I dodaje: – W tej chwili emocje budzi przechodzenie ze stacji do stacji nie tylko dziennikarzy zajmujących się bieżącą polityką, lecz także tych o wąskich specjalizacjach, takich jak np. ekonomia. Tak było choćby w przypadku Pawła Blajera, który z TVN BiS przeszedł do TVP Info. Hejtu związanego z transferem do innej stacji nie unikną nawet osobowości telewizyjne niemające zbyt wiele wspólnego z polityką. Tu można podać przykład choreografa Agustina Egurrola, który przeszedł ostatnio do show produkowanego przez TVP. Trzeba jednak zaznaczyć, że takie medialne transfery budzą

skrajne emocje tylko u części odbiorców, tych najbardziej zainteresowanych polityką, zaangażowanych po jednej czy drugiej stronie politycznego sporu. Pozostała część społeczeństwa na takie doniesienia reaguje wzruszeniem ramion.

Wspomniany Agustín Egurrola w połowie lutego ogłosił, że będzie jurorem w show TVP „Dance, dance, dance”. Do tej pory był jednak mocno kojarzony z TVN. Widzowie tej stacji oglądali go w takich programach jak „You Can Dance” oraz „Mam talent!”. W TVP choreografa powitał sam prezes Jacek Kurski. – Dziękuję, Agustín, że jesteś z nami. Wiem, ile cię to kosztowało, ale nie mówimy o tym. Karawana jedzie dalej – mówił Kurski podczas prezentacji wiosennej ramówki TVP. Egurrola, którego zaangażowanie sporo kosztowało także TVP, musiał zmierzyć się nie tylko z lawiną internetowego hejtu, lecz także z nieprzychylnymi komentarzami znajomych z show-biznesu.

Michał Piróg stwierdził, że Egurrola wybrał się „na bal reżimowej telewizji”, Kinga Rusin w sarkastycznym wpisie zastanawiała się, czy przetransferowane z TVN gwiazdy „odcinają się od kolegów z TVP Info i »dziennikarzy« »Wiadomości«, pracujących w tej samej, co oni, stacji”. Zwróciła się też do samego Egurrola. „Agustín @agustinegurrola, gratuluję laudacji we wczorajszych »Wiadomościach«. Żeby tylko prezes nie był zazdrosny...”

Na hejt skarżyła się także Karolina Pajczkowska, która pod koniec 2019 r. przeszła z TVN BiS do redakcji zagranicznej TVP Info. Dziennikarka specjalizująca się w tematyce międzynarodowej na nieprzychylnie uwagi odpowiedziała, zamieszczając na Instagramie zdjęcie z synem. „W minionym tygodniu przeczytałam na swój temat wiele nieprawdziwych i krzywdzących informacji. Do tych wszystkich, którzy mnie opluwają w Internecie – mam nadzieję, że możecie spać z myślą, że ten mały chłopiec kiedyś to wszystko przeczyta” – napisała.

NIE TYLKO POLSKA SPECYFIKA

Ostra krytyka, ostracyzm czy hejt w stosunku do dziennikarzy przechodzących do stacji prezentującej inne poglądy to nie tylko polska specyfika. Ostatnio często podziały polityczne w Polsce porównuje się do tych za oceanem. W USA udanych medialnych transferów można szukać ze świecą. W 2017 r. twarz pracowniczej Fox News Megyn Kelly ogłosiła

przejście do NBC News. W Fox News szybko pięła się po szczeblach kariery. W 2014 r. znalazła się na liście 100 najbardziej wpływowych osób tygodnika „Time”. Jej kłopoty w Fox News zaczęły się, kiedy podczas debaty prezydenckiej Partii Republikańskiej dopytywała ubiegającego się o nominację Donalda Trumpa o jego obraźliwe komentarze w stosunku do kobiet. W NBC News nie zagrzała miejsca. Ostatecznie odeszła po oskarżeniach o rasizm. Nie widziała nic niestosownego w tym, by na Halloween białe dzieci zakładały czarne maski i na odwrót. Nie ma jej już w tradycyjnych mediach. Nagrywa podcasty i zamieszcza je w sieci, ma też własny kanał na YouTube.

Poza głównym medialnym nurtem znalazł się też Glenn Beck, kontrowersyjny konserwatywny komentator, który do 2011 r. prowadził program w Fox News. Zasłynął zwłaszcza oskarżeniem prezydenta o „głęboko zakorzenioną niechęć do białych ludzi, białej kultury”. Choć w szczycie popularności Beck przyciągał przed ekrany ponad 3 mln widzów (i to nie w prime time), to po odejściu z Fox News nie przyjęła go żadna stacja. Glenn przyznał, że spotkał się nie tylko z hejtem, lecz także z pogrózkami. Musiał zatrudnić ochronę.

Sharyl Attkisson, dziennikarka śledcza CBS News, ze stacji odeszła w 2014 r. po 21 latach. Zebrała materiały obciążające administrację Obamy i oskarżyła stację o brak wsparcia i „krycie” prezydenckiej administracji, która, jak twierdzi, inwigilowała ją i jej rodzinę. Attkisson założyła stronę internetową i na swoją dziennikarską działalność zbiera datki. O ile dekadę temu w USA transfery między stacjami o przeciwnym światopoglądzie jeszcze się zdarzały, o tyle teraz, zdaniem obserwatorów tego rynku, są już niemożliwe.

W Polsce może być podobnie. Doktor Sergiusz Trzeciak przyznaje, że nie spodziewa się w najbliższym czasie zbyt wielu transferów między stacjami prezentującymi odmienny światopogląd. – Sądzę raczej, że o takie przejścia dziennikarzy będzie coraz trudniej. Sytuacja sprzed lat, w której Tomasz Lis zmieniał stacje, jest już dziś niemożliwa. Chyba że w konsekwencji wyborów zmieni się kierownictwo w mediach publicznych. Ten, kto teraz zmieniłby stację na tę prezentującą przeciwstawne poglądy, musi liczyć się z hejtem zwłaszcza w Internecie czy ostracyzmem kolegów z poprzedniej pracy.

Upadek Nowego Londynu



Piotr Gociek

Twórcy serialu „Nowy wsłaniały świat” próbują połączyć przestanie powieści Aldousa Huxleya i współczesne obsesje lewicy. Ze zmiennym szczęściem

Kreator serialu „Nowy wsłaniały świat” opowiada w wywiadach, że książki Aldousa Huxleya nie da się dziś czytać, taka jest przestarzała. Stąd decyzje o dołożeniu do opowieści rozmaitych elementów, przy czym David Wiener przekonany jest, że kluczowe punkty słynnej antyutopii zostały zachowane. Odpowiem: nie ma obowiązku ekranizowania książek, które się komuś nie podobają, można było wybrać inną. Co do zachowania kluczowych punktów – do spraw powierzchownych być może, gdy zstąpimy do głębi – nie bardzo.

Przedsięwzięcie jest ciekawe i w wielu miejscach podczas oglądania dziewięciu odcinków serialu Wienera ręce składały

mi się do oklasków. Niemal równie często ogarniała mnie irytacja. Za to pomieszenie z poplątaniem odpowiadają niezdecydowanie i brak odwagi twórców. Mogli pójść ambitnie: robimy ekranizację nowoczesną w środkach wyrazu i wierną duchowi powieści. Mogli pójść cynicznie: bierzemy znany tytuł (połowa sukcesu w świecie przepelnionym informacyjnym chaosem), wypruwamy zawartość i wkładamy swoje. Stanęli w pół kroku: udają, że Huxleya rozumieją i adaptują do wymogów XXI stulecia, sporo z niego pożyczili, ale tak naprawdę widać, że w głowach mieli coś zupełnie innego – ochotę na nakręcenie własnego skrzyżowania serialu „Westworld” z najlepszymi odcinkami „Black Mirror”.

Zacznę od tego, co warto pochwalić. „Nowy wsłaniały świat” (w Polsce dostępny na Netflixie, ale wyprodukowany przez streamingowe ramię NBCUniversal, streamingowy serwis Peacock) to serial poważny, dla dorosłego widza, żadne tam kolejne babrzenie się w lirycznych opowiastkach young adult z elementami SF albo reanimowanie kolejnych superbohaterów z komiksów. Poważne były też włożone w niego pieniądze, bo wygląda zacnie, niejedyn kinowy film mógłby pozazdrościć.

Bardzo dobra jest obsada, a aktorzy dają radę: Leninę Crowne, urodziwą mieszkankę Nowego Londynu, gra Jessica Brown Findlay (jest w niej urok młodej Scarlett Johansson), Dzikusiem, który zagrozi porządkowi nowego społeczeństwa, jest Alden Ehrenreich (niedawno młody Han Solo, wcześniej w „Hail, Caesar!” braci Coen), który pokazuje i talent, i charyzmę. W dwulicowego Bernarda Marxa wcieli się znany z „Gry o tron” Harry Lloyd. Najciekawszą z ról drugoplanowych dostała Demi Moore – zapewniam, że zaskoczy was i zadziwi. Efekty specjalne są na poziomie, robota kostiumografów i projektantów wnętrza – bardzo dobra. Niezła jest muzyka.

Długo wydaje się, że dostajemy uwspółcześnioną, ale jednak opowieść w duchu Huxleya. W Nowym Londynie, imponującej architekturą i cudami technologii metropolii przyszłości, żyje społeczeństwo segregowane jeszcze przed urodzeniem. Każdy rodzi się przypisany do swojej klasy – jeśli jesteś Alfą, to znajdujesz się na szczycie, jeśli Betą – to służysz Alfom i tak dalej w dół, gdzie u podstaw piramidy znajdziemy prostaczków z klas Epsilon i Gamma.

To, czego nie załatwiło właściwe urodzenie, korygowane jest warunkowaniem w dzieciństwie.



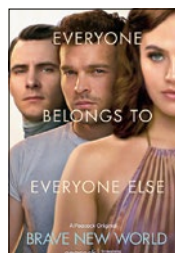
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

parku jest John Dzikus, który – podobnie jak u Huxleya – trafi wkrótce do Nowego Londynu, by stać się ekscytującą atrakcją dla wiecznie spragnionych nowych wrażeń hedonistów.

W pierwszych odcinkach serialu poznajemy świat przyszłości, a potem dzięki udramatyzowaniu wypadków prowadzących do ucieczki Johna Dzikusa do Nowego Londynu dostajemy także sporo akcji. Im dłużej jednak pozostajemy w Nowym Londynie, tym bardziej rzecz robi się rozgadana, no i przede wszystkim coraz bardziej odchodzi od ducha literackiego oryginału. Nie jestem zwolennikiem ekranizacji metodą jeden do jednego, uważam, że bardzo daleko idące zmiany są konieczne przy przenoszeniu literatury do innego medium (właśnie dlatego, że to inne medium, zatem inny język wypowiedzi). Dopóki zachowany jest sens, dopóty zmiany mi nie przeszkadzają. Problem w tym, że David Wiener i jego scenarzyści zdradzają Huxleya, i to dosyć szybko.

Jednym z dołożonych do serialu elementów jest połączenie wszystkich mieszkańców Nowego Londynu siecią komputerową – każdy obywatel nosi w oku urządzenie będące jednocześnie odbiornikiem i transmiterem. Inni mogą więc wiedzieć, co robi i gdzie jest. Sieć Indra – tak się nazywa – to połączenie mediów społecznościowych z systemem pełnej kontroli. Dodatkowy impuls do zatapiania się w ekstazy zapominanie stymulowane orgiami i somą. „Genialne!” – pomyślałem w pierwszej chwili. Doskonałe przełożenie koszmaru przymusowej szczęśliwości na język zrozumiały dla pokolenia TikTok i Twittera! Radość była przedwczesna, a moje wcześniejsze uwagi o podobieństwie do serialu HBO „Westworld” pojawiły się nie bez powodu. Otóż w serialowym „Nowym wspaniałym świecie” to właśnie Indra okazuje się mroczną siłą stojącą za wydarzeniami w Nowym Londynie. Czyli pionierska huxleyowska przypowieść o manowcach, na które prowadzi ludzkość bezkrytyczna wiara w naukę, zamienia się we wtórną opowieść o zbuntowanej sztucznej inteligencji.

Ciężki cios dla literackiego oryginału, ale nie musi być śmiertelny – to była moja kolejna myśl. Przecież bijące z ekranu potępienie kultury orgii i wymuszonej szczęśliwości dla totalnej inwigilacji, dla systemu biologicznej segregacji zapewne by się



REŻ. DAVID WIENER
„NOWY WSPANIAŁY ŚWIAT”
NETFLIX 2020

Huxleyowi podobało. Twórcy seriali brnąć jednak zaczęli w dalsze kłopoty. Potępienia eugeniki właściwie w serialu brak – owszem, dowiadujemy się, że do takich manipulacji dochodzi, ale ostrze krytyki wymierzone jest po marksistowsku, w wyzysk klasowy, a nie w samą koncepcję hodowania odpowiednio spreparowanych osobników ludzkich. Telewizyjny „Nowy wspaniały świat” okazuje się opowieścią o społecznym buncie uciskanych, a nie o biotechno-

logicznym koszmarze bez wyjścia. John Dzikus, w powieści niosący w sobie resztki dawnej kultury (Szekspira) i tęsknotę za religią, tutaj zredukowany zostaje do jurnego barbarzyńcy, który cierpi głównie z powodu niewierności swej nowolondyńskiej kochanki. Ale przecież u Huxleya to właśnie cierpienia poszukiwał, to właśnie wezwanie: „Chcę mieć prawo do bycia nieszczęśliwym” było aktem największego buntu przeciw systemowi.

Elementów religijnych oczywiście brak, nawet podczas szyderczych przedstawień w rezerwacie dzikusów (ceremonii ślubu nie liczę, bo jest pokazywana jako obrzęd społeczny), w końcu gdzieżby tam przyszło do głowy w XXI w. twórcy amerykańskiego serialu, że potrzeba Boga jest dla człowieka naturalna. Pojawia się za to walka płci – Lenina Crowne odkrywa, że jest seksualną zabawką dla samców z wyższej klasy, ale żadnej informacji o tym, że mężczyźni są seksualnymi zabawkami dla kobiet z wyższych klas, już nie znajdziemy. Lenina obwieszcza też, że mężczyźni to pułapka. Ejże, czy my jeszcze jesteśmy w świecie Huxleya czy pism feministycznych?

To pomieszenie z poplątaniem sprawa, że mimo wielu świetnych momentów „Nowy wspaniały świat” nigdy nie odnajduje swojego tonu, jest to produkcja rozchwiana, nierówna, rozdarta między próbą zachowania ważnych elementów oryginału a dopisywaniem tego, co aktualnie modne i uważane za słusne. Zemściło się to na twórcach, którzy mocno poszachrowali pod koniec pierwszego sezonu, licząc, że budują fundamenty pod następne. Koniec i bomba, kto oglądał, ten trąba – kilka dni temu NBCUniversal ogłosiło, że sezonu drugiego nie będzie. Zatem nie opłacało się ani kastrowanie Huxleya, ani podlizywanie się współczesnym modom. Ku pamięci, szanowni państwo, ku pamięci.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Profesor Wojciech Kudyba jest
cenionym poetą, uprawia też
prozę FOT. WŁODZIMIERZ WASYLUK/FORUM

Czułość i „wydrażeni ludzie”

Wojciech Kudyba, profesor Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego

o bogatym dorobku naukowym, jest również wybitnym poetą. Od kilku lat – od debiutu „Nazywam się Majdan” (2015) – uprawia też prozę. I tak kolejno opublikował mikropowieść „Imigranci wracają do domu” (2018), „Kamienica” (1918), pierwszy tom powieści „Pułascy” (2020). Najnowszy zbiór opowiadań „I co dalej” (2020), pozornie bardzo bliski tomowi „Kamienica”, jest jednak bardzo różny, myślowo pogłębiony. Bohaterowie jakby ci sami – mali, cisi ludzie, ich zwyczajne życie i codzienne dramaty. Jeśli jednak w „Kamienicy” wydarzenia nie miały tak gwałtownego przebiegu, naglej interwencji (Boga? Losu?) w codzienność szarych bohaterów, to w „I co dalej” właśnie tak jest. Czyjaś nagle śmierć odmienia życie innych – raz na dobre los się obraca, raz na złe. Ta nagle tajemnicza interwencja losu (opowiadania „Jest jak jest”, „Dom dla Tereski”) jest swoistym przetworze-



Elżbieta Morawiec

Tomem opowiadań „I co dalej” prof. Wojciech Kudyba wstąpił na zupełnie nową drogę – obietnicy

niem przez Kudybę dramatów, jakie dotknęły ludzi np. po krachu Amber Gold. W jednym z opowiadań autor żartobliwie wskazuje, bez podania nazwiska, pisarza, którym fascynuje się jedna z bohaterek. Łatwo doczytać – to Marek Nowakowski. Ale to nie jest prawdziwe pokrewieństwo z wyboru Wojciecha Kudyby – do nich należą dobry, uśmiechnięty pan Prus, z rosyjskiej rodziny – Czechow, Gogol („Płaszcz”), Dostojewski i jego „Biedni ludzie”. Z naszych współczesnych raczej Tadeusz Różewicz niż Marek Nowakowski. Ten drugi, zwłaszcza w późnej nowelistyce, traktuje swoich bohaterów jak przedmioty beznamiętnego, biologicznego prawie opisu. Wojciech Kudyba zawsze ma dla swoich postaci czułość.

Bohaterami jego opowiadań są, mó-

wiąc umownie, ludzie prawobrzeżnej, „gorszej” Warszawy – Pragi, Targówka, Wawra. Widoczne to jest w realiach ich życia, w leksyce, w trybie opowieści.

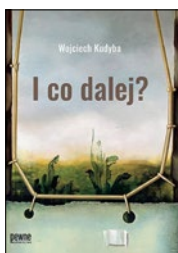
W „I co dalej” jedno opowiadanie się wyróżnia nową jakością – niezwykłym, religijnym przesłaniem i – nie waham się tego powiedzieć – genialną kompozycją. Nosi tytuł „Niechaj im świeci”. Opowiadanie ma kilka piętér znaczeń. Pierwszy, quasi-realistyczny, to opis ceremonii pogrzebowej i zapis myśli uczestników. Ci z „lewobrzeżnej” i ci z „prawobrzeżnej” (narracja jest z ducha tych drugich) złączeni w jednym obrzędzie są jak paciorki odmawianego różańca. Ich rozproszone myśli czy raczej ubożuchne myślątka są niby krzywe zwierciadło medytacji różańcowych. Ale te myślątka w narracji Kudyby opracowane są w Koronkę do Miłosierdzia Bożego i następujące po sobie części mszy św. żałobnej. I powracający, tytuło-

wy refren: „Niechaj im świeci” to modlitwy za zmarłych. Myśli w czas pogrzebu nie mają nic wspólnego z sacrum – to czysta codzienność – czasem rozpacz nad złamanym życiem, czasem pospolita pycha i pogarda „lewobrzeżnych”, czasem jakiś cichy namysł nad tym, jak odmienił się świat. Nawet ksiądz w swoim rozmyślaniu nad nieudanym posłannictwem niczym się spośród szarego banału tych myślątek nie wyróżnia. Zabieg oprawienia tego jakże pospolitego profanum w modlitwę, kontrapunkt tego zabiegu, to coś niezwykle głębokiego i kunsztownego. I nagle uświadamiamy sobie, że to, co się zdawało jakimś „obrazkiem pogrzebowym”, konfrontuje nas, ludzi XXI w., z naszym życiem, odartym z sacrum życiem, że ten kondukt pogrzebowy z opowiadania Kudyby jest śmiertelnym konduktem ludzkości. A jego bohaterowie to nie tylko ci z „lewobrzeżnej” i ci z „prawobrzeżnej”, to my wszyscy, mieszkańcy XXI w. Eliotowsky „wydrażeni ludzie”. Zdążający ku śmierci. Może się mylę, ale mam prawie pewność, że inspiracją tego opowiadania był właśnie Eliot i jego „Wydrażeni ludzie”. Oto oni (przekł. A. Libery):

*Wydrażeni, wypchani
oto jacy jesteśmy
jeden podpira drugiego
a w głowach sieczka. niestety [...] I jeśli ci, co już weszli, mając oczy
otwarte
w to drugie Królestwo Śmierci
będą nas pamiętali – jeżeli będą
nie jako dzikie bestie, dusze
potępione
lecz jako ludzi pustych.*

Tym opowiadaniem Wojciech Kudyba wstąpił na zupełnie nową drogę. Sądzę, że jest to droga wielkiej obietnicy. Obietnicy panoramy ludzkiego losu w dzisiejszego człowieka w konfrontacji z Bogiem, którego porzucił, którego się zaparł.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



**WOJCIECH
KUDYBA
„I CO DALEJ”
PEWNE
WYDAWNICTWO
(2020)**

DEBATA „CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW VI”

Z inicjatywy Telewizji Republika już po raz szósty zorganizowana została debata „Czas przedsiębiorców”. Wzięli w niej udział przedstawiciele rządu i świata biznesu. Poruszono spektrum tematów najistotniejszych dla polskiej gospodarki. Pojawiły się zarówno diagnozy, jak i recepty.

Tomasz Sakiewicz zauważył, że wyzwania stwarzają możliwości, dają szansę tym najbardziej zaradnym. – *Dają też szansę tym, którym my wszyscy damy szansę, bo przecież mamy państwo, które może wspierać przedsiębiorców. Mamy też solidarność, która w czasach pandemii okazała się bardzo ważnym elementem gospodarczym* – mówił publicysta.

Uczestnicy debaty zastanawiali się m.in. nad tym, jak będzie wyglądała gospodarcza rzeczywistość postpandemiczna. Kamil Goral, ekspert w Radzie Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa, powiedział, że największy sukces odniosły nie te kraje, które są beneficjentami największych

Jako przykład wskazał polską branżę gier komputerowych. – *Z drugiej strony są polskie firmy, które tak wykształciły swoje know-how, że zaczęły odgrywać wiodącą rolę w globalnym eksporcie. Tu najlepszym przykładem jest branża meblarska, która awansowała na trzecie miejsce, wyprzedzając taką potęgę, jaką są Włochy* – mówił.

Szczepionka dla turystyki

W imieniu branży turystycznej wypowiedział się Marcin Nasternak z Why Not TRAVEL. – *Jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji, co najmniej 4-5 lat zajmie, zanim wrócimy do obrotów, które były przed covidem* – powiedział. – *Myszę, że część firm z branży turystycznej nie przeżywa tego kryzysu. Prognozy są takie, że największy ruch będzie w tym roku w podróżach prywatnych. Tutaj upatrujemy szansę na zwiększenie sprzedaży. Do tej pory 70-80 proc. podróży stanowiły wyjazdy służbowe. Myszę, że w tym roku te proporcje się odwrócą* – mówił Nasternak.

Wśród obszarów wymagających zmian Jerzy Martini z Martini i wspólnicy wymienili niestabilność i nieprzewidywalność przepisów podatkowych oraz agresywne nastawienie przedstawicieli części organów administracji skarbowej. – *To jest tragedia, że grupa, która jest z punktu widzenia gospodarki najważniejsza, czyli przedsiębiorcy, pozycję polityczną ma dużo niższą niż grupy typu górnicy czy rolnicy, którzy odpowiadają za ułamek PKB tworzonego przez przedsiębiorców* – dodał.

Piotr Palutkiewicz ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców uznał, że najlepsza jest jedna z dwóch dróg: albo bardzo odważne reformy w wielu politykach publicznych, albo niewprowadzanie zmian i zapewnienie spokoju i przewidywalności prawa i podatków. – *Mam nadzieję, że usłyszymy rozwiązania, które obniżą na przykład klin podatkowy dla osób zatrudnionych na umowę o pracę* – powiedział. Według niego oprócz kwestii podatkowych Nowy Ład powinien dotyczyć jakości usług publicznych.



CZAS PRZEDSIĘBIORCÓW

funduszy unijnych, ale te, które potrafiły te pieniądze mądrze wydać. – *To, czy te pieniądze będą wydane efektywnie, czy zbudują fundamenty długookresowego wzrostu konkurencyjności gospodarki, zależy przede wszystkim od prawa: podatkowego, administracyjnego, od tego, jak działają sądy* – mówił ekonomista.

Polscy przedsiębiorcy doczekali się wielu pochwał. Robert Zmiejko, dyrektor Pionu Rozwoju Zagranicznego PKO Banku Polskiego, powiedział, że świetne wyniki eksportu „Polska zawdzięcza przede wszystkim zaangażowaniu polskich przedsiębiorców – ich wiedzy, otwartości na rozwój i temu, że polskie firmy potrafią elastycznie wkomponować się w globalne trendy”.



SPONSOR
STRATEGICZNY:



SPONSORZY:



POLSKA AGENCJA ŻEGLUGI POWIETRZNEJ
POLISH AIR NAVIGATION SERVICES AGENCY



Bank Polski



FOT. MATERIAŁ PRASOWY



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

prime video

Nic dwa razy się nie zdarza



★★★★★
REŻ. CRAIG BREWER
„KSIĄŻĘ W NOWYM JORKU 2” („COMING 2 AMERICA”)
USA 2021, AMAZON PRIME

wyst. Eddie Murphy,
 Arsenio Hall, Shari
 Headley

Komedia „Książę w Nowym Jorku” opowiadała o młodym dziedzicu tronu afrykańskiego królestwa Zamunda szukającym w Ameryce prawdziwej miłości. W części drugiej Akeem (ponownie Eddie Murphy) odkryje, że w Queens żyje jego nieślubny syn. Dobrze się składa, bo w Zamundzie lud sarka, że król ma jeno córki, a i podstępny wróg czyha na granicy. Trzeba więc młodzieńca z Ameryki importować, przysposobić na następcę i wydać za córkę gen. Izziego, dyktatora sąsiedniej Nextdoorii.

Oryginał z roku 1988 to nieśmiertelna klasyka, podobnie jak „Nieoczekiwana zmiana

miejsz” czy pierwszy „Gliniarz z Beverly Hills” – największe osiągnięcia Eddiego Murphy’ego. Nakręcony 33 lata później ciąg dalszy bawi nas mniej, ale nie dlatego, że to słaby film. Po prostu inny. Tamten był komedią charakterów, ten jest komediową opowieścią o zmianie i dojrzewaniu. Akeem musi przypomnieć sobie, że sam za młodu chciał zmienić świat, ale nagle stał się kopia swego ojca. Młody Lavelle – że fucha księcia to nie tylko bogate stroje i fortuna w złotych sztabkach. Córki Akeema udowodnią z kolei światu – i rodzicom – że nadszedł ich czas. I że można zapomnieć o dawnych prawach, wedle

których tylko męski potomek króla może rządzić Zamundą.

Oko cieszą aktorzy: jakże miło po latach zobaczyć znów starą ekipę w komplecie: oprócz Murphy’ego powracają jego ukochana Lisa (już żona – Shari Headley) i jej ojciec, właściciel restauracji McDowell’s (John Amos). Są i królewski brat Semmi (Arsenio Hall), i stary król Jaffe Joffer (James Earl Jones). Każdą scenę, w której się pojawia, kradnie Wesley Snipes, rewelacyjny jako operetkowy generał Izzie. Jest mnóstwo występów gościnnych: Morgan Freeman, Gladys Knight, En Vogue. Murphy i Hall szaleją w przebraniach, grając po cztery różne postacie. Całe to bogactwo (także oszałamiające kostiumy) ma ukryć fakt, że fabuła jest wątpliwa, a żarty mniej śmieszne niż kiedyś. To prawda, ale nic dwa razy się nie zdarza, nie można było powtórzyć chemii i sukcesu pierwowzoru. Natomiast umiarkowanie śmieszny „Książę w Nowym Jorku 2” i tak okazuje się zabawniejszy od większości innych współczesnych komedii. Takie czasy. ©©



NOWE SERIALE: „MORDERSTWO WŚRÓD MORMONÓW”

Od czasu tragikomicznego „Króla tygrysów” nie było tak szalonej i zaskakującej opowieści true crime. Serial dokumentalny opowiada o wydarzeniach z 1985 r. W Salt Lake City wybuchły wtedy w krótkim odstępie trzy bomby domowej roboty. Jedna zabiła kolekcjonera rzadkich druków, druga przypadkową kobietę, a trzecia mocno

poturbowała Marka Hofmanna, odkrywcę unikatowych dokumentów. Wielkie pieniądze, Kościół mormonów, fałszerstwa i kryzys wiary – wszystko to składa się na opowieść o jednej z najdziwniejszych zbrodni XX w. ©©

Piotr Gociek

• reż. Jared Hess „Morderstwo wśród mormonów”, USA 2021

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- „Klangor” CANAL+ (26 marca)
- sezon 1 „Invincible”, USA 2021
- sezon 3 „Final Space”, USA 2021
- sezon 1 „Pokolenie” („Genera+ion”), USA 2021

prime video



Wszystko o moim ojcu



Po „Cichej nocy” pozostaje tylko wyjechać „Jak najdalej stąd”. Na przykład z Olsztyna do Dublina. Ola pierwszy raz w życiu leci samolotem, nie ma pieniędzy ani znajomości, ale jesteśmy spokojni, że na Szmaragdowej Wyspie da sobie radę, bo to dziewczę charakterne i dobrze znające język angielski (dla pokolenia, które swojej szansy upatruje w emigracji, umiejętność nie do przecenienia). Matka pogodziła się z podłym losem. Ojciec w pogoni za pieniądzem stracił emocjonalny kontakt z rodziną. Ola potrafi o nim powiedzieć jedynie tyle, że „robił, co mógł”. Piotr Domalewski jest świetnym reżyserem i trochę gorszym scenarzy-

stą. Zanadto polega na sile stereotypów. W tej opowieści, gdy ktoś deklaruje, że nigdy nie płacze, na koniec ani chybi łzę uрони. Polak z Irlandczykiem wcześniej czy później się dogada, zaś ludzie są lepsi, niż się na pierwszy rzut oka wydają (ze znamienym

wyjątkiem w osobie księdza). Aktorom w to graj. Powiedzieć o Zofii Stafiej, że wykorzystała szansę, to nic nie powiedzieć. Jak dla mnie – debiut roku. Film niesie też muzyka Hanny Rani-szewskiej. Pianistka, lepiej znana jako Hania Rani, nagrywa dla wytwórni z Manchesteru, natchnienia szuka na Islandii, a w Berlinie „czuje się sobą”. Czy nam się to podoba, czy nie – nadchodzi era kosmopolaków. © ©

Wiesław Chełmniak



★★★★★
REŻ. PIOTR DOMALEWSKI
„JAK NAJDALEJ STĄD”
IRLANDIA/ POLSKA 2020

wyst. Zofia Stafia,
Kinga Preis,
Arkadiusz Jakubik



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

LEPIEJ JUŻ BYŁO

YouTube ▶ NINATEKA

„Piękne jest miasto Lwów” – to pierwsze słowa, jakie padają z ekranu. Warszawy, dokąd wkrótce przeniesie się akcja, nikt nie wychwala. W filmie z udziałem Szczepka i Tońka byłoby to faux pas. Perypetie porzuconego przez matkę oesaka, umizgi producenta lalek do właścicielki sklepu z zabawkami oraz inne,



wyst. Kazimierz Wajda, Henryk Vogelfänger,
Loda Niemirzanka

★★★★★
REŻ. MICHAŁ WASZYŃSKI
„BĘDZIE LEPIEJ”
POLSKA 1936

typowe dla kina przedwojennego atrakcje są jedynie pretekstem do benefisu gwiazdorów Wesołej Lwowskiej Fali. Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger ekranowy egzamin zdali śpiewając, dzielnie wspierani przez „demonia komizmu” Antoniego Fertnera tudzież mistrza drugiego planu Stanisława Sierańskiego. Jeśli dodać do tego muzykę Henryka Warsa i piosenki Emanuela Szlechter, to jasne staje się, że digitalizacja batiańskiej komedii była świętym obowiązkiem zawiadowców naszej kultury. Czekając na odrodzenie kolejnych klasyków, powtórzę za woźnym Hipkiem: „Złudzenia apteczne, jak pragnę podwyżki!”

NA GIGANCIE

W KINACH

Idealny seans na Rok św. Józefa, opluskwanego niegdyś przez złośliwych artystów, którzy portretowali opiekuna Jezusa jako durnia, safandulę lub bezradnego starca. Dzisiaj tacierzyństwo jest w cenie, czego film Nira Bergmana wydaje się kolejnym potwierdzeniem. Jego bohater zrezygnował z kariery i korzystania



wyst. Noam Imber, Shai Avivi, Smadi Wolfman

★★★★★
REŻ. NIR BERGMAN
„OTO MY” („HINE ANACHNU”)
IZRAEL/WŁOCHY 2020

z uroków życia, by samotnie wychowywać autystycznego syna. Uri jest rozbrajający – uwielbia komedie z Chaplinem, rybki z akwariem oraz włoskie żarcie. Przywykł polegać na ojcu jak na Zawiszy, lecz osiągnąwszy wiek sprawny, musi przeprowadzić się do domu opieki. Obaj nie są gotowi na taką rewolucję. Aharon decyduje się na ucieczkę, podczas której – jak każe filmowa tradycja – panowie odkrywają, kim naprawdę są i czego chcą. Izraelski Bergman unika łatwych wzruszeń i natrętnego moralizowania, więc chociaż znamy tę melodię, to warto posłuchać (i obejrzeć). © © **recenzuje Wiesław Chełmniak**

GRA TYGODNIA: „LUST FROM BEYOND”

Znane z niekonwencjonalnych pomysłów polskie studio Movie Games Lunarium powraca do konceptu zaprezentowanego w „Lust for Darkness”, którą twórcy opisują jako psychologiczny horror poruszający wątki okultystyczne i erotyczne. Tylko że momentami to już nie erotyka,

lecz pornografia, którą można nieco ocenzurować, ale wyłączyć nie sposób. Produkcji nie ratuje fabuła. Opowieść o nękanym wizjami antykwariuszu Victorze Holloway korzysta z ograniczonych schematów i ma nierówne tempo. Irytujący bywa także sam gameplay. Rzecz tylko dla dorosłych odbiorców,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

świadomych wad gry. Na pewno się tacy znajdą. „Lfb” dostępna jest na razie na PC, ale będą porty na konsole. © © **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** Przygodowa/horror
• **Platforma:** PC
• **Producent, dystrybutor:** Movie Games Lunarium

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Prywatne śledztwo

Nie powiedziałbym, że wysyp krajowych kryminałów napawa mnie szczególną radością. Rzut oka na jakąkolwiek listę bestsellerów wyjaśnia natychmiast, skąd bierze się wzmożone zainteresowanie polskich autorów młodszego (no, średniego) pokolenia najprzeróżniejszymi zbrodniami. Wygląda bowiem na to, że szanse w księgarniach mają obecnie wyłącznie książeczki dla małych dzieci, fantasy dla dziatwy nieco starszej, poradnictwo z gatunku „jak za wiele nie myśleć, bo od myślenia łeb boli”, erotyka, no i kryminały właśnie.

Z tych ostatnich przynajmniej kilkanaście osób, z Remigiuszem Mrozem na czele, wytrzepało niezłą kasę, co nie znaczy, by to finansowo elitarnie towarzystwo nie miało dopuścić do swego grona jakiegoś „młodego, zdolnego”. Czy kimś takim będzie debiutująca właśnie „Cieniem Judasza” Anna Kusiak? Czas pokaże, osobiście mam nadzieję, że jest to start do kariery pisarskiej młodej autorki, w trakcie której nie ograniczy się do pisanie o morderstwach i samobójstwach.

Zwracam uwagę na powieść Anny Kusiak z kilku powodów. Po pierwsze, wreszcie nie mamy w niej do czynienia z pierwszoplanowym komisarzem, który musi, ale to musi być nieszczęśliwy w małżeństwie czy związku partnerskim, pić bez opamiętania albo sięgać po narkotyki, inteligencją przewyższać całe swoje otoczenie ze szczególnym uwzględnieniem przełożonych i tak dalej, i tak dalej. Nie znaczy to, że bohaterka „Cienia Judasza” wolna jest od stereotypów. A skąd! Popija kiepskie wino stanowczo zbyt często, życie erotyczne ma rozchwiane, żyje jedynie jedną sprawą, która przesłoniła wszystko, bo nie interesowała jej – wyznaje – „katastrofa smoleń-



FOT. MATERIAŁ PRASOWY

ska ani śmierć bin Ladena, ani katastrofa jądrowa w Fukushima, ani kryzys krymski, ani wojna na Ukrainie”. Jej świat zawalił się latem 2005 r., w chwili śmierci jej siostry ciotecznej i samobójstwa ojca. I tylko to było od tamtej pory ważne, a że śledztwa w obu sprawach zostały z trudnych do wyjaśnienia powodów umorzone, nic dziwnego, że sama postanowiła dojść prawdy, choćby dla siebie i dla swej rodziny najbardziej bolesnej. Pytanie, dlaczego tak długo z tym zwlekała – aż 10 lat od tamtych straszliwych wydarzeń – pozostaje otwarte. Dowiadujemy się, że wyjechała z rodzinnej wioski, ukończyła w mieście studia, znalazła pracę w redakcji i dopiero, gdy utraciła pozorną miejską stabilizację, a jej matka umarła, wszczęła swoje prywatne dochodzenie.

Powieść rozwija się nieśpiesznie; to z jednej strony plus książki, z drugiej jej mankament. Bo ileż możemy przeżywać tak fascynu-

jące wydarzenia jak zaparzanie przez bohaterkę kawy czy robienie przez nią zakupów? Gdzieś dopiero po jednej trzeciej ponad 350-stronicowego tekstu akcja przyspiesza, by pod koniec toczyć się w iście karkołomnym tempie. Kolejne sceny świetnie wpasowałyby się w treść najbardziej dramatycznych filmów sensacyjnych, że aż nie chce się wierzyć, by rzecz działa się nie w Ameryce, ale na Podkarpaciu, gdzie umiejscowiła fabułę powieści Anna Kusiak.

Jeśli coś przypomina o tym, że jednak jesteśmy w Polsce, to stopień skorumpowania prokuratury i policji, zależność lokalnych władz od zamożnych biznesmenów, którzy dorabiają się w sposób z przestrzeganiem prawa niemający nic wspólnego, wreszcie brutalność życia na wsi, gdzie więzy rodzinne są ważniejsze od sprawiedliwości. I choć bohaterka książki postępować chce w myśl twierdzenia, że „może i prawda nie wyzwala, lecz i tak jest lepsza od najpiękniejszego kłamstwa”, odkładając „Cień Judasza” po przeczytaniu, nie jesteśmy wcale tego pewni.

Ta powieść to dopiero zapowiedź czegoś, co zresztą anonsuje autorka, sygnalizując następne swoje książki. Talent, pomysłowość, dobry język, choć nadmiernie i bez powodu czerpiący z młodzieżowego slangu – wszystko to jest. Jeśli odczuwa się czegoś niedosyt, to dokładniej przedstawionego tła obyczajowego, większej dbałości o – powiedziałbym – scenografię. Same wspomnienia zabawek z lat dziecińczych tego nie zastąpią. A jeśli w opisie jednego z potencjalnie podejrzanym opowiada się o jego zepsutych, poczerwiałych zębach, to lepiej, żeby ten osobnik kilkanaście stron później nie odkapslowywał nimi piwa. W trosce o resztki jego użębienia. ©©

ANNA KUSIAK
„CIEŃ JUDASZA”
ZYSK I S-KA,
POZNĄ 2021



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Na granicy światów

W genialnym zbiorze wierszy „Umarli ze Spoon River” amerykański

klasyk Edgar Lee Masters obdarowywał lokatorów miejscowego cmentarza życiorysami w formie wierszy. To, co ważne i nieważne, to, co celowe i przypadkowe, mieszało się i składało w melancholijne opowieści o zwykłym ludzkim losie. Taką właśnie opowieścią, tyle że prozą – w duchu Mastersa, ale którą mógłby też napisać William Faulkner albo Cormac McCarthy – jest krótka powieść Denisa Johnsona „Sny o pociągach”.

Skąd dokładnie przybył Robert Granier? Tego nie wiedział. Jak utracił rodziców? Tego nikt mu nigdy nie zdradził. Podobno w dzieciństwie trzeba mu było wybić z głowy język francuski, by zmieścił się tam angielski, co sugeruje, że do lasów Idaho przybył z kanadyjskiej strony. „Nie ciągnęło go do picia ani innych niecnót, miał reputację człowieka rzetelnego”, na życie zarabiał jako drwal, robotnik kolejowy, potem wozak. „Sny o pociągach” to stustronicowa przypowieść o zwykłym życiu, w którym przez chwilę znalazło się miejsce na odrobinę szczęścia, ukochaną kobietę i małą córeczkę, ale które w zdecydowanej większości było harówką za

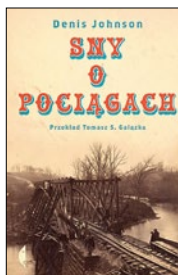
psie pieniądze oraz długim godzeniem się z wielką stratą.

Przepiękna to proza: czysta, barwna, mistrzowska. Bardzo amerykańska, bo to opowieść o pograniczu, dziczy, ujarzmianiu ziemi, budowaniu własnymi rękami własnego skrawka świata. A także o pomału i nieubłaganie nadchodzącej nowoczesności – gdy poznamy Garniera, trwa jeszcze pierwsza wojna światowa, gdy go zegnamy (przeżył 80 wiosen), kończą się lata 60. Ludzie, których spotyka na swej drodze, są równie zwyczajni jak on sam. Czasem więcej w nich łotra, czasem naiwności.

Cudowności ich życia dodają przekazywane z ust do ust opowieści o dzieciach wychowywanych przez wilki, atrakcje wędrownych gabinetów osobliwości, a czasem rozmowy z duchami.

Bohater powieści Denisa Johnsona „Pacyfiku nigdy nie ujrzał. Kochał się tylko z jedną kobietą – swoją żoną Gladys – posiadał jedno-akrową parcelę, dwa konie i wóz. Nigdy się nie upił. Nigdy nie nabył broni palnej ani nie rozmawiał przez telefon. Regularnie jeździł pociągami, samochodami wiele razy, raz leciał samolotem. Nie miał pojęcia, kim mogli być jego rodzice, nie pozostawił też po sobie spadkobierców”.

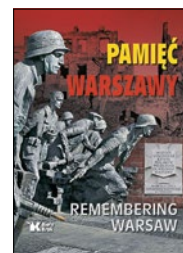
To wszystko. Tylko tyle. Aż tyle. ©©



★★★★★
DENIS JOHNSON
„SNY O POCIĄGACH”
WYDAWNICTWO CZARNE 2021

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Czas rozwoju”, „Czas terroru i ruin”, „Czas pamięci” – zdjęcia z trzech części albumu opowiadają dzieje polskiej stolicy. W finale nie mogło zabraknąć słynnych tablic Karola Tchorka, wstęp napisał prof. Wojciech Roszkowski.



ADAM BUJAK,
WIKTOR CYGAN
„PAMIĘĆ WARSZAWY”
BIAŁY KRUK

Jedną z najważniejszych polskich książek historycznych ostatnich dekad. Profesor Musiał na podstawie dokumentów z sowieckich archiwów kreśli plany podboju Europy i świata przez ZSRS, imperium agresywne i zaborcze.



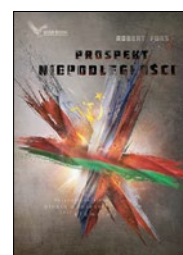
BOGDAN MUSIAŁ
„NA ZACHÓD PO TRUPIE POLSKI”
ZYSK I S-KA

Pięć nowych opowiadań. Powracają doktor Paweł Skórzewski (młodość na zesłaniu) i Robert Storm, pilipiukowa odpowiedź na Indianę Jonesa i Pana Samochodzika (dwa opowiadania). Jest też historia alternatywna („GROM”).



ANDRZEJ PILIPIUK
„CZARNA GÓRA”
FABRYKA SŁÓW

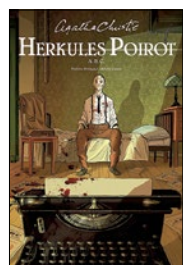
Rywalizacja mocarstw, walka wywiadów, determinacja zwykłych ludzi – w tej powieści political fiction nowy prezydent Białorusi odrywa kraj od Rosji, co wywołuje lawinę dramatycznych wydarzeń. Szczególną rolę odegra Polska.



ROBERT FOKS
„PROSPEKT NIEPODLEGŁOŚCI”
WARBOOK

KOMIKS TYGODNIA:
„HERKULES POIROT”

Rozrasta się seria komiksowych albumów wydawanych w serii „100 lat powieści Agathy Christie”. Z dwóch najnowszych pozycji – „Rendez-vous ze śmiercią” i „A.B.C.” – zdecydowanie lepsze wrażenie robi ta druga, w czym wielka zasługa lekkiej kreski Alberta Zanona, znanego m.in. z pracy dla Disneya i wydawnictwa DC. „A.B.C.” to jedna z najlepszych powieści o Poirocie i zarazem



FRÉDÉRIC BRÉMAUD,
ALBERTO ZANON
„HERKULES POIROT: A.B.C.”
EGMONT 2021

jedną z tych książek Christie, które nie zestarzały się ani trochę – choć jej premiera odbyła się w roku 1935, zatem w zupełnie innej epoce. ©©

poleca Piotr Gociek

Cieszymy się z tego, że nasza twórczość określana jest jako etnojazz – mówiły w jednym z wywiadów liderki zespołu Babooski, który słowiańskie melodie ubiera w jazzową oprawę. Na czele projektu stoją dwie kobiety: Karolina Beimcik, wokalistka jazzowa i skrzypaczka, oraz Dana Vynnytska (wokalistka, kompozytorka i pianistka znana z zespołu Dagadana), Ukrainka na stałe mieszkająca w Polsce.

Skład Babooshek uzupełniają panowie: Jan Smoczyński (fortepian), w dużej mierze definiujący brzmienie zespołu, kontrabasista Michał Jaros, puzonista Michał Tomaszczyk i perkusista Bogusz Wekka. Na najnowszej płycie pojawiają się także gitarzysta Rafał Sarnecki i goście.

Ten najnowszy, wypuszczony w ubiegłym roku album pt. „Będziemy się kręzyli” jest trzecim w sięgającej 2011 r. historii zespołu. Jak piszą Ba-



FOT. PAULINA KANA

booski: „Zawiera [on] nasze doświadczenia, które zbieraliśmy przez prawie cztery lata. Przez ten czas podróżowaliśmy w różne zakątki świata, przemierzaliśmy niezliczoną ilość miast i kilka kontynentów, poznając wspaniałych, ciekawych ludzi, dzieląc z nimi momenty i dźwięki”.

Karolina Beimcik realizowała się w projektach w Indiach czy Stanach Zjednoczonych, Dana Vynnytska z zespołem Dagadana także stawała na światowych scenach. „Będziemy się kręzyli” to dziewięć utworów – pieśni żniwnych, chrzcinnych czy weselnych pochodzących spod białoruskiej granicy, Biłgoraja czy ukraińskiego Polesia. Język polski przepłata się tu z ukraińskim, jazzujący wokół ze śpiewem białym, folk z wpływami world music, jazzu, a nawet muzyki klasycznej. A wszystko to do siebie pasuje. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Kiedy głowa nie daje spać

Ważnym wątkiem nowej płyty jest rozprawianie się z kategoriami „sukcesu”, „bycia sobą”, „wolności” – tłumaczy Jarosław „Bisz” Jaruszewski.

„Błady Król” jest albumem stojącym w kontrze do rozkochanego w sobie rodzimego hip-hopu. 36-lletni „profesor” stawia na publiczne samoobnażenie („Chyba najlepiej w życiu umiem tracić”). To karkołomny środek artystycznego wyrazu, szczególnie w hip-hopie, w którym dominują postawy samca alfa. Na szczęście przez autoterapię Bisza przebijają się autentyczne zmaganie się ze sobą i otoczeniem („Świat był odwrócony, ale nie przekartkowany”). Diagnostuje problemy i je rozdrapuje. Czasem nie wychodzi poza klisze („Mądrze

mówią, że życie to teatr”). Czasem jest pretensjonalny. Częściej, kiedy pojawia się żar osobistych przeżyć, trafia i w nasze czułe punkty.

Album jest muzycznym audiobookiem opowiadającym historię Małego Księcia przemieniającego się w Błedego Króla. Nienarzucającym się komentatorem do monologu Bisza jest muzyka stworzona przez Kosa. Jej emocjonalny, ilustracyjny charakter idealnie dopasowuje się do powagi tematu. Ponieważ nie epatuje złotymi bitami, to jej „nie słychać”, ale dzięki temu przedziera się do podświadomości. Bisz bardziej deklamuje, niż „leci” raperskim flow, ale dzięki temu słowa kłają z zdwojoną mocą. Zapewne będą dalsze części tej opowieści. Ten upadek jest początkiem – bez względu na to, jak to zabrzmi – odrodzenia. ©©



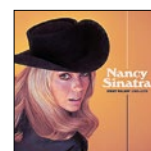
★★★★★
BISZ/KOSA
„BLADY KRÓL”
PCHAMYTENSYF



★★★★★
ALICE COOPER
„DETROIT STORIES”
EARMUSIC

Ojciec chrzestny horror rocka powraca

do Detroit, gdzie zaczął wielką karierę w latach 70. Z wielkim żarem wykonuje covery tamtejszych weteranów (m.in. MC5, Boba Segera), ale też Lou Reeda. Dodaje własne opowieści o mieście wzlotów i upadków. Mocno, agresywnie, ale tylko dla fanów.



★★★★★
NANCY SINATRA
„START WALKIN’
1965-1976”
LIGHT IN THE ATTIC

Córka Franka Sinatry

w połowie lat 60. wraz z Lee Hazlewoodem nagrała serię symfonicznych psych-popowych hitów. „Bang Bang” czy „These Boots Are Made for Walkin’” brzmią i dziś rewelacyjnie. Te 23 piosenki są dobrym powodem na prywatkę retro. ©©

Żadna kwestia, włącznie z majątkiem osobistym prezesa Orlenu, nie wywołała w ostatnich dniach tylu emocji, co decyzja o reprezentowaniu Polski w Konkursie Piosenki Eurowizji przez Rafała Brzozowskiego. Z początku roztrząsano zagadnienie, czy popularny piosenkarz i prezenter nie jest aby za stary (39 lat), czy śpiewa gorzej czy lepiej od Alicji Szemplińskiej (21 lat), która miała wykazać się swoimi walorami głosowymi w tymże konkursie przed rokiem, ale impreza z powodu pandemii nie doszła do skutku, a teraz – po nominacji Brzozowskiego – szansa przeszła jej koło nosa, wreszcie – czy wokalisty z Nowego Dworu Mazowieckiego rodem nie jest wszędzie za dużo i jeszcze go tylko w Rotterdamie brakowało.

Wykonawca szlagieru „Tak blisko” przypomniał tymczasem o sobie w reanimowanym Dniu Kobiet, brylując w urządzonym w Krakowie przez TVP koncercie „Za zdrowie pań”. Obok swego nieśmiertelnego przeboju zaprezentował się w repertuarze włoskim, wzbudzając entuzjazm interpretacją „L'Italiano” z repertuaru Toto Cutugno i „Ciao Siciliano”, co wyśpiewał swego czasu także znany tylko z jednej piosenki niejaki Tony Tabbi. Brzozowskiemu włoskie pienia najwidoczniej są pisane, ponieważ jeszcze prowadząc „Koło fortuny”, wstąpił się nad wyraz oryginalnym przekazem śpiewanej wyliczanki „Blue (Da Ba Dee)” kapeli Eiffel 65 z Italii. Teraz jednak zrezygnował z canzone i eurowizyjną publiczność podbić chce potencjalnym hitem z etykietą made in Sweden.

Po przedstawieniu piosenki sam wykonawca orzekł, że mamy tu „nowoczesność, ale też polskie akcenty. To jest najwyższej klasy produkcja, jeśli chodzi o teledysk, o wide-



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

**„Lasciatemi cantare
Perché ne sono fiero
Sono un italiano
Un italiano vero”**

Tyle że sami Włosi też odchodzą od tradycyjnych pieśni neapolitańskich choćby i przerobionych na italo disco. Gdzie te sławne numery Domenico Modugno, Adriano Celentano, Drupiego, Al Bano i Rominy Power, a nawet i Erosa Ramazzottiego! Ba, pamiętam jeszcze faceta nazywającego się Bobby Solo, kiedy zaśpiewał „Una lacrima sul viso”, nie było kobiety, która by zgodnie z treścią utworu nie oblała się łzami. A w tym roku barw włoskich broni rockowy zespół Måneskin, z którego teledysku promującego „Zitti e buoni” najlepiej zapamiętujemy perkusistkę, ze względu na brak stanika, co przy włożonej przez nią siatkowej koszulce robi zapewne duże wrażenie na pozbawionych macicy odbiorcach. Czy nagi tors Rafała Brzozowskiego (trenował zapasy!) podobnie oddziaływałby na wagino-osoby – trudno mi orzec. W każdym razie w jego klipie „najwyższej klasy” za seksowne uznać można jedynie ciemne okulary, mające ponoć nadać piosenkarzowi zupełnie nowy image.

Tak czy inaczej, zważywszy na więcej niż dobre wyniki osiągane ostatnio przez włoskich wykonawców w eurowizyjnych konkursach, a i sukcesy niedocenionych może przez jurorów, ale bardzo popularnych kawałków w rodzaju „Occidentali's Karma” Francesco Gabbaniego, szkoda, że nasz wysłannik do Rotterdamu nie sięgnął jednak do pojemnej skarbarnicy z napisem „Włoszczyzna”. Naród się z językiem włoskim oswoił. Bo jak to szło?

**O partigiano, portami via
O bella ciao, bella ciao, bella
ciao ciao ciao...**

Ale jazda!



Krzysztof Masłoń

oklip”. Wolałbym wprawdzie, by o światowości produkcji wypowiedział się ktoś bardziej może w tej materii obiektywny, ale rozumiem, że pieśniarz chciał uhonorować Agustina Egurrolę, który zajął się choreografią, co samo w sobie skazuje nas na sukces. Sęk w tym, że oceniane będą piosenki i ich wykonanie, a nie jakość teledysku, w którym zresztą polskie akcenty ograniczają się do pokazanych warszawskich

neonów z lat PRL, włącznie z promocją „wyrobów przemysłu dziewiarskiego”. Obok dominujących neonów Jubilera i Biblioteki Publicznej zabrakło mi ulubionej świetlnej reklamy kolei radzieckich, zdobiącej gmaszysko u zbiegu ul. Żelaznej i Al. Jerozolimskich. Czy podobne niuanse wychwyć zagraniczni widzowie „The Ride”, śmiem wątpić.

A tak przekonująco Rafał Brzozowski zapewniał:



Ile wytrzymamy



Łukasz Warzecha

Po roku pandemii widać już, że w drugim planie bitwy z wirusem trwa znacznie ważniejsza walka: między tymi, którzy widzą okazję do przebudowy świata na modłę korporacjonistyczno-etatystyczną z elementami totalniami, a pragnącymi zachować dawny ład

Wytrzymajcie jeszcze dwa tygodnie!" – słyszeliśmy rok temu. „Spędźmy te święta inaczej, żebyśmy następne mogli już spędzić razem” – mówiono nam. „Czy naprawdę nie możecie wytrzymać miesiąca bez restauracji, basenów czy muzeów?” – pytali niektórzy. 20 marca minęła rocznica ogłoszenia stanu epidemii w Polsce rozporządzeniem ministra zdrowia, wówczas Łukasza Szumowskiego. Ten rok niewiele zmienił na korzyść – raczej przeciwnie, mimo stworzenia szczepionek jest gorzej niż wówczas, bo brak punktu dojścia, brak widoku końca tunelu.

Głosiciele haseł spod znaku „wytrzymajcie” dzisiaj niechętnie wspominają swoje ówczesne tweety. My zaś mamy właśnie kolejny lockdown bliski całkowitemu oraz zapowiedzi ministra Niedzielskiego, że „zamknijemy absolutnie wszystko”, jeśli sytuacja się nie uspokoi. Podobnie jak poprzednie, tak i ten lockdown jest wprowadzany bez śladu analizy, gdzie i dlaczego dochodzi do zakażeń. Znowu hurtowo zamknięto, co się dało: od centrów handlowych do muzeów. Gastronomia nie może normalnie funkcjonować od pięciu miesięcy. Przedsiębiorcy, którzy naiwnie zaufali władzy kilka tygodni temu i zainwestowali, odmrażając na przykład zamknięte hotele (co przecież kosztuje), ponownie są pozostawieni sami sobie ze swoimi problemami.

Praktyczną lekcję ekonomii lockdownowej dostałem, będąc ostatnio u fryzjera. Fryzjerzy byli, jak wiadomo, zamknięci podczas pierwszego, wiosennego lockdownu – później już nie. Zapytałem więc, jak idzie biznes. „Słabo” – odpowiedział strzygący mnie fryzjer. Bo, jak to w gospodarce, wszystko ze wszystkim jest powiązane. Ludzie dbają o siebie mniej, ponieważ nie bardzo mają po co. Nie spotykają się, nie chodzą do teatru czy kina, do klubu albo na imprezy. Wykonując zdalnie pracę, nie muszą

wyglądać nienagannie, zatem i u fryzjera bywają dużo rzadziej. „Przedstawiciele handlowi bywali u nas co dwa tygodnie” – opowiadał dalej fryzjer. – Teraz pracują głównie zdalnie, więc, owszem, przychodzą, ale chcą, żeby ich tak ostrzyż, żeby mogli przyjść dopiero za dwa miesiące”. Skutki lockdownów rozchodzą się w gospodarce jak powolne fale na jeziorze. A przecież biznesy, które mogą być otwarte – tak jak fryzjerzy właśnie – nie dostają już żadnej pomocy. Co nie znaczy, że nie dotyczą ich konsekwencje sytuacji.

Ta anegdota pokazuje nie tylko, jak ucierpieli fryzjerzy – że o innych branżach, takich jak choćby konająca branża eventowa nie wspomnę – lecz także, jak głębokie są skutki społeczne stanu, w którym się znajdujemy. Pisałem w „Do Rzeczy” już rok temu, komentując zapal wokół ówczesnej akcji „Zostań w domu”, i dzisiaj mogę te słowa przywołać z górką satysfakcją:

„Tyle że trzeba by być nie tylko absurdalnym optymistą, lecz także ignorantem w kwestii ludzkiej psychiki, aby uznać, że taki stan cukierkowej euforii utrzyma się długo. To efekty krótkotrwale – i tu trzeba sobie zadać pytanie, czy wprowadzając bardzo daleko idące restrykcje pod dyktando ministra zdrowia, ktokolwiek wziął pod uwagę ludzką psychikę.

Gdy minie efekt szoku połączony z efektem nowości, zaczną się obawy, niepokoje, pojawi się chęć buntu przeciwko regulacjom. Po dwóch tygodniach wiele osób zacznie mieć problem z dziećmi starszymi niż osiem lat (do tego wieku przysługuje zasiłek). Nie można, a przynajmniej nie powinno się prosić o pomoc dziadków, bo oni są najbardziej narażeni w razie zakażenia. Jednocześnie wymaga się od rodziców, żeby w jakiejś części przejęli rolę nauczycieli – nie wszyscy są na to gotowi. Życie rodzinne w takiej sytuacji słodko wygląda tylko w serialach. W rzeczywistości może się stać udręka. [...]

Zamykając niemal wszystko i wymuszając na ludziach siedzenie w domu, nie dając im zarazem żadnego prawdopodobnego momentu zakończenia restrykcji, ryzykujemy, że w którymś momencie zaczną one być łamane, i to masowo. Może się pojawić przekonanie, że kolejne zachorowania oraz zgony – o ile te ostatnie nie pójdą w tysiące – nie są wystarczającym uzasadnieniem, aby podporządkowywać się daleko idącym ograniczeniom nie wiadomo jak długo”.

MEDIA KARMIAĆE STRACHEM

Wszystko się sprawdziło. Pisałem również o tym, że psychiczne i społeczne skutki lockdownów przegrywają z bieżącymi statystykami oraz obrazkami kolejek ambulanсів pod szpitalami, ponieważ statystyki i medialne obrazy widać natychmiast i mają one niemal natychmiastowe przełożenie na notowania władzy, podczas gdy dramatyczne skutki zamykania państwa i ludzi w domach objawiają się dopiero po jakimś czasie i będą rozłożone na lata, a zatem łatwo będzie je zmiatać pod dywan albo przypisywać innym przyczynom: gigantyczne problemy z edukacją i poziomem COVID-owych roczników uczniów oraz studentów, olbrzymie problemy psychiczne, związane z odebraniem ludziom pracy, możliwości zarabiania, kontaktów, radości i sensu życia, jakichkolwiek dalej sięgających celów. To są sytuacje, które w normalnych warunkach są zarezerwowane dla wojny – traumatycznego doświadczenia, niszczącego zwykle całe generacje. Wbrew twierdzeniom COVID-owych celebrytów, my wojny nie mamy. Koszty zaś ponosimy wojenne, w zasadzie w każdej dziedzinie.

Ogromna odpowiedzialność spada tutaj na media, karmiące się strachem, bo on napędza klikalność, oglądalność

i sprzedaż. Oto na czołówce portalu Gazeta.pl pojawia się tytuł wywiadu z ekspertem: „40–70 proc. bardziej zakaźny, 62 proc. bardziej śmiertelny. »Brytyjski« koronawirus zgotuje nam piekło”. 62 proc. bardziej śmiertelny! Ile osób kliknęło na ten nagłówek z jeżącymi się z przerażenia włosami na głowie? Rzecz w tym, że jeśli dotychczas śmiertelność wynosi 3 proc. w skali globalnej, to jej wzrost o 62 proc. oznacza, że wyniesie ona niespełna 5 proc. To oczywiście dużo, to konkretne przypadki kolejnych ludzi. Gdyby jednak w tytule napisać właśnie tak: „Śmiertelność na poziomie blisko 5 proc.” nie zrobiłoby to tak piorunującego wrażenia jak wzmianka o 62-procentowym wzroście.

Z mediów płynie nieustanny potok grozy. Koronawirus niszczy płuca, robi galaretę z mózgu, sprzyja gangrenie oraz ma 1001 nowych wariantów, z których każdy jest coraz złośliwszy albo coraz odporniejszy na szczepionki, ale zarazem szczepionki to przecież jedyne wyjście. Oczywiście choroba może mieć skutki uboczne. Tak się jednak składa, że dostajemy jedynie informacje o kolejnych marginalnie występujących przypadkach. Proszę natomiast spróbować znaleźć historie ludzi, którzy COVID przechorowali lekko, wstali z łóżka po kilku dniach i żyją dalej normalnie. Nie ma! To znaczy – nie ma takich historii w mediach, bo w rzeczywistości jest ich mnóstwo. Większość. Jednak tkwiąc w medialnej bańce – a trudno w niej nie tkwić, jeśli to jedna z kilku rozrywek, jakie nam pozostawiono – można uznać, że na świat zstąpiło 10 plag egipskich w nowym wydaniu i nie pozostaje nam nic innego, jak położyć się na łóżku i czekać na śmierć. Media mają oczywiście swoje prawa, ale będą też miały ogromną zasługę w tym, że wyjdziemy z tej sytuacji drastycznie pokiereszowani psychicznie.

CO DAJĄ LOCKDOWNY?

W opublikowanym na początku lutego badaniu naukowcy związani z Uniwersytetem Stanforda (Eran Bendavid, Christopher Oh, Jay Bhattacharya i John P. Ioannidis) stwierdzają, że nie sposób stwierdzić znaczącego wpływu bardziej restrykcyjnych ograniczeń, takich jak zamykanie biznesów na dużą skalę czy nakaz pozostawania w domu, na rozwój epidemii. Nie jest to jedyne badanie przynoszące takie wyniki. Rządzący w Europie w większości pozostają jednak

głusi na coraz liczniejsze dowody, że lockdowny oznaczają ogromne koszty, ale nie przynoszą korzyści. Nie robi też wrażenia zestawienie statystyk zgonów w tych amerykańskich stanach, gdzie lockdown zniesiono, z tymi, gdzie on obowiązuje. Bogata Kalifornia nakazała pozostać w domach na początku grudnia i odnotowała potężny wzrost liczby zgonów w styczniu. Dzisiaj liczba zgonów zrównała się tam z liczbą zgonów na Florydzie, gdzie niedawno ograniczenia całkowicie zniesiono.

Szwecja – wbrew twierdzeniom wielbicieli lockdownu – wcale nie wycofała się ze swojej dotychczasowej polityki. Wprowadzane tam ograniczenia – np. w godzinach pracy lokali gastronomicznych – są zaliczane do łagodnych. Uchwalono tam jedynie prawo pozwalające w razie potrzeby wprowadzić lockdown twardy – lecz tego nie zrobiono. Dzisiaj Polska ma prawie 7,5 zgonu na milion mieszkańców, Szwecja – 1,8. Przy urbanizacji wyższej o ponad 20 punktów procentowych.

Rok po ogłoszeniu stanu epidemii mierzymy się z tym samym problemem, który majaczył gdzieś u jej początków, ale na wiosnę ubiegłego roku mało kto na niego wyraźnie wskazywał, bo wielu liczyło jeszcze, że wystarczy kilka tygodni zamknięcia wszystkiego, a wirus zniknie: brakuje jakiegokolwiek prognozy powrotu do normalności. Owszem, wciąż pojawiają się wygłaszane z jakąś sadystyczną rozkoszą przez stałych bywalców mediów deklaracje o tym, że o dawnym świecie możemy zapomnieć, a symbolem nowej rzeczywistości stanie się noszona nieustannie maseczka.

Maseczka faktycznie jest symbolem, ale nienormalności i upośledzenia międzyludzkich relacji. Po roku epidemii widać już bardzo wyraźnie, że w drugim planie bitwy z wirusem trwa znacznie ważniejsza walka między tymi, którzy w epidemii widzą okazję do przebudowy świata na modłę korporacjonistyczno-etatystyczną z elementami totalitarnymi (inwigilacja, nadzór, powiększona rola państwa, swoista tresura obywateli, epidemiczny pretekst do praktycznie nie-limitowanego powiększania kompetencji rządu), z tymi, którzy pragną obronić dawny, bardziej liberalny porządek, sytuację zaś, której symbolem jest maseczka, uznają za absolutnie nadzwyczajną i chwilową. Ta bitwa nie jest jeszcze szczęśliwie rozstrzygnięta.

Na początku lutego odbyła się konwencja Koalicji Obywatelskiej, która miała stanowić „nowe otwarcie” w historii polskiej opozycji. Na dzień przed tym, jakże doniosłym, wydarzeniem „Gazeta Wyborcza” informowała, że liderzy KO ujawnią „masterplan wygrania z PiS”. Z dużej chmury mały deszcz. Okazało się, że „masterplanem” jest egzotyczna „koalicja 276”, a jednym z postulatów, które mają przekonać miliony wyborców do poparcia tegoż sojuszu – obietnica likwidacji TVP Info. – Dosyć tej fabryki kłamstw i manipulacji. Szczucie Polaków na Polaków, przez cały czas manipulacja. Tego nie może być, mamy tego dosyć! – grzmiał ze sceny Rafał Trzaskowski.

Nie był jedyny. Od czasu protestu części mediów ws. podatku od reklam politycy KO ze zdwojoną siłą atakują Telewizję Polską. Sławomir Nitras przekonywał niedawno, że TVP Info to „czyste zło”, Bartłomiej Sienkiewicz domagał się „zaborania jej do dna”, a Katarzyna Lubnauer oceniła, że Telewizja Polska to „ohydna szczujnia i szambo”. Tego typu wypowiedzi można by jeszcze długo wymieniać. W sprawę pośrednio zaangażowały się największe liberalno-lewicowe media w Polsce. „Gazeta Wyborcza” na swojej stronie internetowej na bieżąco informowała o postępach w zbiorce podpisów, podając nawet, gdzie i o której godzinie można wesprzeć akcję. Z kolei publicysta „Newsweeka” Mariusz Kowalczyk podkreślał, że pomysł likwidacji TVP Info „jest słuszny, ale daleko niewystarczający”. Co z tego – pisał Kowalczyk – że opozycja zlikwiduje kanał informacyjny, skoro nadal będą istniały np. „Wiadomości” TVP albo Polskie Radio? Natomiast dzień po wspomnianym proteście TVN bodaj po raz pierwszy tak otwarcie wszedł w konflikt z Telewizją Polską, poświęcając jej cały segment wieczornych „Faktów”.

Sam postulat likwidacji TVP Info nie jest oczywiście nowy. Trzaskowski obiecywał to już podczas kampanii wyborczej w zeszłym roku, zapewniając, że jest to dla niego absolutny priorytet. Zresztą już w roku 2019 przy PO powstał specjalny zespół, który miał opracować nową ustawę medialną likwidującą telewizję publiczną. Jak widać, sam pomysł nie narodził się wczoraj, dlatego może dziwić zupełna prowizorka PO, którą obserwujemy od miesiąca. Pomijając samą (niewielką) liczbę zebranych podpisów, warto zwrócić uwagę, że projekt okazał



Jan Fiedorczuk

Opozycja uwierzyła we własną narrację, zgodnie z którą wszechmocna Telewizja Polska manipuluje polskim społeczeństwem, wygrywając dla PiS kolejne wybory. Rolę TVP przeceniają zarówno jej nieustępliwi przeciwnicy, jak i bezkrytyczni obrońcy

się niewypałem pod względem czysto politycznym. Pomysłu PO nie aprobuje właściwie żadna z partii opozycyjnych. – Nie popieramy projektu likwidacji TVP Info. Trzeba pamiętać, że media publiczne są potrzebne. One docierają do wielu miejsc, do których inne media nie docierają – stwierdził w rozmowie z Onetem Szymon Hołownia. W podobnym tonie wypowiedział się również Stefan Krajewski z PSL, który wskazał, że likwidacja TVP skutkowałaby „brakiem dostępu do jakiegokolwiek kanału informacyjnego w wielu polskich domach”, a wcześniej (jeszcze podczas kampanii prezydenckiej) to samo mówił Władysław Kosiniak-Kamysz. Podobne słowa padały ze strony polityków Lewicy,

Konfederacji oraz Kukiz'15. Ta krytyka jest tyleż druzgocąca, co znamienita, gdyż oto okazuje się, że podmioty mające teoretycznie współtworzyć efemeryczną „koalicję 276”, której to jednym z naczelnych zadań byłaby właśnie likwidacja TVP Info... wcale nie chcą jej likwidować. Jest tak dlatego, że nawet jeżeli cała opozycja krytykuje Telewizję Polską, to jedynie Platforma ma prawdziwą obsesję na jej punkcie.

OBSESJA PO

Faktem jest, że w przeszłości wszystkie rządy zagarniały media publiczne, a jedynym wyjątkiem był gabinet Jerzego Buzka, który w drugiej połowie kadencji srogo pożałował tego zaniedbania. Każda



Liderzy Koalicji Obywatelskiej chcą zdobyć wyborców obietnicą likwidacji TVP Info. FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

niemal wszędzie. Podczas niedawnej rozmowy w Radiu Zet Beata Lubecka czytała prezydentowi Warszawy pytanie widza, który był zdziwiony, że ten wraz z Budką głoszą wzajemnie wykluczające się postulaty. Trzaskowski nie dał dziennikarce nawet doczytać pytania do końca. – TVP Info, znowu TVP Info, znowu TVP Info, znowu pytanie od TVP Info, bo TVP Info... To są wszystkie pytania od TVP Info – powtarzał na okrągło, jakby się znajdował w transie. – Pan wszędzie widzi TVP Info. Gdzie tu logika? – pytała rozbawiona Lubecka. Dokładnie, chciałoby się powtórzyć: Gdzie tu logika? Skąd pomysł, by z walki z TVP uczynić główny filar swojej narracji? Czy obietnica likwidacji kanału informacyjnego jest tym, na co rzeczywiście czekają rzesze wyborców? Od 2015 r. PO opowiada o upadku demokracji, zamachu na praworządność, deprawacji państwowych dygnitarzy etc., starając się uczynić wszystko, by spór z PiS miał charakter moralny, a nie merytoryczny. Nie chodzi jedynie o to, że to emocje najbardziej rozgrzewają wyborców. Sami aktorzy politycznego przedstawienia zdają się wierzyć, że moralnie górują nad stroną przeciwną. Naczelnym dowodem, że to oni są (parafrazując Gergette Mosbacher) „po słusznej stronie historii”, jest dla nich właśnie Telewizja Polska – symbol „PiS-owskiego zła”.

PRZECENIONA TELEWIZJA

I tutaj pojawia się kluczowe pytanie. Jeżeli to TVP jest gwarantem sukcesu, a jednocześnie faktycznie jest tak prostacka, jak to przedstawia opozycja, to jak to świadczy o polskim społeczeństwie? Jedynym logicznym rozwiązaniem, jeżeli oczywiście przyjmiemy rozumowanie PO, jest to, że przekaz został dopasowany do niskiego poziomu odbiorców. Wy tłumaczenie być może wygodne dla salonów III RP, jednak dalekie od prawdy.

W rzeczywistości telewizja publiczna nie jest, ani nigdy nie była, architektem sukcesu PiS. Wprost przeciwnie – rola TVP jest ewidentnie przeceniana przez obie strony sporu. Polityka opiera się bowiem zarówno na emocjach, jak i realnych ludzkich potrzebach, dlatego przejęcie tej czy innej redakcji nie może być kluczem do wygrania wyborów. Gdyby tak było, PZPR, która w 1989 r. dysponowała całym aparatem państwa, rządziłaby po dziś dzień. Nie musimy się jednak cofać tak daleko – najdobitniej przema-

wia przykład samego PiS, który w 2015 r. wygrał nie tylko wybory parlamentarne, lecz także prezydenckie, mimo że obóz III RP dysponował prawdziwym medialnym imperium. Lament opozycji, że nie jest w stanie pokonać Kaczyńskiego, bo TVP manipuluje Polakami, jest po prostu śmieszny. Przypomnijmy, że to za rządów PO-PSL ludzie sympatyzujący z prawicą byli de facto pozbawieni dostępu do mediów prezentujących ich światopogląd, gdyż Platforma niemal zmonopolizowała rynek. Obecnie „leming” może zawsze sięgnąć jeśli nie po TVN, to po „Gazetę Wyborczą”, „Newsweeka”, Onet albo wiele innych mediów o ogólnopolskim zasięgu – jest to po prostu nieporównywalna sytuacja z latami rządów Donalda Tuska.

TVP stanowi zatem dla liberałów jedynie wygodną wymówkę. Platforma Obywatelska może schronić się za siermiężnym obliczem Telewizji Polskiej i maskując swoje własne braki programowe i wizerunkowe, uderzać w przeciwnika z wyżyn moralnych. Jest to zadanie tyleż łatwe, co bezproduktywne. Polacy, nawet ci sympatyzujący z PiS, zdają sobie przecież sprawę ze stroniczości telewizji. Elity III RP wyobrażają sobie przeciętnego widza TVP jako niezbyt lotnego odbiorcę, który bezrefleksyjnie przyswaja przekaz „PiS-owskiej telewizji”. Tyle że to mit, który więcej mówi o tychże elitach niż samych widzach TVP. Rację miał Rafał Woś (skądinąd lewicowy publicysta), który stwierdził niegdyś, że PiS-owcy tym się różnią od antypisowców, że ci pierwsi „prędzej przyznają, że »Sieci« albo »Gazeta Polska« są stronicze”, podczas gdy ci drudzy „nigdy nie przyznają, że »Newsweek« albo »Wyborcza« zmieniły się w propagandówki”. Tę zasadę można zastosować do dwóch największych telewizji – TVP i TVN. Obie zajęły jasne stanowiska w trwającym sporze i rola ich obu jest zdecydowanie przeceniana.

Sama Platforma, idąc na wojnę z Telewizją Polską, jedynie powtarza samobójczą strategię, która od sześciu lat zapewnia Kaczyńskiemu niepodzielną władzę. Postulat likwidacji TVP Info trafia wyłącznie do betonu partyjnego uzależnionego od TVN24. Przeciętny Polak – do którego trzeba wyciągnąć rękę, jeżeli marzy się o zwycięstwie wyborczym – ma poważniejsze problemy na głowie niż kruczata przeciwko stacji telewizyjnej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Robert Wyrostkiewicz

Amazon właśnie otworzył polską stronę internetową i chce podbić polski Internet. Kilka dni wcześniej należący do Jeffa Bezosa – właściciela serwisu – „The Washington Post” ostro zaatakował polski rząd

Jeff Bezos, właściciel Amazona, kupił „The Washington Post” w 2013 r. Od sześciu lat dziennik nie ustaje w atakach na Polskę. Trudno oczywiście wymagać od właściciela mediów narzucania im jakiegokolwiek narracji politycznej, ale nie ulega wątpliwości, że linia redakcyjna pism na całym świecie nierzadko jest związana ze światopoglądem wydawcy, a ten bez wątpienia jest tutaj liberalny i w przypadku Europy Środkowej z większą sympatią spogląda na kosmopolityczne czy lewicowe formacje polityczne. Przykłady? Kilka miesięcy temu gazeta tak pisała o wygranej w wyborach prezydenta Andrzeja Dudy: „Kampania wyborcza była paskudną wojną kulturową, w której Duda i jego zwolennicy zaatakowali Trzaskowskiego antysemityzmem, ksenofobią i homofobią [...]”. Dalej padły słowa o agresywnej linii anty-LGBT, co miało mobilizować „starszych, pobożnych katolickich wyborców na rzecz Dudy”.

„The Washington Post” krytykuje rząd PiS za to, że sprzyjał prezydentowi Donaldowi Trumpowi. Dodaje też z satysfakcją, że rzecznik Departamentu Stanu administracji nowego prezydenta Joe Bidena skrytykował Polskę. Ned Price mówił o „ograniczającej się przestrzeni dla społeczeństwa obywatelskiego w Polsce”, zaś „The Washington Post” ma nadzieję, że „to początek znaczącej zmiany postawy USA w kierunku antydemokratycznej tendencji w Polsce”.

„Prawo i Sprawiedliwość” postanowiło pozbawić sądy ich niezależności, przejąć kontrolę nad niezależnymi mediami lub wypędzić je z biznesu oraz uczynić krytyków skrajnie prawicowej polityki społecznej. Stara się również stłumić wszelkie sugestie, że poszczególni Polacy byli współwinni Holokaustu, pomimo licznych dowodów

przeciwnych” – to z kolei najnowszy tekst o naszym kraju. Podpisany jest przez „editorial board”, czyli całą redakcję „The Washington Post”. Nosi tytuł: „Polska atakuje wolność słowa. Reakcja USA będzie kluczowa”.

W artykule opisano protest przedstawicieli części mediów przeciw planom wprowadzenia podatku od reklamy, a także prokuratorskie zarzuty wobec liderki Strajku Kobiet Marty Lempart. Wspomniano także wyrok sądu, który nakazał historykom Barbarze Engelking i Janowi Grabowskiemu przeprosić za

To autorka tego dziennika w 1980 r. zmyśliła historię o ośmioletnim dziecku uzależnionym od heroiny. Janet Cooke otrzymała za to Nagrodę Pulitzera. Kiedy okazało się, że historia była oszustwem, jako jedyna jak dotąd osoba w historii tego wyróżnienia zwróciła nagrodę.

AMAZON DEMOLUJE RYNEK

Wydaje się, że firmy, których właścicielem jest Jeff Bezos, nie tylko chcą zmieniać przyzwyczajenia konsumentów, lecz także wpływać na kształt poli-



przypisanie winy polskiemu sołtysowi za zabójstwo Żydów podczas drugiej wojny światowej.

„Wszystkie te czyny były w taki czy inny sposób produktem prawicowego ruchu nacjonalistycznego, który kontrolował polski rząd od 2015 r. i powoli kieruje kraj w kierunku autokracji” – napisała gazeta, której właścicielem jest szef Amazona.

tyki różnych państw. Amazon znany jest z tego, że tam, gdzie wchodzi, całkowicie demoluje rynek i chce go ustawić pod siebie. Korzystając ze swojej przewagi jako największego sprzedawcy on-line w Stanach Zjednoczonych, może drastycznie obniżyć ceny, tak by wykrwawić konkurencję. Jest w tym zabójczo skuteczny.

Amazon gromadzi niezliczone ilości danych na temat historii naszych zamówień, kart kredytowych i tego, co lubimy kupować. Zbiera także dane dotyczące zdrowia, bo w swojej ofercie posiada pakiet opieki zdrowotnej oraz prowadzi aptekę internetową. Czy te dane są bezpieczne? Byli pracownicy Amazona w rozmowie z POLITICO ostrzegali o poważnych lukach w zabezpieczeniach firmy. Twierdzili, że informacje użytkowników portalu „są narażone na potencjalne naruszenia, kradzież i wykorzystanie”.



FOT. AQUIRE/STOCK

Amazon ma nawet problemy z określeniem, jakie dane posiada, gdzie są przechowywane i kto ma do nich dostęp. – Gdybyś chciał poprosić o „prawo do bycia zapomnianym”, byłoby prawie niemożliwe, aby Amazon zidentyfikował wszystkie miejsca, w których znajdują się twoje dane w ich systemie – mówił dziennikarzom anonimowo były pra-

cownik firmy z USA. Dodał, że dostęp do setek tysięcy kont użytkowników mają byli pracownicy firmy, a jakość kontroli wdrożonych przez Amazona ma być przerażająco niska.

W wewnętrznej notatce Amazona z czerwca 2018 r. stwierdzono, że „istnieje »bardzo wysokie« prawdopodobieństwo krytycznej straty finansowej lub utraty reputacji firmy z powodu »niezdolności firmy do zidentyfikowania zdarzeń niepożądanych«”. Byli pracownicy Amazona alarmowali też, że firma nie spełnia unijnych standardów ochrony danych.

To, jak opieszale działa Amazon w kwestii ochrony danych, pokazuje przykład byłego pracownika, który w 2014 r. zgłosił w firmie niezabezpieczony protokół szyfrowania płatności on-line. Ponownie zgłosił ten sam problem w 2016 r., a następnie znów w 2018 r. Dopiero cztery lata po pierwszych alarmujących informacjach problem został rozwiązany. W wewnętrznym oświadczeniu firmy z tamtego czasu stwierdzono, że wykonanie naprawy na czas oznaczałoby wstrzymanie płatności na znacznej liczbie rynków rozwijających się, czyli w Azji i Ameryce Południowej.

NISZCZENIE KONKURENCJI

Dziennikarze Reutersa ujawnili niedawno praktyki Amazona w Indiach. Firma, chcąc omijać ograniczenia dotyczące inwestycji zagranicznych, weszła w spółkę z indyjskimi przedsiębiorcami i stworzyła dwa podmioty, które zajmowały się na Amazon.in sprzedażą telefonów komórkowych. Jednocześnie przez lata udzielała wybranej grupie obniżonych opłat. Doprowadziła do tego, że w 2019 r. zaledwie 35 z ponad 400 tys. sprzedawców na stronie Amazona w Indiach generowało ok. dwóch trzecich całej sprzedaży on-line na tej internetowej platformie. Amazon do tego stopnia zdominował indyjski rynek telefonii komórkowej, że wraz z indyjską firmą elektroniczną Flipkart odpowiadają za ok. 90 proc. całej sprzedaży smartfonów on-line w Indiach.

W styczniu 2020 r. indyjski organ antymonopolowy – Indyjska Komisja ds. Konkurencji – rozpoczął dochodzenie w sprawie Amazona pod zarzutem praktyk antykonkurencyjnych. Z kolei indyjska federalna agencja zwalczania

przestępstw finansowych prowadzi dochodzenie w sprawie możliwego naruszenia zasad dotyczących inwestycji zagranicznych.

Amazon wywołał też m.in. trzęsienie ziemi na austriackim rynku logistycznym. Wszedł tam ze swoimi usługami dostawczymi tak ostro, że niemiecki DHL zdecydował o wycofaniu się z tego rynku. Ucierpiała też austriacka poczta.

Amazon wszedł na austriacki rynek, bo ma szeroko rozwiniętą sieć dostaw w sąsiednich Niemczech. To kraj, który jest dla niego drugim rynkiem zbytu zaraz po amerykańskim. Przejęcie rynku dostaw w Austrii zajęło Amazonowi zaledwie pół roku.

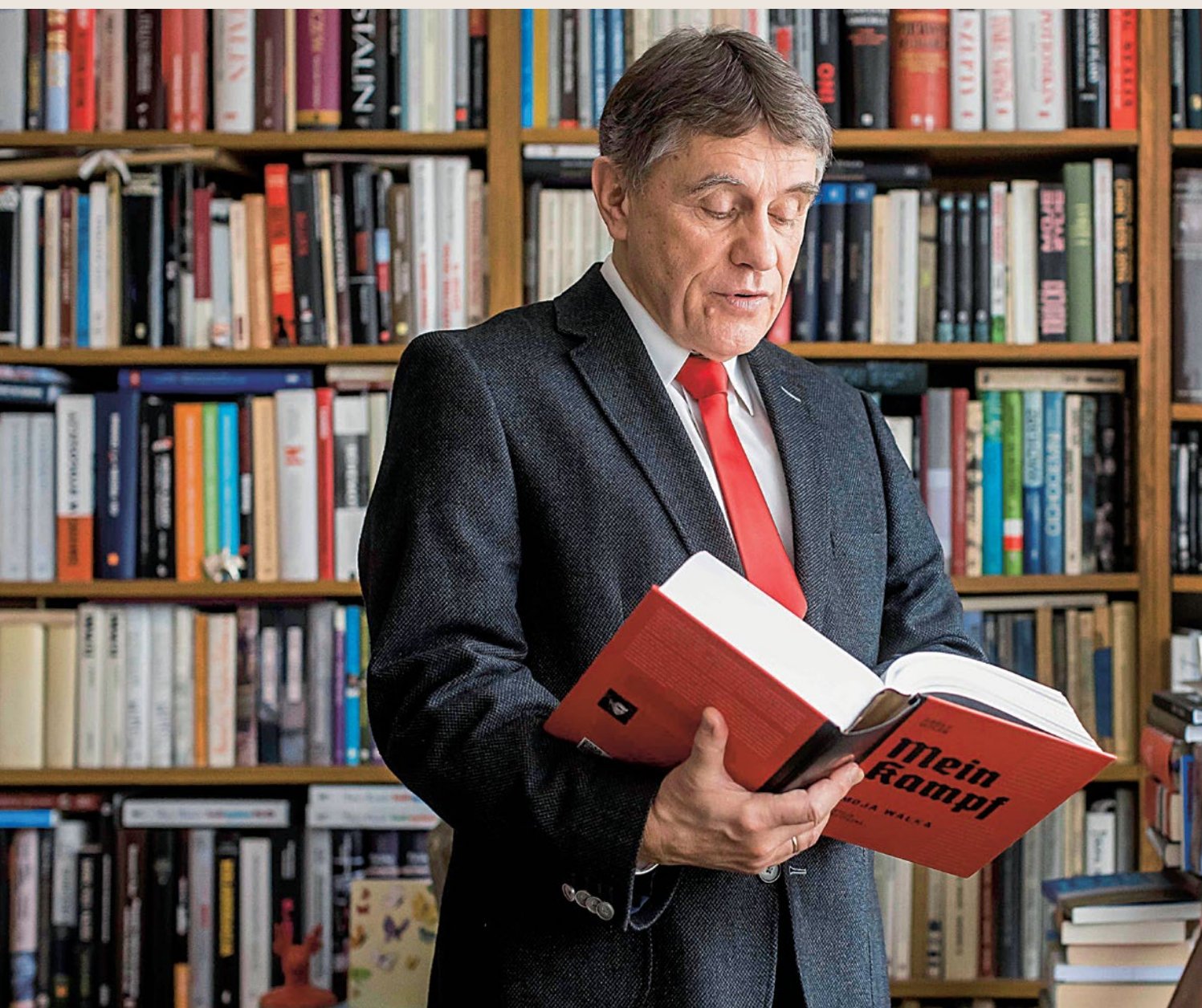
PAŃSTWA SIĘ BRONIĄ PRZED MONOPOLEM

Amazon jest objęty postępowaniami antymonopolistycznymi w wielu krajach, w tym w rodzimych Stanach Zjednoczonych. Podobne działania prowadzą Kanada, Niemcy, a także szerzej – Komisja Europejska. Sprawdza ona, w jaki sposób Amazon wykorzystuje dane sprzedawców na swojej platformie handlowej oraz bada, czy preferencyjnie traktuje własne oferty.

Wiele państw, takich jak Francja, Hiszpania czy nasi sąsiedzi z Czech, wprowadziło przepisy, które nakładają podatek na cyfrowych gigantów. Podatek znany jest jako podatek GAFA, od nazw Google, Amazon, Facebook, Apple, bo dotyczy głównie amerykańskich koncernów. Podatek muszą zapłacić firmy, które mają globalne dochody w ciągu roku w wysokości co najmniej 750 mln euro. Nad podobnymi rozwiązaniami pracują rządy Australii czy Kanady, bo widzą potężne zagrożenie ze strony firmy jednego z najbogatszych ludzi na świecie.

POLSKI FALSTART

Amazon od wielu lat zapowiadał start swojej polskiej strony. W końcu została uruchomiona 2 marca tego roku. Nie ma na niej wielu produktów Amazona. Nie znajdziemy choćby szerokiej gamy czytników e-booków Kindle. Ponadto strona zawiera błędy. Na przykład konkretne oferty produktów są w wynikach wyszukiwania, ale dla kupujących są niedostępne. Czy Polscy klienci zostali potraktowani poważnie przez amerykańskiego giganta?



**Będę cię zabijał
zawsze i wszędzie**

„Mein Kampf” krytycznym komentarzem opatrzył prof. Eugeniusz Cezary Król
FOT. WOJTEK RADWAŃSKI/AFP/EAST NEWS

Wsumie tomisko liczy ponad 1000 stron, efektowna okładka przyciąga wzrok i choć czytelników nie będzie miało u nas tylu co w Niemczech, gdzie dwutomowa edycja krytyczna Instytutu Historii Najnowszej w Monachium, nad którą pracowało 150 badaczy, znalazła już ok. 100 tys. nabywców, ale niewątpliwie nie będzie przedsięwzięciem deficytowym.

Nie pieniądze są tu jednak ważne, ale pytanie, czy w ogóle należało wydawać tę hitlerowską biblię, przez lata wyklętą, niedostępną potencjalnym edytorom, zabronioną przez wszelkie możliwe cenzury i indeksy ksiąg zakazanych. I po co?

Z oburzeniem przywołuje się najłatwiej poddające się krytyce cytaty z tej, przynajmniej w połowie, mocno już trącej myszką księgi, np.: „Broniąc się przed Żydem, walczę o dzieło Pana”. Straszne? „Protokoły mędrców Syjonu” też zawierają zdania zdecydowanie nie po myśli naszych kapryśnych starszych braci w wierze, ale jakoś nikt nie rozdzierał szat, gdy Iskry całkiem niedawno wznawiały ten antysemicki elementarz w krytycznym opracowaniu Janusza Tazbira. Teraz jest inaczej, gdyż poprzez lekturę „Mojej walki” poznajemy bliżej jej autora, jak najśluszniej uważanego za wcielenie Zła.

W 1975 r. w „Tygodniku Powszechnym”, w felietonie „Uszła gdzieś dusza wojownika”, Stefan Kisielewski pisał: „Hitler i hitleryzm – oto także lekcja, lekcja, jaką potęgą potrafią być wiara i idea, a także potrójnie strasliwą potęgą, gdy jest to wiara fałszywa i diaboliczna. Bo nie ulega wątpliwości, że niemieckie społeczeństwo III Rzeszy było ostatnim zachodnim społeczeństwem, które na przekór względem pragmatyzmu – uwierzyło. Tyle że uwierzyło w okryte pozorem idei brednie i zbrodnicze uroszczenia: w swoją wyższość i misję, w mit rasy, w zwycięstwo nad całym światem (»... und morgen die ganze Welt«), w ideową rację bezwzględności i siły, w zmierzch idei i nakazów chrześcijańskich. Jak się stało, że uwierzyli, jak Hitler to zrobił, triumfalnie na przykład wprowadzając we współczesność średniowieczną, wydawałoby się, ideę getta? Jest to wielka tajemnica, ale i strasliwa lekcja historii pokazująca, jaki przepotężny dynamizm kryć się może w pozaracjonalnych ideologicznych mitach, marzeniach, w irrealnych na pozór, lecz ukonkretnionych zbiorową

psychologią »mrzonkach i fantasmagoriach«. Dynamit »średniowiecznych« wier i satanistycznych idei nie oszczędził, jak widać, konsumpcyjnego świeckiego społeczeństwa w marynarkach i krawatach”.

ZAKAZANY OWOC

Dlaczego więc mielibyśmy ponad 75 lat po wojnie i śmierci Hitlera uchylać się przed tą „strasliwą lekcją historii”? Zwłaszcza że trafił się nam świetny nauczyciel historii. Profesor Król jest niekwestionowanym autorytetem, jeśli chodzi o zagadnienia związane z narodowym socjalizmem w Niemczech. Przez pięć lat był dyrektorem Stacji Naukowej PAN w Berlinie, w zeszłej dekadzie m.in. kierował Instytutem Studiów Politycznych PAN (ciekawość, że ten jego macierzysty instytut zerwał umowę z wydawnictwem i wycofał się z udziału w budzącej wyjątkowe emocje edycji). Przełożył i przygotował do druku „Między Hitlerem a Stalinem” Hansa von Herwartha, a także wydał polski wybór „Dzienników” Josepha Goebbelsa. Nad tłumaczeniem i opracowaniem krytycznym „Mein Kampf” pracował trzy lata.

„– Przygotowując się do wydania książki – opowiadał w jednym z wywiadów – poprosiłem kolegów po fachu, ale i ludzi interesujących się historią, a nie będących profesjonalistami, o opinie. Ich poglądy da się sprowadzić do dwóch biegunów. Jedni mówili: nie dotykaj tego tematu, bo obrazisz pamięć ofiar i ich bliskich. Po drugie: to może być pożywką dla sił skrajnych. Po trzecie: możesz narazić się na postępowanie sądowe. Po czwarte: popsujesz sobie opinię, wystawisz się na ataki.

– A zwolennicy?

– Mówili, że ktoś musi to wreszcie zrobić. Minęło tyle lat, na rynku nadal nie ma dobrego wydania krytycznego. Traktowanie »Mein Kampf« jak zakazanego owocu tworzy fałszywy mit książki. Uważali, że wydanie książki Hitlera z przypisami, obszernym wstępem i bibliografią jest nie tylko celowe, ale wręcz niezbędne.

Mam nadzieję, że po ukazaniu się książki [...] dojdzie do publicznej dyskusji. Jestem do niej przygotowany”.

No i dyskusja jest, tyle że może nie całkiem taka, jakiej się autor polskiego wydania „Mein Kampf” spodziewał.

ŚLUBNY PODARUNEK

Złości mnie, ale i bawi utyskiwanie prawdziwych i rzekomych znawców



Krzysztof Masłoń

Ta książka musiała spowodować, najdelikatniej mówiąc, zamieszanie. Oto nakładem Bellony ukazało się krytyczne wydanie „Mein Kampf” Adolfa Hitlera, przełożone z niemieckiego przez prof. Eugeniusza Cezarego Króla i opatrzone przez niego wstępem, przypisami oraz bibliografią

tematu na stylistykę „Mein Kampf”. Tak było od początku, a prof. Eugeniusz Cezary Król pisze w poprzedzającym dzieło eseju „Hitler i jego walka” m.in.: „Odrębna kwestia to język i styl »Mein Kampf«. »Żle napisana i wewnętrznie niespójna« – tak ocenił książkę Hitlera Ian Ker-shaw, autor najgruntowniejszej biografii przywódcy NSDAP. Podobnie, a nawet ostrzej, wyraził się Alan Bullock, klasyk badań nad totalitaryzmem: »[...] książka wyjątkowo odrażająca w swym języku, tonie, a przede wszystkim treści«. Inni poważni biografowie, tacy jak Joachim C. Fest, John Toland czy Peter Longerich, byli podobnego zdania. Nawet Joseph Goebbels, późniejszy minister oświecenia narodowego i propagandy Rzeszy, a wcześniej zdeklarowany już zwolennik swojego Führera, po pierwszych oznakach zachwyty graniczących z religijną ekscytacją sformułował w swoich dziennikach nader powściągliwą opinię: »Praca po południu i wieczorem. Czytanie «[Mein] Kampf» Hitlera. Książka oddziałuje rzetelnie i odważnie. Jedynie styl jest czasami nie do wytrzymania. Trzeba być dla niej bardzo wielkodusznym. On [Hitler] pisze, jak opowiada. To wprawdzie działa w sposób bezpośredni, ale także często niekompetentnie«.

Ach, ci styliści... Ciekawe, czy tak kręciliby nosami chińscy językoznawcy na język Mao, libijscy specjaliści od gramatyki arabskiej na zieloną książeczkę Kaddafiego czy – daleko nie szukając – polscy uczeni, że o sowieckich nie wspomnę, apologety przecudnej urody składni wybitnego językoznawcy, Józefa Wissarionowicza Stalina.

Na początku lat 50. „Krótki kurs historii WKP(b)” autorstwa tego ostatniego był wydawany w naszym kraju w ponad milionowym nakładzie. Więcej drukowano jedynie „Pana Tadeusza”, co zresztą oceniane było pewnie jeśli nie jako ciężki błąd, to na pewno jako niedopatrzenie polityczne. Takie książki jak: „J. Stalin. Krótki życiorys” czy „W.I. Lenin. Krótki zarys życia i działalności” znajdowały się w co drugiej domowej bibliotece. Nikt ich jednak nie nazywał wówczas „bibliami komunizmu”, jak to się stało z „Mein Kampf”, może dlatego, że w III Rzeszy od 1936 r. każda para nowożeńców otrzymywała egzemplarz dzieła Hitlera przy zawieraniu ślubu cywilnego. Tak czy inaczej do końca roku 1944 niemiecki rynek wchłonął prawie 12,5-milionowy łączny nakład „słabej stylistycznie” książki Adolfa Hitlera.

Eugeniusz Cezary Król podaje zajmujące informacje o obcojęzycznych edycjach „Mein Kampf”, wśród których – uwaga – nie było wydania polskiego. Profesor nie był w stanie zweryfikować nawet powtarzającej się wieści o tłumaczeniu dokonany na potrzeby wyższych oficerów Wojska Polskiego. A oficjalne starania nielicznych wydawców, które w wydaniu książki Hitlera zwiertrzyły niezły interes, spełzły na niczym, z pewnością ze względu na ostre warunki cenzorskie stawiane przez Niemców, którym nie zależało na publikacji treści mogących wzbudzić czytelników w krajach, o których pisał nieprzyjaźnie. Czyli naprawdę niemal o wszystkich. Polsce nie poświęcił wiele uwagi zapewne dlatego, że mało o naszym kraju wiedział – tyle tylko, że był dla niego częścią gigantycznej azjatyckiej przestrzeni rozpościerającej się tuż za wschodnią granicą Niemiec, którą należało – jego zdaniem – zaanektować, ludności, broń Boże, nie germanizować, tylko usunąć (dokąd – tego nie wyjaśnił), a ziemie zasiedlić „rasowo wartościowymi” chłopami niemieckimi.

SPRAWY DUŻE I MAŁE

Sprawa polska była więc dla niego na pozór drugorzędna. A co było naprawdę ważne? W „Mein Kampf”, powiada Eugeniusz Król, priorytetowe są trzy elementy:

„1. Kryterium rasy jako czynnika na swój sposób przesadzającego porządek świata, a tym samym również sytuację w Niemczech.

2. Projekt państwa volkistowskiego, zakładającego budowę organizmu o charakterze totalitarnym, w którym rygorystycznie stosuje się zasadę wodzostwa i tworzy sztywną, »stanową« stratyfikację społeczeństwa.

3. Strategiczny plan rozwiązania problemu wyżywienia ludności Niemiec za pomocą zdobywania »przestrzeni życiowej« na wschodzie Europy”.

Obok zagadnień zasadniczych mamy też mniej ważne; uwagę prof. Króla zwraca poruszany przez Hitlera „na przykład problem szkodliwości chorób wenerycznych i prostytucji czy [...] kwestia kroju spodni, odpowiedniego dla niemieckiej młodzieży szkolnej”. Takich za przeproszeniem dupereli znajdziemy w „Mein Kampf” więcej, ale przecież świadczyć one mogą o trosce, z jaką Führer odnosił się do wszelkich spraw,

dużych i małych, a znał się przecież na wszystkim.

Pewnie, taki Tomasz Mann mógł (zza oceanu!) pytać: „Jak to możliwe, że Niemcy i świat pozwoliły temu krwawemu chłystkowi, tej intelektualnej i moralnej miernocie, tej mrocznej zakłamaney duszyczce, temu w gruncie rzeczy zającemu sercu, temu niewydarzonemu, wyposażonemu jedynie w nieczystą siłę sugestii indywiduum odegrać historyczną rolę i z zuchwale nagromadzonych zbrodni wzniesić sobie piedestał, na którym przynajmniej samemu sobie – dziś już tylko samemu sobie – wydaje się wielki?”. Cóż z tego, że Antoni Słonimski twierdził, iż „Mein Kampf” nosi znamiona „biblii dla półinteligentów”? Że Władysław Studnicki, wszak germanofil, po lekturze książki zauważył m.in., iż taktyka zwolenników Hitlera „stworzona została przez zwycięstwo nad socjalistami w bójkach na zebraniach”.

Po wojnie niemieckie egzemplarze „Mein Kampf” znajdujące się głównie na przyłączonych do Polski ziemiach zachodnich i północnych były wycofywane z księgozbiorów oraz archiwów i niszczone. Książka z rzadka pojawiała się na rynku kolekcjonerskim, dopiero po 1989 r., mimo braku przyzwolenia, zaprzyjaźnieni bukinieści oferowali „Mein Kampf”, oczywiście po niemiecku albo angielsku. Po polsku pojawiły się trzy skrócone edycje w latach 1992–2005; w obiegu elektronicznym znalazły się też dwa wydania książki Hitlera.

ABSURDY I OBRZYDLIWOŚCI

To znamienne, że często te same osoby, a na pewno wyznający podobne poglądy polityczne, które dziś wszczynają jeremiady nad wydaniem „Mein Kampf” przez Bellonę, nie krytykowały, a wręcz przeciwnie – chwaliły za podjęcie ważkiego współcześnie tematu warszawski Teatr Powszechny, który w marcu 2019 r. wystawił dzieło Hitlera na swojej scenie. Wyreżyserowany przez Jakuba Skrzywankę, od strony dramaturgicznej będący dziełem Grzegorza Niziołka spektakl był częścią, jak deklarowano, „obchodów Roku Antyfaszystowskiego”, a przyświecało mu hasło: „Feminizm! Niefaszyzm!”. Dyrektor teatru Paweł Łysak uświadał, że „celem spektaklu jest ukazanie zbrodniczej siły ideologii faszystowskiej i przestrzeżenie przed tym”. Główną atrakcją tamtego skandalicznego wygłupu, jakże charakterystycznego dla tej

niegdyś znakomitej sceny, były w drugim akcie karykaturalne papierowe twarze przywódców naszych czasów, oczywiście z Jarosławem Kaczyńskim, ale i papieżem Franciszkiem na czele. O takich „drobiazgach” jak zamalowywanie farbą wizerunków Matki Boskiej i Jej Syna tylko napomknę, oddając głos profesorowi Królowi: „Na deskach scenicznych deklamowano przez ponad dwie i pół godziny fragmenty »Mein Kampf«, odpowiednio dobrane i wygładzone stylistycznie. Pomijając efekty obsceniczne, które miały zapewne stanowić przyciągający magnes, spektakl zawierał przesłanie, które najprościej wyraził jeden z młodych, najwyraźniej

edycją „Mein Kampf”, poza oczywistymi bredniami i złośliwościami „Gazety Wyborczej” obrzydliwością wyróżniły się enuncjacje „Krytyki Politycznej”, która palcem wskazała rodzimych antysemitów czczonych ponoć w naszej ojczyźnie, a przecież porównywalnych z Hitlerem, na którego oburzamy się, sądząc należy, ponad miarę. Tymi rodzimymi potworami są, zdaniem Adama Leszczyńskiego z „Krytyki...”: Roman Dmowski, Adam Doboszyński i, co najciekawsze, prymas tysiąclecia ks. kard. Stefan Wyszyński. To, że pierwszy z nich był na równi z Piłsudskim wskrzesicielem państwa polskiego, drugi został zamęczony przez komunistów, a trzeci zostanie beatyfikowany, jest dla autora drugorzędne, jako że

przesuwał i sypało śniegiem. [...] kiedy ludzie odwalali śnieg i gruz, a metr pod powierzchnią cegły parzyły dłonie, i wydobywano niepotrzebne rzeczy, groteskowe ślady minionego życia: klatkę z upieczonym kanarkiem, metalowe pudło z nadwzrostkami zdjęciami, co się sypało w palcach jak śliski pył motyli...

wtedy stojąc na pagórku rozpalonym gruzów przysypanych topniejącym śniegiem, powiedziałem głośno, patrząc przez łyż w biały obłok mojego domu: »Jak będę duży, to zabiję Hitlera«, a nie chodziło mi wtedy o więcej, tylko o moje zabawki, które zostały pod gruzem, zmiażdżone, spalone i starte, psy o imionach czułych i pluszowej sierści, krasnale brudne i obdarte od uścisków gwałtownych, od miłości większej niż do ludzi...

i teraz, będąc w miejscu, gdzie dojrzał ten mały, śmieszny człowiek, ten wstrętny przestraszony skurwysynek, co mojemu ojcu wsadził kulę w tył głowy...

tu, gdzie dojrzał ten wrzód zbrodni, zakażający świat – powiedziałem głośno:

Będę cię zabijał zawsze i wszędzie, wszelkimi sposobami. Gdziekolwiek wytropię twój ślad, w miejscach najbardziej ukrytych, zamaskowanych dla niepoznaki czymś całkiem niby innym, całe życie moje poświęcę zabijaniu ciebie, bo ty chciałeś mnie zabić, tak jak zabiłeś miliony innych ludzi, i skazałeś mnie na ciągłe i nieustanne przeżywanie każdej z tamtych śmierci, na myślenie o tym po nocach i po dniach, na banie się tej śmierci w gazie, w piecu, na szubienicy... Nie daruję ci tej śmierci mojej, ani śmierci mojego ojca, ani śmierci moich zabawek, bo nie miałeś prawa mi ich zabrać...

To już nie gniew, to więcej niż gniew, to oburzenie mówiło przeze mnie, oburzenie, które jest siłą człowieka, jego prawem i sprawiedliwością.

Zapamiętałem te słowa Brychta, może i marnego człowieka, ale tegiego pisarza, pewnie dlatego, że idealnie trafiały w punkt także mojego myślenia o tym kimś, kto odcisnął swoje piętno i na mojej rodzinie, i na familiach chyba wszystkich moich bliskich, przyjaciół i znajomych. Wszystkich Polaków. Z czystym sumieniem mogę im polecić „Mein Kampf”. Nie zainfekują się, nie ma obawy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



rozgorączkowanych widzów, zagadnięty przez piszącego te słowa: »Proszę pana, ten facet [Hitler] miał naprawdę wiele racji!«. Czy o taki przekaz chodziło autorom przedstawienia? Czy tak powinno wyglądać «twórcze» odczytanie tekstu »Mein Kampf«?

Oczywiście nie. Ale któż może zapewnić, że ów młody człowiek, sięgając po ponad 800-stronicową księgę Hitlera, w głębokim poważaniu mieć będzie to, iż jest to wydanie krytyczne, pominięte wstępny szkic Eugeniusza Cezarego Króla, nie zerknie nawet w jeden z dwóch tysięcy opracowanych przez niego przypisów, na pamięć wyuczy się kilkunastu najbardziej antysemitkich zdań i cytując je, brylować będzie w towarzystwie sobie podobnych. Hajlować pewnie już umie.

W powodzi absurdalnych tekstów, które ukazały się w związku z polską

dwaj pierwsi „stawiali »odżydzenie Polski« w centrum swych politycznych programów, a Doboszyński był nawet współautorem pogromu w Myślenicach w 1935 roku”. Jeśli zaś chodzi o ks. Wyszyńskiego, to redagowane przez niego przed wojną „Ateneum Kapłańskie” „pełne było antysemitkich tekstów”.

TO WIĘCEJ NIŻ GNIEW

Gdy kończyłem czytać „Mein Kampf”, przypominały mi się zdania z dawno temu przeczytanej książki. Ponad pół wieku temu zapomniany dziś, a wtedy bardzo głośny pisarz Andrzej Brycht pisał:

[...] idę po śladach tego małego mężczyzny z fryzjerskim wąsikiem. Na gruzach mojego warszawskiego domu, kiedy spojrzałem w punkt, gdzie powinno być okno, a tam obłok się biały



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Hitler kontra USA

Wielu historyków i publicystów popełnia pewien błąd. Otóż w swoich rozważaniach opierają się głównie na czynnikach politycznych, ewentualnie militarnych. Ignorują zaś czynnik nie mniej ważny, a kto wie, czy nie ważniejszy. Czyli gospodarkę. Jest to błąd poważny, którego również i mnie nie udało się zawsze uniknąć.

Tymczasem to kwestie ekonomiczne często determinują decyzje polityczne i mają kluczowy wpływ na przebieg wojen. Dlatego takim odkryciem jest książka Adama Tooze'a „Cena zniszczenia. Wzrost i załamanie nazistowskiej gospodarki”.

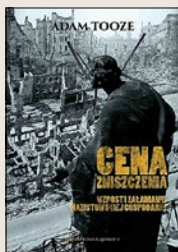
Historyk ukazuje w niej imponujące osiągnięcia Berlina w totalnej mobilizacji gospodarki na rzecz celów wojennych. Według Tooze'a Niemcy przywódcy mieli jednak pełną świadomość, że na dłuższą metę nie będą w stanie sprostać połączone siłom gospodarek swoich przeciwników – Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Sowieckiego.

Właśnie dlatego Hitlerowi tak bardzo się spieszyło z wywołaniem wojny (chciał to zrobić już podczas kryzysu czechosłowackiego). Dyktator rozumiał bowiem, że czas pracuje dla

jego wrogów. Chciał kilkoma potężnymi uderzeniami błyskawicznie rozstrzygnąć wojnę, zanim rywalizujące mocarstwa zdążą zmobilizować własne gospodarki na cele wojenne.

Gdyby wojna się przeciągnęła i z triumfalnej serii blitzkriegów zamieniła się w długoletnią wojnę na wyniszczenie – III Rzesza byłaby zgubiona. Błyskawiczne zwycięstwa odniesione w latach 1939–1940 wydawały się wskazywać, że taktyka Hitlera była słuszna. Wszystko szło zgodnie z planem. Machina zacięła się jednak jesienią 1941 r., gdy Wehrmacht ugrzązł pod Moskwą.

Związku Sowieckiego nie udało się błyskawicznie pokonać, a Stany Zjednoczone przystąpiły do wojny przeciwko mocarstwom Osi. To był koniec. Hitler zagrał w banque i przegrał.



★★★★★

ADAM TOOZE
„CENA
ZNISZCZENIA.
WZROST
I ZAŁAMANIE
NAZISTOWSKIEJ
GOSPODARKI”
NAPOLEON V

Tooze wskazuje na dalekosiężny cel Hitlera. Była nim budowa europejskiego imperium opartego na surowcach pozyskiwanych z wielkich przestrzeni postsowieckich. Imperium to miało ocalić Europę przed dominacją USA, wschodzącej globalnej potęgi. Skutki polityki Hitlera były więc odwrotne do zamierzonych. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Kłeska superprodukcji

Wydawać się może, że Eugeniusz Bodo i reżyser Michał Waszyński stanowili duet odnoszący w latach 30. ubiegłego stulecia same sukcesy. Zdarzały im się jednak też niepowodzenia, a należał do nich film „Kocha, lubi, szanuje” (premiera 28 marca 1934 r.), chociaż wydawało się, że był on skazany na sukces. W rolach głównych: Bodo i Loda Halama, w drugoplanowych: Ludwik Lawiński, Michał Znicz, Stanisław Sielański, Zula Pogorzelska i Konrad Tom, muzyka Henryka Warsa, zdjęcia Seweryna Steinwurzela, a do tego reżyseria Waszyńskiego.

W produkcję zaangażowała się hollywoodzka wytwórnia Universal Pictures, a film miał „daleko poza granicami rozślawić imię Polski”. Piętą achillesową okazał się jednak scenariusz – szef polskiego oddziału amerykańskiej wytwórni wybrał ofertę Napoleona Sądka, dla którego była to dopiero trzecia produkcja filmowa. Mimo to uznano, że pomysł przenikania się dwóch światów – rzeczywistego i wymarzonego – oraz gwiazdorska obsada stanowią wystarczającą gwarancję sukcesu. To było jednak za mało.

Była to bowiem kompletnie nieudana produkcja. Sytuację usiłowano ratować względnie pozytywnymi recenzjami, jednak nawet najbardziej zaprzyjaźnieni dziennikarze nie potrafili napisać zbyt wiele dobrego

o tym filmie. Inna sprawa, że większość publicystów solidarnie i ostro skrytykowała film oraz jego twórców. Podnoszono słabość scenariusza, twierdzono, że Bodo był „słabszy niż zwykle”, a do tego „głosowo jawnie nieusposobiony”. Zauważano natomiast, że Halama znacznie poprawiła dykcję, ale nie porwała widzów swoimi numerami tanecznymi, co zawsze było jej największym atutem.

Można odnieść wrażenie, że wszystko w tym filmie było poprawne, zabrakło natomiast naprawdę dobrych pomysłów realizatorskich. Nawet piosenki Warsa nie stały się przebojami, co należy wręcz uznać za pewną osobliwość.

Zarzucano filmowcom, że znowu nie wykorzystali możliwości Zuli Pogorzelskiej, która „stała i niezmordowanie” prezentuje na ekranie „irytujący typ koczodanów”. Całość miała sprawiać wrażenie produkcji, w której „w oczekiwaniu sporych zysków wypchnięto trochę zdeprecjonowanych, anemicznych dolarów”, uznając, że to załatwi sprawę. Finanse to jednak nie wszystko i film okazał się wyjątkowo nieudany.

Niepowodzenie „Kocha, lubi, szanuje” nie załamało ani Bodo, ani Waszyńskiego. Dla tego pierwszego był to jeden z czterech filmów w tamtym roku, a dla producenta jeden z pięciu. Nie bez powodu aktora uważano za pracoholika, a reżysera za prawdziwego robota filmowego. ©©

BIDEN NIE CHCE MIGRANTÓW

Poprzedni prezydent USA był zły, ponieważ nie chciał migrantów i budował na granicach mury. Dlatego Amerykanie wybrali nowego, lepszego prezydenta. Joe Biden właśnie zaapelował... żeby migranci trzymali się od jego kraju z daleka. „Nie przyjeżdżajcie. Jesteśmy w trakcie organizowania się, nie opuszczajcie swoich miejscowości, miast i społeczności” – powiedział Biden w telewizji ABC.

blemu nie ma, bo to dorośli sami decydują, co ich dzieci obejrzą w telewizji.

JAPOŃSKI SĄD ZA HOMOZWIAZKAMI

Po raz pierwszy w Japonii orzeczenie sądowe wsparło możliwość utworzenia związku partnerskiego lub małżeństwa przez osoby tej samej płci. Sąd rejonowy w Sapporo uznał, że sytuacja, w której homoseksualiści nie mogą zawrzeć oficjalnie urzędowego związku, jest niezgodna z japońską konstytucją.

NADZY DOROŚLI DZIECIOM

Holendrzy nakręcili swoją wersję duńskiego programu „Po prostu nagość”. W Danii to widowisko w 2019 r. zdobyło nawet nagrodę dla najlepszego programu dla dzieci. Chodzi tam o to, że dzieci w wieku 10–12 lat zaprasza się na widowisko po to, żeby przed nimi obnażyli się dorośli. Dorosłe gołasy odpowiadają potem na pytania dzieci dotyczące seksualności. Rzecznik holenderskiej stacji NTR, która ma emitować program, stwierdził, że pro-

AMAZON CENZURUJE KSIĄŻKI

Senatorowie amerykańskiej Partii Republikańskiej pytali Amazona, dlaczego ze swojej oferty usunął książkę „When Harry Became Sally: Responding to the Transgender Moment” (której autor uważa, że należy zaakceptować płęć, z którą się urodziło). Firma odpowiedziała, że będzie usuwać książki, w których bohaterowie należący do mniejszości seksualnych to osoby mające problemy psychiczne. © ©

Łukasz Zboralski

MACRON ZNÓW PRZED SĄDEM

Niedawno sąd skazał byłego prezydenta Francji na trzy lata więzienia (w zawieszeniu na dwa lata) za korupcję i wywieranie wpływów. Chodziło m.in. o pozyskanie informacji w sprawie śledztwa w związku z finansami jego partii i próbę przekupienia sędziego. Emmanuel Macron od wyroku się odwołał, ale już musi zmagać się z następnym procesem. Tym razem zmierzy się z zarzutami, że jego kampania prezydencka z 2012 r. była nielegalnie sfinansowana.

FOT. MARC PASSECO/GETTY IMAGES



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Bidena skok na kasę

Nie ma czegoś takiego jak publiczne pieniądze. Jeśli rząd mówi, że komuś coś da, to znaczy, że zabierze tobie, bo rząd nie ma żadnych własnych pieniędzy – tłumaczyła konserwatywna brytyjska premier Margaret Thatcher. Wygląda na to, że tę starą prawdę wreszcie pojęli nawet amerykańscy socjaliści. Niestety, zrozumieli ją na swój sposób i... szykują się do wielkiej grabieży. Nowy prezydent USA Joe Biden już zdecydował o wydaniu na różnego rodzaju zapomogi 1,9 bln dol. i wcale nie zamierza skończyć na tym swojej zabawy w Robin Hooda.

Według Bloomberg'a przywódca Partii Demokratycznej chce móc rozdawać jeszcze więcej pieniędzy, niż są w stanie dodrukować drukarki Rezerwy Federalnej. Żeby ten plan zrealizować, ekipa Bidena szykuje więc najbardziej kompleksową falę podwyżek podatków od roku 1993 – doniosła w zeszłym tygodniu agencja Bloomberg. Na razie z 21 do 28 proc. wzrosnąć ma podatek dochodowy od osób prawnych (CIT). Biały Dom planuje też ściągać wyższe daniny z PIT od osób zarabiających rocznie ponad 400 tys. dol., a także podwyższyć podatek od zysków kapitałowych dla osób zarabiających ponad

1 mln dol. rocznie. Biden chce też cofnąć ulgi podatkowe wprowadzone za czasów Trumpa. A że lupienie najbogatszych nie wystarczy, to podwyżki podatków już wkrótce najbardziej odczuje klasa średnia.

Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem demokratów, to w Ameryce spełni się socjalistyczny sen o równości: ciężka praca i przedsiębiorczość przestaną się opłacać, bezrobocie wzrośnie, a wyborcy będą coraz bardziej uzależnieni od rządowych zasiłków. Dzięki temu pojawi się Nowy Ład bez podziału na biednych i bogatych. W socjalistycznej Ameryce biednych będzie zdecydowanie więcej niż dziś. © ©



Z prof. Vakhtangiem Maisią,
politologiem, ekspertem NATO,
byłym doradcą prezydenta Gruzji
rozmawia Maria Kądzilska

Romans Pekinu z Moskwą

MARIA KĄDZIŁSKA: Jak należy oceniać relacje rosyjsko-chińskie?

VAKHTANG MAISAIA: Zaczniemy od początku. Historia współpracy między Rosją a Chinami rozpoczęła się 12 czerwca 1990 r., kiedy Rosja ogłosiła niepodległość, a Borys Jelcyń został wybrany na pierwszego prezydenta. W czasie istnienia ZSRS relacje obu państw były napięte. Nikita Chruszczow i Mao Zedong wzajemnie ze sobą rywalizowali, a eksperci nazywali to: „jeden komunizm, dwie siły”. W roku 1969 obydwie państwa weszły w konflikt zbrojny nad rzeką Ussuri. Sytuacja odwróciła się o 180 stopni po upadku Związku Sowieckiego. 3 września 1994 r. podpisano porozumienie demarkacyjne ustalające granicę na spornym 55-kilometrowym odcinku zachodniej granicy chińsko-rosyjskiej. Rosja nawet oddała Chinom część spornych ziem.

Czy tzw. oferta putinowska zbliżyła Moskwę do Pekinu?

Tak, kolejnym przełomem we wzajemnych relacjach było dojście Władimira Putina do władzy. Nowy prezydent postawił na współpracę chińsko-rosyjską. Jeszcze z inicjatywy Borysa Jelcyna w 1996 r. powołano do życia tzw. szanghajską piątkę, w której skład wchodziły: Rosja, Chińska Republika Ludowa, Kazachstan, Kirgistan i Tadżykistan. W 2001 r. inicjatywa przerodziła się w Szanghajską Organizację Współpracy, do której dołączył Uzbekistan, a w 2017 r. także Indie i Pakistan. Jej celem jest umacnianie bezpieczeństwa

regionalnego w Azji poprzez wielopłaszczyznową współpracę głównie Rosji i Chin. W mojej ocenie jest to niezwykle skuteczna organizacja, która otwarcie rywalizuje z NATO. Od początku XX w. obydwa państwa jednocyły swoją strategię bezpieczeństwa, a także politykę militarną, łącząc siły w projektach międzynarodowych.

Jak Rosja ustosunkowuje się do wzrostu ekonomicznego Chin?

Rosja rozwija wart 55 mld dol. projekt „Siberian Power” – gazociąg łączący Rosję z Chinami. Za pomocą tego rurociągu Moskwa chce dostarczać Pekinowi ponad 38 mln m sześć. gazu. To największy wkład w rozwój chińskiej gospodarki. Chiny, stając się drugą na świecie siłą ekonomiczną, uzależniły się od importu surowców energetycznych z zagranicy. Niedługo pod względem PKB prześcigną Stany Zjednoczone i wtedy będziemy mieli tripolarny porządek sił na świecie. Taki scenariusz był dyskutowany już w 2019 r. na Konferencji Bezpieczeństwa w Monachium. Z tych trzech mocarstw to Rosja będzie słabym ogniwem.

Czyli świat dzieli się niejako na pół?

Z pewnością Rosja i Chiny jednoczą swoją siłę, aby zachwiać hegemonią światową utrzymywaną przez USA. Od 2014 r. doświadczamy drugiej zimnej wojny między Rosją a państwami zachodnimi. Podczas szczytu NATO w Warszawie Rosja została scharakteryzowana jako „wroóg”, a Chiny jako „ryw”, jednak już na szczycie w Brukseli Chiny



Prezydent Rosji Władimir Putin i prezydent Chin Xi Jinping w Pekinie
W 2016 r. FOT. POOL/GETTY IMAGES

zmieniły swój status również na „wroga”. Ta sytuacja ustawienia obu krajów na pozycji przeciwników skutkowałą jeszcze silniejszym ich zbliżeniem. Po inwazji na Krym świat zachodni nałożył na Rosję sankcje, de facto rozpoczynając wojnę ekonomiczną z Moskwą. Tym samym Rosjanie traktują Zachód jako wroga, regularnie przypuszczając cyberataki na amerykańską administrację, tak jak to było na masową skalę pod koniec grudnia. Administracja Trumpa oficjalnie rozpoczęła wojnę ekonomiczną z Chinami, nakładając na ich produkty kolejne taryfy. W efekcie Moskwa i Pekin stały się niejako naturalnymi sprzymierzeńcami.

Oznacza to, że Stany Zjednoczone i Unia Europejska spowodowały, iż te państwa wpadły sobie w ramiona?

Tak, dokładnie tak się stało. Chiny i Rosja mentalnie do siebie podobne,



narękę wojenną, oraz wspólnie zwalczają międzynarodowy terroryzm. W Syrii, Afryce i Ameryce Łacińskiej rosyjskie i chińskie służby wspierają się wzajemnie. Obydwa kraje poparły autorytarny reżim w Wenezueli; współdziałają także w zakresie zapewnienia bezpieczeństwa w Azji Centralnej.

Do czego Chiny potrzebują Rosji?

Chiny opierają swój przemysł na imporcie rosyjskiej ropy i rosyjskiego gazu. Pozyskiwanie tych surowców z Rosji jest dla Pekinu finansowo najbardziej opłacalne. Pekin kupuje od Moskwy również drewno, diamenty i złoto. W zamian Chińczycy inwestują w rosyjski przemysł, a wysokość tych inwestycji przekracza miliard dolarów. Chińczycy potrzebują również technologii militarnej. Całe chińskie zaplecze wojskowe jest oparte na rosyjskiej myśli technicznej. Rosjanie wciąż wiodą prym, jeśli chodzi o zdolności militarne. Obecnie trwa wielka modernizacja chińskiego wojska, która w 40 proc. jest oparta na rosyjskiej technologii.

Czy ta współpraca militarna pociąga za sobą współpracę polityczną?

Wszyscy wielcy rosyjscy oligarchowie przenieśli swoje oszczędności z banków amerykańskich i europejskich do Chin. Abramowicz, którego majątek sięga 90 mld dol., zainwestował ogromne sumy w chińskie systemy finansowe i bankowe w Szanghaju. Podobnie zrobił sam Putin. Dzieje się tak, ponieważ po nałożonych przez Amerykanów sankcjach finansowych rosyjscy oligarchowie poczuli się zagrożeni. Trzymanie pieniędzy w Chinach jest dla nich znacznie wygodniejsze i bezpieczniejsze. W dodatku Chiny i Rosja w 2018 r. zawarły umowę, aby dokonywać wszelkich wzajemnych inwestycji i operacji finansowych w walutach narodowych, tym samym wypierając dolara z obrotu międzynarodowego.

Czy Chiny stanowią jakiekolwiek zagrożenie dla Rosji?

Nie użyłbym słowa „zagrożenie”. W języku geopolityki wyróżniamy trzy poziomy: zagrożenie, wyzwanie i ryzyko. Chiny stanowią ryzyko dla Rosji, czyli najniższy poziom niebezpieczeństwa. Ośrodkiem zapalnym jest Pakistan, ponieważ obydwa państwa traktują ten kraj jako swoją strefę wpływów. Rywalizują ze sobą również w rejonie

Morza Kaspijskiego oraz w Gruzji przy budowie portu w Anaklii. Delikatnymi sprawami są również spory graniczne, w szczególności na Syberii. Rosja cierpi na ogromne niedobory demograficzne. Na Syberii żyje jedynie 5 mln mieszkańców, to ludnościowo średniej wielkości miasto w Chinach. Przypomnijmy, że w samym Pekinie żyją prawie 22 mln ludzi. W południowej Syberii zaludnienie jest najniższe w całym kraju, co Chiny oczywiście wykorzystują. Na granicy panują strefy wolnego handlu, a ludność może się przemieszczać bez kontroli celnej. W efekcie chińscy emigranci bardzo chętnie żenią się z Rosjankami. Pekin wspiera te inicjatywy, wypłacając duże zasiłki dla swoich obywateli w wysokości od 15 do 100 tys. juanów, jeśli ci osiedlą się w Rosji.

Przecież to rodzaj wojny biologicznej...

Znam tę politykę z autopsji. W Gruzji posiadamy 50-tysięczną mniejszość chińską, która tworzy bardzo rozbudowaną siatkę handlową, do tego stopnia, że Chiny stały się dla Gruzji partnerem handlowym numer jeden. Ponad 40 proc. bezpośrednich zagranicznych inwestycji u nas w kraju pochodzi z Chin, czyli dwa razy więcej niż rosyjskich. W dodatku oba nasze państwa podpisały ze sobą umowę o wolnym handlu.

Jeśli wojna handlowa między USA a Chinami jeszcze się zaostrzy, to po której stronie konfliktu opowie się Rosja?

W mojej opinii stanie po stronie Chin, ponieważ będzie to dla niej bardziej opłacalne ekonomicznie. Przy pozostających w mocy sankcjach ze strony Zachodu Rosja nie ma wyboru i musi pogłębiać wymianę handlową z Państwem Środka. W innym wypadku znalazłaby się w bardzo trudnej sytuacji finansowej. Pekin stał się dla rosyjskiej gospodarki kołem ratunkowym, którego Putin w najbliższej przyszłości nie da sobie odebrać.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

zmęczone ciągłymi oskarżeniami o łamanie praw człowieka, stały się nagle również wrogiem Stanów Zjednoczonych. W 2018 r. obydwa kraje przeprowadziły wspólne manewry wojskowe o strategicznym znaczeniu, w których wzięło udział ok. 10 tys. żołnierzy. Nieoficjalnym celem tych manewrów było zapobieganie amerykańskiemu wpływom w Eurazji. W sierpniu 2020 r. manewry zostały powtórzone na jeszcze większą skalę na północnym Kaukazie. W tym wydarzeniu wzięły udział wszystkie państwa składające się na Szanghajską Organizację Współpracy.

Co w rzeczywistości oznacza wielopłaszczyznowa współpraca?

Rosja dostarcza Chinom nowoczesną broń, m.in. śmigłowce oraz technologie raketowe. Obydwa kraje rozwijają również współpracę, jeśli chodzi o mary-



prof. dr Vakhtang Maisaia

– politolog, sekuritolog; profesor Kaukaskiego Uniwersytetu Międzynarodowego; ekspert NATO, były doradca prezydenta Gruzji, specjalista w zakresie geopolityki, geostrategii oraz międzynarodowych systemów bezpieczeństwa.



Giorgia i jej Bracia

FOT. ANTONIO MASELLO/GETTY IMAGES


Teresa Stylińska

O kobietach takich jak Giorgia Meloni mówi się: wschodząca gwiazda polityki. Brzmi to banalnie, ale w tym wypadku trafnie oddaje realia i perspektywy

Dzisiaj oczywiście nie sposób jest przewidzieć, czy przywódczyni prawicowej partii Bracia Włosi – Fratelli d'Italia, FdI – zostanie kiedyś premierem, ale sam fakt, że w ogóle o tym się mówi, ma swoją wymowę. Giorgia Meloni byłaby pierwszą kobietą premierem w historii Włoch i to przydaje smaku spekulacjom.

Wschodząca gwiazda musi mieć na koncie widoczne sukcesy, musi też, co oczywiste, stać się w górę. Giorgia Meloni te warunki spełnia. Jest też w odpowiednim wieku. Czterdzieści trzy lata to na tyle dużo, by mieć doświadczenie i dokonania, i na tyle mało, by wszelkie możliwości były jeszcze otwarte.

W swej karierze Giorgia stała na czele partyjnej organizacji młodzieżowej,

stworzyła nową partię i nią kieruje, była ministrem i wiceprzewodniczącą parlamentu, a z chwilą, gdy została szefową Partii Europejskich Konserwatystów i Reformatorów (co stało się we wrześniu ub.r.), wkroczyła także na scenę europejską. Po stronie jej porażek należy zapisać przegraną w wyborach na stanowisko syndyka, czyli burmistrza Rzymu. Nie była to jednak porażka na tyle dotkliwa, by mogła rzucić cień na jej karierę.

POŻYTEK Z ZAMĘTU

Wszystko to, w połączeniu z sukcesami Braci Włochów, skłania do starannego przyglądania się szefowej partii, która w dodatku głosi poglądy zarazem wyraziste i zdecydowanie odbiegające od obowiązującego kanonu. Tak też postąpiła redakcja portalu „Politico”, umieszczając Giorgię Meloni na „Liście 28” – w rankingu ludzi wpływowych, którzy w roku 2021, jak brzmi uzasadnienie, „będą Europę kształtować, poruszać i powodować w niej wstrząsy”. Pani Meloni została więc zauważona i doceniona. Pytanie tylko, jak to należy rozumieć.

„Politico” dzieli ludzi z listy (tu uwaga: nie są to wyłącznie politycy i nie tylko ludzie z UE) na trzy kategorie, po dziewięć

osób w każdej. To „doers, disrupters and dreamers” – ci, którzy działają, ci, którzy wprowadzają zamęt, oraz marzyciele. Nad wszystkimi góruje postać numer jeden, najważniejsza, w tym roku – jakżeby inaczej – Angela Merkel. Dodajmy, że na liście znalazł się jeden Polak – Jerzy Kwaśniewski, szef Ordo Iuris, zaliczony do grona marzycieli.

Giorgia Meloni natomiast została umieszczona wśród „disrupters”, i to na wysokim, trzecim miejscu. Przed nią jest Francuz Thierry Breton, unijny komisarz ds. rynku wewnętrznego, nazbyt, według „Politico”, ambitny i dlatego wtrącający się do spraw, które do niego nie należą. Za nią – Max Schrems, austriacki prawnik zaangażowany w prace nad europejskim systemem ochrony danych, groźnym dla amerykańskich gigantów. Zamęt sieją także Władimir Putin (wiadomo), Joanna Rowling (czy może być inaczej, skoro upiera się, że „człowiek z macicą” nazywa się kobieta) i premier Szkocji Nicola Sturgeon (bo może doprowadzić do rozbitia Wielkiej Brytanii). Czym zawiniła Giorgia Meloni? Choć oczywiście z radością przyjmie fundusze dla Włoch, krytykuje Brukselę, to akceptowała polsko-węgierskie weto, a jako szefowa europejskiej prawicy ma możliwości, by przysporzyć Unii kłopotów.

Ciekawe, że w kategorii tych, którzy coś robią, na pierwszym miejscu umieszczono włoskiego premiera Giuseppe Contego. Gdy na początku grudnia „Politico” ogłaszało listę, nikt nie przewidywał, że za dwa miesiące Conte straci stanowisko, a wraz z nim pole do działania, na którym znalazł się zupełnym przypadkiem.

TRZY PARTIE GIORGII

„Bracia Włosi, Italia się budzi” – pierwsze słowa włoskiego hymnu dały nazwę partii, którą Giorgia Meloni założyła w 2012 r. Choć jest to jej trzecie ugrupowanie, to myli się ten, kto sądzi, że był to skutek cynicznego zmieniania poglądów i ugrupowań. W przypadku Giorgii nurt polityczny pozostawał ten sam. To partie się przekształcały.

Pierwsze jej kroki na niwie publicznej zbiegły się w czasie z całkowitym załamaniem starego świata włoskiej polityki. Był rok 1992. Ujawnienie rozmiarów korupcji na styku polityki i biznesu zmiotło ze sceny prawie wszystkie partie. Piętnastoletnia licealistka z rzymskiej dzielnicy Garbatella włączyła się wówczas w pracę młodzieżówki Włoskiego Ruchu Społecznego (MSI) – prawicowego ugrupowania, założonego tuż po wojnie przez dawnych działaczy faszystowskich.

Polityczne trzęsienie ziemi ominęło MSI z prostej przyczyny: partia, od początku otoczona kordonem sanitarnym, nigdy nie uczestniczyła w rządach, a zatem i w korupcyjnych układach. Przetrwiała więc i pod nieco zmienioną nazwą weszła w skład pierwszego rządu przywódcy nowych Włoch: Silvia Berlusconi. W 1995 r. przyjęła nazwę Sojuszu Narodowego, a siedem lat później narodzili się Bracia Włosi.

Giorgia Meloni właśnie Berlusconiemu uważa za swego politycznego patrona. Wspierał ją w parlamencie (w 2006 r., mając 29 lat, została wiceprzewodniczącą Izby Deputowanych, najmłodszą w historii Włoch) i w rządzie (w jego czwartym gabinecie była ministrem ds. młodzieży). Nie poparł jej tylko wtedy, gdy już w zaawansowanej ciąży, w 2016 r. kandydowała w wyborach na burmistrza Rzymu, bo, jak zauważył, „macierzyństwa nie da się z tym pogodzić”. To był jedyny zgrzyt.

Ponieważ do nowego rządu Maria Draghiego weszły wszystkie liczące się siły polityczne, włącznie z Ligą Matteo Salvini, Giorgia Meloni nieoczekiwa-

nie wyrosła na przywódczynię opozycji. To nowa sytuacja. Od półtora roku ona i Salvini dzielili tę rolę między siebie, choć nie bez nuty cichej rywalizacji. Teraz są po przeciwnej stronie.

WYJŚCIE Z CENIA

To ciekawa sytuacja. Na włoskiej prawicy powoli dokonuje się odwrócenie ról. Do tej pory jej liderem był bez wątpienia Salvini. To on przecież przed trzema laty doprowadził do zwycięstwa wyborczego sojuszu partii prawicowych, później zaś, jako wicepremier i minister spraw wewnętrznych, miał większe wpływy i większy posłuch niż sam premier Conte. Sympatii przysparzała mu twarda polityka antyimigracyjna, dobrze odbierana zwłaszcza przez wyborców z południa, udręczonych przez napływ imigrantów z Afryki. Wiele z tego dorobku Salvini zaprzepaścił jednak przez własne błędy. Nic dziwnego, że 35-procentowe poparcie z eurowyborów stopniało do 23 proc.

Tak oto Giorgia Meloni zaczęła powoli wychodzić z cienia Salvini. Bracia Włosi z wyborów na wybory zyskują. Podczas gdy w wyborach parlamentarnych zdobyli 4,4 proc. głosów, dziś mają w sondażach poparcie na poziomie 15 proc., a za sobą pasmo dobrze rokujących sukcesów. Ostatni zanotowali w wyborach regionalnych z września ubiegłego roku, gdy odebrali lewicy władzę w regionie Marche. Sama Giorgia zaś zdecydowanie partię wyprzedza, bo w okręgu Latina, który reprezentuje w parlamencie, zdobyła aż 41 proc. głosów.

Chociaż w głównych sprawach – imigracji, znaczenia rodziny, wartości narodowych i patriotyzmu, zmian obyczajowych, Unii Europejskiej – Bracia Włosi i Liga mówią jednym głosem, to styl działania liderów jest inny. Giorgia działa i wypowiada się spokojnie i umiarkowanie, bez showmańskich popisów. To wcale nie znaczy, że unika spraw trudnych czy delikatnych. To Bracia Włosi przecież zgłosili projekt usunięcia z konstytucji tych sformułowań, które mówią o prymacie prawa europejskiego nad włoskim.

Istotna różnica dotyczy za to wyboru sojuszników. Oboje wprowadzie opowiadają się za ścisłą współpracą z Ameryką i republikanami („Trump 2020” – taki napis miał Salvini na maseczce), dzieli ich jednak stosunek do Rosji. Salvini, tak zresztą jak Berlusconi, jest prorosyjski. Utrzymuje bliskie kontakty z Władi-

mirem Putinem i, jak kiedyś zdradził, „w Moskwie czuje się lepiej niż w Brukseli”. Tymczasem Giorgia więzy z Rosją wyklucza. Stawia przy tym na współpracę europejskiej prawicy, wierząc przy tym, że w Unii Europejskiej będzie ona zyskiwać na znaczeniu.

KONSERWATYSTKA Z DROBNĄ SKAZĄ

W przeciwieństwie do wielu współczesnych konserwatystów i chadeków, którzy całkowicie skapitulowali przed ofensywą środowisk LGBT, Giorgia Meloni jest wierna konserwatyzmowi w dawnym wydaniu, nieskażonym grzechem poparcia dla zmian obyczajowych. Nie akceptuje gejowskich małżeństw ani nawet związków partnerskich, była też przeciwna chroniącej LGBT ustawie antydyskryminacyjnej, uchwalonej na razie tylko przez izbę niższą parlamentu. Taką ustawą, podkreśla, ograniczy swobodę wypowiedzi. Giorgia uważa także, że dzieci imigrantów urodzone we Włoszech nie powinny automatycznie mieć prawa do włoskiego obywatelstwa.

Sama chętnie odwołuje się do tradycji i wartości. „To profesjonalista, żołnierz i patriota” – tak przedstawiała jednego z kandydatów swej partii w ostatnich eurowyborach. Był nim człowiek noszący historyczne nazwisko i jeszcze bardziej historyczne imię: Caio Giulio Cesare Mussolini, 51-letni prawnuk dyktatora, jeden z szefów koncernu zbrojeniowego Finmeccanica i eksoficer marynarki. Gajusz Juliusz Cezar mandatu nie zdobył, za to jego kuzynka Rachele Mussolini jest radną FdI w Rzymie. Tylko Alessandra, wnuczka Benita, najbardziej znana i najbardziej w polityce aktywna przedstawicielka rodu, od Braci Włochów trzyma się z dala. Ona i Giorgia podobno się nie cierpią.

Giorgia nie kryje, że pochodzi z niezamożnej rodziny i już jako studentka (skończyła studia lingwistyczne w Rzymie) musiała pracować – roznosiła ulotki, opiekowała się dziećmi, była kelnerką. To budzi sympatię. Pewną rysę na obrazie stanowi tylko jej życie osobiste: stały związek bez ślubu, nawet cywilnego – choć Giorgia ma z niego czteroletnią córkę, a przy tym deklaruje, że jest katoliczką. Konserwatystom to raczej nie przystoi, wygląda jednak na to, że to akurat uchybienie Włosi są jej skłonni wybaczyć.



FOT. MICHAEL DAGLO/GETTY IMAGES

Seksmisja w US Army



Piotr Włoczyk

Ile „różnorodności” jest w stanie unieść wojsko, by zachować zdolności bojowe na najwyższym poziomie? W Ameryce debatę na ten temat rozpoczął ostry komentarz gwiazdy Fox News, na którą błyskawicznie spadła lawina krytyki i oskarżeń o sianie nienawiści

Prezident Joe Biden 8 marca wygłosił wiele deklaracji. Zapewniał feministki, że będzie nieugiętym obrońcą „praw reprodukcyjnych”.

Aktywiści LGBT usłyszeli od niego, że kobieta to coś więcej niż biologia, ale tego dnia amerykański prezydent nie zapomniał też o przedstawicielkach płci pięknej służących w wojsku. Biden przekonywał, że jego administracja robi wszystko, by amerykańskie siły zbrojne stały się bardziej „różnorodne”. Prezydent zapowiedział, że małymi kroczkami służącymi do osiągnięcia tego celu będą m.in. zmiana wytycznych odnośnie do kobiecych fryzur (zostaną one mocno zliberalizowane), a także pojawienie się... kombinezonów ciężarowych dla pilotek US Air Force.

„To ważna misja. Jej efektem ma być zmiana kultury w wojsku, która dziś każe kobietom odchodzić z sił zbrojnych – powiedział amerykański prezydent. – Chodzi o to, by kandydaci reprezentowali różnorodność i aby byli brani pod uwagę na absolutnie wszystkich stanowiskach”.

Nową strategię dla wojska skomentował kilka dni później w swoim programie Tucker Carlson, gwiazda telewizji Fox News. To nie był pierwszy raz, kiedy Carlson porusza na antenie kwestię zmian kulturowych w wojsku. Wcześniej krytycznie odnosił się do decyzji Baracka Obamy, który zezwolił osobom transpłciowym na służbę w siłach zbrojnych.

„Mamy więc nowe fryzury i kombinezony lotnicze dla ciężarnych. Kobiety w ciąży będą prowadzić nasze wojny. To kpina z amerykańskiego wojska. Gdy chińskie siły zbrojne stawiają na męskość i zbudowały największą marynarkę wojenną na świecie, nasze wojsko musi stać się – jak ujął to Joe Biden – bardziej »kobiecie«. Pytanie tylko, co to słowo znaczy, skoro podział na kobiety i mężczyzn to już przeżytek” – powiedział Carlson na antenie swojego show.

„To się wymknęło spod kontroli i Pentagon za to w pełni odpowiada. Powtórzę: to kpina z amerykańskiego wojska i jego głównego celu, jakim jest wygrywanie wojen”.

CHIŃSKI AGENT

Na głowę Carlsona od razu spadła lawina krytyki. John Kirby, rzecznik Pentagonu, skrytykował gwiazdę Fox News w tyradzie, która brzmiała jak wypowiedź innego publicysty, a nie urzędnika Departamentu Obrony.

„Na pewno nie będziemy brali pod uwagę rad ani ze strony gospodarza programu w TV, ani ze strony chińskiej armii” – powiedział Kirby, będący emerytowanym admirałem. I dodał: „Być może takie osoby chcą sobie coś udowodnić”. Carlsona skrytykowały też kilku generałów, którzy wytykali mu, że nigdy nie służył w wojsku. Gwieździe Fox News najbardziej oberwało się jednak ze strony lewicowych amerykańskich mediów, które nazwały go „mizoginem” i „seksistą”, nierozumiejącym, że wojsko musi iść z duchem czasu i należy je wypełnić kobietami (obecnie stanowią one tylko 15 proc. personelu amerykańskich sił zbrojnych).

Mocno przebił się w tym kontekście w mediach tweet wysłany z jednego z oficjalnych kont marines, gdzie ktoś mocno zaangażowany napisał w odpowiedzi na opinię Carlsona: „Tak to wygląda w dzisiejszym wojsku, Tuckerze Carlsonie. Zrozum to, zanim będzie za późno, stary przyku (ang. boomer)”. Marines szybko jednak przeprosili za ten tweet, przyznając, że taki sposób dyskusji jest absolutnie nie na miejscu.

Oczywiście w obronę wzięli Carlsona republikanie. „W zeszłym tygodniu byliśmy świadkami tego, jak Pentagon rozpętał zakrojony na szeroką skalę atak przeciwko prowadzącemu program telewizyjny Tuckerowi Carlsonowi, który w treści, tonie i przekazie politycznym jest absolutnie nie do przyjęcia” – napisał teksasński senator Ted Cruz w liście do sekretarza obrony USA Lloyda Austina. Cruz dodał w liście, że Pentagon „wdraża progresywną agendę, która grozi oczywistym osłabieniem zdolności bojowych sił zbrojnych”.

Sam Carlson w kolejnym swoim show szydził, że Departament Obrony odważył się na wojnę z programem telewizyjnym i powiedział z przekąsem: „Jeżeli Pentagon jest w stanie udowod-

nić, że ciężarne pilotki są najlepsze, to będziemy pierwszymi, którzy będą się domagać całej floty powietrznej pełnej ciężarnych pilotek”.

SUCHE LICZBY

Nikt rozsądny nie twierdzi, że kobiety nie powinny służyć w wojsku. Pytanie jednak, czy absolutnie wszystkie stanowiska powinny być przed nimi otwarte, np. etaty w wojskach specjalnych. Wiele kobiet doskonale radzi sobie za sterami myśliwców. Jednak czy promowanie tego rodzaju służby aż do końca ciąży jest rzeczywiście najlepszym rozwiązaniem? To wszystko pytania, które pojawiają się na amerykańskiej prawicy po aferze wokół „mizoginicznych” słów Carlsona.

Przełomem w kontekście tej dyskusji była decyzja administracji Baracka Obamy z 2013 r., gdy Pentagon zdecydował o zniesieniu zakazu przydzielania kobiet do służby bojowej, czyli po prostu na pierwszej linii frontu. Dyrektywa ta weszła w życie na początku 2016 r. Od tej pory w amerykańskim wojsku nie ma już dla kobiet zamkniętych drzwi.

Progresywni wojownicy przeprowadzają w wojsku »postępowe« zmiany, ignorując fakt, że szkodzą w ten sposób bezpieczeństwu

Brad Carson, podsekretarz obrony za czasów Obamy, przyznał, że ambicją tamtej administracji było sprawienie, że „Departament Obrony stanie się najbardziej progresywnym pracodawcą w kraju”. Zniesienie zakazu rekrutacji osób transpłciowych (czerwiec 2016 r.) sprawił, że Pentagon na pewien czas faktycznie stał się wyjątkowo postępowym środowiskiem pracy. W 2018 r. Donald Trump wrócił jednak, ku oburzeniu środowisk LGBT, do starych regulacji w tym zakresie.

Jakie rezultaty może przynieść całkowite otwarcie się armii na służbę kobiet? Wiele mówi na ten temat eksperymencie, który w 2015 r. przeprowadził Korpus Piechoty Morskiej USA. Jego efekty nie były zbyt zaskakujące. W raporcie z badania eksperci marines napisali, że drużyny złożone z samych mężczyzn

„osiągają lepsze wyniki w 69 proc. z ocenianych zadań (93 ze 134) w porównaniu z drużynami mieszanymi płciowo”. Kobiety zdecydowanie słabiej radziły sobie na strzelnicach we wszystkich rodzajach broni, a także odstawały znacznie w pokonywaniu przeszkód z pełnym obciążeniem oraz ustępowały mężczyznom podczas ćwiczenia ewakuacji rannych. „Zaobserwowano też częściej – w porównaniu z mężczyznami – pojawiające się urazy podczas wykonywania tych samych zadań taktycznych” – napisano w raporcie. Eksperci tłumaczyli to tym, że kobiety poddane takiemu samemu wysiłkowi fizycznemu jak mężczyźni najzwyczajniej w świecie szybciej się męczą.

„Kluczowe w tym badaniu jest zrozumienie faktu, że brutalna i skrajnie fizyczna natura bezpośredniego konfliktu, charakteryzującego się często walką w zwarcu, jest w znacznej mierze, mimo postępu technicznego, stałą cechą działań wojennych na przestrzeni dziejów” – napisano w raporcie marines.

Skutkami progresywnych zmian forsowanych przez administrację Baracka Obamy zajął się James Hasson, były żołnierz US Army, autor książki „Z bronią u nogi. Jak progresywni wojownicy sabotują amerykańskie wojsko”.

„Armia, do której wstępowałem na początku pierwszej kadencji Obamy, w niczym nie przypominała armii, z której odszedłem pod koniec drugiej kadencji Obamy – mówił Hasson w programie Tuckera Carlsona na antenie Fox News. – Progresywni wojownicy przeprowadzają w wojsku »postępowe« zmiany, bez oglądania się na fakt, że szkodzą w ten sposób naszemu bezpieczeństwu”. Dogmatyczne zrównywanie płci, bez względu na wiążące się z tym problemy dla funkcjonowania sił zbrojnych, to zdaniem Hassona tylko jeden z problemów, które tworzą demokrację.

Carlsonowi dostało się też od lewicowych amerykańskich mediów za wypowiedzenie się z uznaniem o kierunku, w którym podąża chińska armia. Konkretnie chodzi o zmiany mające sprawić, że Chińczycy żołnierze staną się bardziej męscy – ku rozpaczy feministek chińskie władze stwierdziły bowiem ostatnio, że chłopcy są coraz bardziej zniechęceni. Pekin zamierza dostarczyć swojej armii miliony twardzieli, m.in. poprzez położenie większego nacisku na ćwiczenia fizyczne w szkołach podstawowych i średnich.



Bankowe czekanie na Godota

FOT. JACEK KADAJ/AGENCE STOCK

Kredyty udzielane we frankach na zakup nieruchomości w Polsce to krótka historia chciwości. Banki same zgotowały sobie obecny problem, udzielając ich masowo i zarabiając na prowizjach oraz spreadach (różnicach między cenami waluty). A rynek wręcz wypychał ludzi w ten system – wystarczy wspomnieć, że klienci nie posiadali zdolności kredytowej w złotym, a we franku szwajcarskim mogli już otrzymać wieloletni kredyt na mieszkanie czy dom. Ten „boom” od 2005 r. opanował nie tylko Polskę, lecz także inne kraje Europy Środkowo-Wschodniej.

Nie zapanowały nad tym organy państwa, choć wszystko odbywało się w ramach rynku, który jest regulowany. Efekt? Wielu Polaków ma albo niespłacalne w rzeczywistości, albo co najmniej kilkakrotnie bardziej kosztowne kredyty na nieruchomości, bo wartość franka na rynku walut stale się umacnia.

Latami nikt nie miał odwagi przeciąć tego wrzodu ani nawet zacząć go leczyć. Mimo zapowiedzi w kampaniach wyborczych w Polsce kredytobiorcy nie doczekali się rozwiązania problemu – np. na



Łukasz Zboralski

Banki przegrywają w sądach procesy o umowy kredytowe we frankach szwajcarskich. Czekanie na orzeczenie Sądu Najwyższego – które miało być wydane w tym tygodniu, ale zostało przesunięte – wstrzymuje jedynie potencjalną lawinę pozwów. Trudno bowiem zakładać, by wywróciło do góry nogami obecne orzecznictwo. Co to oznacza?

Węgrzech w 2014 r. rząd przyjął ustawę zakładającą przewalutowanie takich kredytów po kursie z pewnego okresu. Polacy usłyszeli ostatecznie, że mają sami walczyć o sprawiedliwość w sądach.

FRANKOWICZE W SĄDACH

Przez dłuższy czas polscy kredytobiorcy nie ruszali do sądów. A gdy składali pozwy, przegrywali. Sądy przyjmowały stanowisko banków – że umowy sporządzane były właściwie i nie można im niczego zarzucić. To się zmieniło, gdy klientów wspomógł Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, od 2014 r. wypowiadając

się w sprawach z różnych krajów Europy Środkowo-Wschodniej dotyczących kredytów frankowych. Wypowiedział się też w sprawie polskiej – państwa Dziubaków. Odpowiedź TSUE wskazywała, co zrobić, jeśli postanowienia umowy kredytowej sąd uzna za wadliwe. Sugerując dwa rozstrzygnięcia: umowę unieważnić (i zwrócić bankowi wszystko, co się dostało, bez opłat czy prowizji) albo „odfrankować” (przeliczyć kredyt na złotówki i dalej spłacać z harmonogramem i w oparciu o LIBOR). Decydować o rozwiązaniu miał sam konsument.

Najistotniejsze w opiniach TSUE było jednak to, co stoi w kontrze do dotychczas-

sowej opinii banków w Polsce głoszących, że problemu, które stworzyły, nie można rozwiązać w sposób korzystny dla kredytobiorców, bo uderzy to w całą gospodarkę. Trybunał podkreślał wielokrotnie w tych sprawach, że sąd nie jest od tego, by chronić sytuację finansową banków, ale dbać o prawo. A nawet więcej – ukaranie instytucji finansowych zdaniem TSUE pozwoli im się stać bardziej profesjonalnymi w sprawach, w których tego profesjonalizmu zabrakło.

Po opiniach TSUE liczba spraw frankowych w polskich sądach zaczęła rosnąć. Jak podała „Rzeczpospolita” za kancelarią Votum, w 2020 r. była nawet dwukrotnie wyższa niż w 2019 r. Najistotniejsze jest jednak to, że zaczęło się nad Wisłą kształtować orzecznictwo, które zdecydowanie wskazuje, iż rację mają klienci banków. Pod koniec ubiegłego roku aż 95 proc. spraw dotyczących kredytów frankowych wygrywali klienci. Zdecydowanie najczęstszym rozwiązaniem było unieważnienie całej umowy kredytowej.

Masowe porażki sądowe zmuszają banki do tworzenia coraz większych rezerw frankowych. Pod koniec 2019 r. (dane za „Rzeczpospolita”) dziewięć banków z GPW miało w tych rezerwach 1,73 mld zł, a już pod koniec ubiegłego roku rezerwy wynosiły 3,21 mld zł.

Ze względu na poważne kłopoty banków, które może przynieść fala przegranych przez nie procesów, nagle ocknął się też państwowy regulator. Komisja Nadzoru Finansowego zaczęła w tym roku mocno naciskać na banki, by zaczęły zawierać ugody z frankowiczami. NBP zapowiedział, że pomoże w przewalutowywaniu tych kredytów. Banki w Polsce nie są jednak do tego skore. Powód? Przewalutowując kredyty, musiałyby wykazać nagle ogromne straty w swoich wynikach finansowych. Procesy w sądach potrwają kilka lat, a przez ten czas każdy z banków co miesiąc pobiera przecież ogromne kwoty rat spornych kredytów. W dodatku udało się też stworzyć atmosferę oczekiwania na orzeczenie Sądu Najwyższego w sprawach kredytów frankowych, co część kredytobiorców skłaniało do czekania ze złożeniem pozwu. Szacuje się, że do sądów poszło do tej pory zaledwie 10 proc. frankowiczów.

Sąd Najwyższy miał wypowiedzieć się w tej sprawie 25 marca. Jednak przesunięto ogłoszenie orzeczenia na 13 kwietnia, bo I prezes SN Małgorzata Manowska, która ma temu posiedzeniu przewodniczyć, trafiła do szpitala z powodu koronawirusa.

Orzeczenie Sądu Najwyższego ma pomóc w ujednoliceniu orzecznictwa dotyczącego umów kredytowych we franku szwajcarskim. Pytań, na które ma odpowiedzieć, jest sześć. Pierwsze dotyczy tego, czy można umowę uczynić ważną, usuwając z niej nieuczciwe warunki dotyczące określania kursu walut. Tu już wypowiedział się TSUE (nie można) i trudno się spodziewać, by SN miał stwierdzić inaczej. I to jest najistotniejsza kwestia – można bowiem zakładać, że umowy nadal będą masowo unieważniane.

SN ma też odpowiedzieć na pytanie, co dalej po unieważnieniu umowy: czy powstają dwa niezależne roszczenia (klienta od banku, banku od klienta), czy jedno określane różnicą we wzajemnych świadczeniach. Dowiemy się również, od kiedy roszczenia banków o zwrot pieniędzy wypłaconych w ramach kredytu będą się przedawniały. SN odpowie także, czy banki mogą żądać wynagrodzeń z tytułu „korzystania” z ich kapitału.

SCENARIUSZ PRZED BITWĄ CZY JUŻ PO NIEJ?

Ekspersi wątpią, by banki mogły liczyć na pozytywne rozstrzygnięcia dla siebie sprzeczne z linią TSUE. Rzecznik Finansowy w analizie odniósł się do orzecznictwa w sprawie zakazanych zapisów w umowach kredytowych i wskazał, że „uwzględniając krajowy kontekst prawny każdej z tych spraw, będących częścią niniejszego opracowania, należy podkreślić, że stanowisko Trybunału dotyczy zawsze wykładni prawa Unii i tym samym ta wykładnia powinna być wiążąca przy orzekaniu przez polskie sądy na podstawie polskich przepisów stanowiących transpozycję unijnych dyrektyw konsumenckich, między innymi w odniesieniu do polskich kredytobiorców”.

– Pomimo wielu komentarzy i opinii, głównie z sektora bankowego, trudno dać wiarę, aby Sąd Najwyższy nagle zmienił kierunek i wydał uchwałę, która byłaby niekorzystna dla kredytobiorców – uważa mec. Wojciech Bochenek z Kancelarii Bochenek i Wspólnicy sp.k. z Grupy Kapitałowej Votum. – Implementowane do krajowego porządku prawnego normy prawa europejskiego oraz wykładnia tych przepisów wymaga respektowania zasady skuteczności prawa europejskiego (l'effet utile), poprzez ich jednolite stosowanie w krajach członkowskich, co oznacza, że wyroki oraz wykładnia przepisów prawa

dokonana przez TSUE jest wiążąca dla Sądu Najwyższego, a ta do tej pory była prokonsumencka.

Jest prawdopodobne, że kwietniowe orzeczenie SN uruchomi prawdziwą lawinę pozwów dotyczących frankowych kredytów. Co to oznacza dla gospodarki? Analitycy Deloitte oszacowali, że polskie banki (które sprzedają od 2005 r. ponad 600 tys. kredytów we franku szwajcarskim) może to kosztować w sumie 234 mld zł. Tymczasem banki posiadające portfele kredytów frankowych zgromadziły fundusze własne opiewające na kwotę 200 mld zł.

– Jeśli 95 proc. spraw z umowami kredytów frankowych jest wygrywanych w sądach przez klientów, to oznacza jedynie tylko to, że taka sama liczba pozwów trafi do sądów ze strony banków domagających się regresu za bezprawne korzystanie z ich kapitału. Bo na razie prawa cywilnego w Polsce nie zmieniono – uważa Andrzej Sadowski z Centrum im. Adam Smitha. – To oczywiście oznaczałoby, że i tak niewydolne sądy w Polsce zostaną sparaliżowane – dodaje. Zwraca jednak uwagę, że są rozwiązania pozwalające uniknąć zapaści wymiaru sprawiedliwości. Centrum im. Adam Smitha przedstawiło je w obszernym raporcie. – Krótko mówiąc: można by dokonać interwencji prawnej w Polsce, która zmuszałaby banki i klientów do wejścia w procedurę ugód. Oczywiście pod nadzorem i w warunkach kontrolowanych przez państwo – wyjaśnia Sadowski.

Główny ekonomista BCC prof. Stanisław Gomułka w lutym wskazał, że rozwiązaniem problemu może być przewalutowanie kredytów. Jako najlepszą ocenił propozycję KNF – którą wcielił już Millenium – zawierania porozumień z klientami zmieniającymi kredyty tak, jakby były one złotowe od początku i oprocentowane według stopy WIBOR. Zdaniem Gomułka wówczas straty banków sięgałyby 15–20 mld zł. „Te straty byłyby rozłożone na kilka lat. W tym okresie zmniejszyłaby się zdolność banków do udzielania kredytów komercyjnych. Banki mogłyby też zareagować obronnie wzrostem kosztów operacji bankowych. Jednak, z racji dużego zróżnicowania pozycji frankowych między bankami, wzrost kosztów tych operacji byłby prawdopodobnie niewielki” – stwierdził cytowany przez PAP prof. Gomułka.

Wydaje się więc, że banki w Polsce od dawna czekają na Godota. Dziś mogą zakończyć tę sprawę źle albo gorzej (także dla całej gospodarki). Co wybiorą?

Prawo na trudny czas



Paweł Szalacha

Błędy w konstytucji nie pozwalają nam dobrze mierzyć się z takimi zagrożeniami jak pandemia

Na pełną ocenę działań rządu od marca 2020 r. poczekamy do końca epidemii. Natomiast dziś już można zdiagnozować podstawowe błędy zawarte w Konstytucji RP z 1997 r., które uniemożliwiają naszemu krajowi zmierzenie się z podstawowymi zagrożeniami o charakterze egzystencjalnym: wojną, katastrofą naturalną o wielkich rozmiarach, głodem i wynikającymi z niego powszechnymi zamieszkami.

Pierwszym jest zapis art. 216 par. 5, w brzmieniu: „Nie wolno zaciągać pożyczek lub udzielać gwarancji i poręczeń finansowych, w następstwie których państwowy dług publiczny przekroczy 3/5 wartości rocznego produktu krajowego brutto”. Zapis art. 216 par. 5 ma charakter absolutny, czyli żaden inny artykuł nie pozwala na jego zawieszenie lub niestosowanie. Tymczasem w okre-

sie nadzwyczajnych zagrożeń państwo musi mieć możliwość pełnego manewru: mobilizacji wszelkich zasobów, finansowania się z wpływów podatkowych, a także sprzedaży rezerw i emisji długu. Podkreślam – emisji długu ograniczonej jedynie możliwościami jego uplasowania.

Co to oznacza? Wyobraźmy sobie, że kraj został dotknięty klęską żywiołową: powodzią, suszą, a potem złymi zbiorami. Zgodnie z konstytucją zarówno wszelka akcja zwalczania tych klęsk, jak i odbudowa muszą się odbywać w ramach limitu 60 proc. zadłużenia. Jeszcze gorzej sytuacja wygląda w przypadku wojny, realnej – nie hybrydowej. Otóż państwo polskie ma prowadzić (i miejmy nadzieję – wygrać) taki konflikt, nie zadłużając się powyżej poziomu 60 proc. PKB, finansując jedynie z bieżących dochodów.

Jest to zadanie niemożliwe do wykonania. Poniższy graf zawiera historię długu Wielkiej Brytanii w ostatnich trzech wiekach. Jak widzimy, początek XIX w., czyli okres wojen napoleońskich, przyniósł wzrost długu z ok. 80 proc. do 180 proc. PKB (ponad trzy razy tyle, ile dziś wynosi ten wskaźnik dla Polski). Francja, tradycyjny przeciwnik Wielkiej Brytanii, prowadziła wówczas wojny od Lizbony do Moskwy głównie w oparciu

o gospodarkę rabunkową Europy i wojny te przegrała (co prawda nie z przyczyn finansowych). Dług brytyjski był następnie spłacany, ale – co ważniejsze – Wielka Brytania „wyrastała z długu” ze względu na szybki wzrost gospodarczy. Proporcja do PKB spadała do czasu, gdy przyszła pierwsza, a potem druga wojna światowa i znowu należało się wesprzeć pożyczonym pieniądzem. Dług jest bowiem naturalnym sposobem finansowania, należy nim rozsądnie zarządzać, czyli uruchamiać w miarę potrzeby, a po okresie zawieruchy konsekwentnie spłacać.

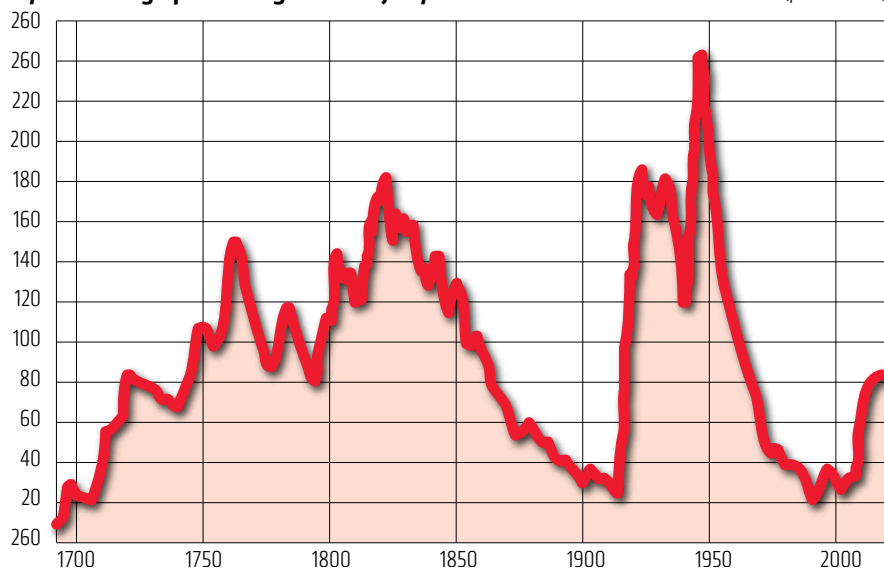
A co po zakończeniu powodzi lub wojny? Tutaj mamy art. 228 par. 4: „Ustawa może określić podstawy, zakres i tryb wyrównywania strat majątkowych wynikających z ograniczenia w czasie stanu nadzwyczajnego wolności i praw człowieka i obywatela”. Taką ustawę wydano w 2002 r. i na jej mocy każdemu przysługuje odszkodowanie od Skarbu Państwa w wysokości straty majątkowej poniesionej w wyniku wprowadzenia stanu wyjątkowego. Przepis jest lakoniczny i nie wiemy, czy obejmuje jedynie straty wynikłe z zamknięcia prywatnej szkoły wyższej i mobilizacji studentów czy także straty wynikłe np. ze zniszczeń wojennych. Nie chciałbym go testować w praktyce.

Twórcy konstytucji uważają więc, że państwo wychodzące z wojny powinno wyrównać straty firm, bacząc pilnie, aby jednocześnie nie przekroczyć limitu długu! Otóż stoi to w sprzeczności ze zdrowym rozsądkiem i z doświadczeniami historycznymi. Po klęskach nadzwyczajnych zakasujemy rękawy i bierzemy się do pracy. Zaczynamy od nowa. Rząd powinien prowadzić politykę odbudowy, uruchamiając kredytowanie gospodarki i stosując ulgi podatkowe, ale nie wyrównywać straty. Z czego miałyby opłacać te wydatki?

Nie znam przekonań osób, które tworzyły konstytucję. Zabrakło im wyobraźni? Oddali całą władzę prawnikom? Jako najbardziej łagodną interpretację przyjąłbym, że w latach 90. naczytały się o końcu historii i ich horyzont intelektualny nie obejmował realnych wyzwań.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Trzy wieki długu publicznego Wielkiej Brytanii. Lata finansowe 1692–2020 (procent PKB)



ZDROŃ: UK PUBLIC SPENDING COUNCIL; RYS. REZAS

Autor jest członkiem Rady Instytutu Sobieskiego, w latach 2015–2016 był ministrem finansów.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Czy Polskę stać na bycie w UE?

Zastanawiam się, czy Polskę stać na pozostanie członkiem Unii Europejskiej? Innymi słowy: Czy Polaków stać, by Polska nadal należała do UE, zważywszy na ogromne koszty transformacji energetycznej, które musieliby w krótkim czasie ponieść, żeby sprostać warunkom stawianym państwom członkowskim przez Brukselę?

Koszt odejścia od dominującej u nas energetyki węglowej (cierpiemy z niej 80 proc. energii), zapewniającej nam strategiczne bezpieczeństwo, choć „brudnej”, i oparcia się na mikście atomowo-gazowo-wiatrakowo-fotowoltaicznym jest tak wielki, że aż trudny do wyobrażenia. Koszt zamknięcia kopalń węgla i elektrowni pozyskujących zeń energię oraz zbudowania w ich miejsce mnóstwa innego typu siłowni. I to w ekspresowym tempie, wszystko to bowiem miałyby się dokonać przed rokiem 2040, a więc w ciągu zaledwie dwóch dekad.

A koszt ów szacowany jest na od aż 1,6 bln zł – to wersja rządu, jak się wydaje, optymistyczna – do aż ponad 3,9 bln zł – to wersja firmy McKinsey, jak się wydaje, pesymistyczna. Zwykła ostrożność nakazywałaby poszukiwać wersji realistycznej gdzieś pomiędzy nimi. Na poziomie 2 bln zł? Trochę powyżej? A to już blisko rocznego PKB Polski.

Wszelako dajmy się uwieść optymistycznej wersji rządu i załóżmy, że to będzie owe 1,6 bln zł. Ten koszt Polacy – polscy podatnicy i konsumenci energii – będą musieli w ciągu najbliższych 20 lat

ponieść w znacznej części sami, ponieważ z funduszy unijnych dostaną na to w czasie obecnej perspektywy finansowej UE (2021–2027) „zaledwie” 260 mld zł. Rzecz jasna najpewniej dostaniemy na ten cel pieniądze również w kolejnych perspektywach finansowych, lecz trudno uwierzyć, by wsparcie z UE było w sumie znacząco większe niż 600 mld zł.

A to oznacza, że – cały czas trzymając się wariantu optymistycznego – polskim podatnikom i konsumentom energii pozostanie do zapłacenia do 2040 r. aż ok. 1 bln zł. Czyli konieczność ponoszenia przez te 20 lat – co roku – wydatku w wysokości, licząc średnio... 50 mld zł. Dużo to czy mało? Cóż, z podatku PIT do kasy państwa wpływa rocznie nie aż tak znów dużo więcej, bo ostatnio ok. 65 mld zł, a na program „500+” wydajemy co roku nie aż tak znów dużo mniej, bo nieco ponad 40 mld zł.

Jak rząd zamierza wyciągać te pieniądze – to kolejne 50 mld zł rocznie – z kieszeni obywateli? Które podatki zamierza podnieść i o ile? Jak mocno chce wywindować ceny i tak już nietanego u nas prądu? A przecież gdyby wariant optymistyczny okazał się nietrafny i stanęłoby już nawet nie na pesymistycznym, a na pośrednim, to nawet po odjęciu dotacji unijnych koszty te dla polskich podatników i konsumentów energii jeszcze by – i to znacząco – wzrosły.

Wszelako – z drugiej strony – czy Polskę stać na to, żeby nie było jej na to stać? ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Bez chodzenia na skróty

Od początku epidemicznych restrykcji było jasne, że część obywateli, którzy zostaną ukarani za ich złamanie, będzie się od kar odwoływać. Kiedy te odwołania dotarły do sądów – w niektórych przypadkach konieczna była druga instancja, a nawet kasacja – jasne się stało, że żyjemy w paranoicznej rzeczywistości prawnej: rząd ustanawia zakazy, które później są masowo kwestionowane w sądach. A przecież od pierwszych rozporządzeń pisanych w oparciu o COVID-ową specustawę niektórzy komentatorzy wskazywali na wątpliwe podstawy prawne pozbawiania nas naszych podstawowych praw, niezależnie od okoliczności. A są przecież przewidziane przez polską konstytucję stany nadzwyczajne, lecz z tego instrumentu rządzący nie skorzystali.

Rząd ustanawia zakazy, które później są masowo kwestionowane w sądach

Jak się później okazało, był to argument dla sądów orzekających w sprawach, w których chodziło o naruszenie podstawowych wolności – na przykład wolności działalności gospodarczej, tak jak w głośnym wyroku Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego w Opolu w sprawie Henryka Larysza, fryzjera z Głogówka, rzemieślnika pracującego w zawodzie od

70 lat, zmarłego w styczniu tego roku. Teraz, dzięki kasacji złożonej przez rzecznika praw obywatelskich Adama Bodnara, mamy wyroki Sądu Najwyższego, dotyczące kar za przemieszczanie się w trakcie obowiązywania zakazu wprowadzonego rozporządzeniem między 25 marca a 19 kwietnia. SN mówi to, co wcześniej twierdziło wielu ekspertów: że podstawowych wolności konstytucyjnych nie można ograniczać bez użycia stanu nadzwyczajnego, a już na pewno nie można tego robić rozporządzeniem. Tu trzeba przypomnieć, że nie miało ono właściwie żadnej podstawy w Ustawie o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi, ponieważ umożliwia ona „ograniczenie określonego sposobu przemierzania się”, nie zaś wprowadzenie zakazu przemieszczania się w ogóle.

To tylko jedna z fastryg prawnych, jakimi posługiwał się od początku epidemii rząd. Część tych fastryg będzie mieć swoje finansowe konsekwencje, bo sądy czekają jeszcze na zapowiadane pozwy zbiorowe całych branż lub indywidualne pozwy przedsiębiorców. Odrębna kategoria to odszkodowania, jakie może przyjąć zapłacić policji za niezgodne z prawem, a czasem zwyczajnie agresywne działania w otwartych wbrew zakazom lokalach.

Wszystko to powinno prowadzić do jasnej konkluzji: żadna sytuacja nie usprawiedliwia prawnego chodzenia na skróty. Od okoliczności nadzwyczajnych są specjalne instrumenty prawne. ©©



Jacek Przybylski

Do salonów nad Wisłą wjedzie w kwietniu Toyota Mirai – pierwszy samochód na wodór, który będzie można kupić w Polsce.

Tymczasem Volkswagen, największy na świecie producent samochodów, zapowiedział w ubiegłym tygodniu, że do końca dekady czas ładowania e-aut ma spaść o połowę. Elektryki z roku na rok mają też znacząco tanieć. Które auto wybrać?

Pięćosobowa Toyota Mirai to pierwszy sedan napędzany wodorem, który seryjnie produkowany jest od 2014 r. Podobnie jak tradycyjne „elektryki” Mirai również jest samochodem w pełni napędzanym silnikiem elektrycznym o mocy 181 koni mechanicznych. Różnica polega jednak na tym, że japoński sedan potrafi wytwarzać na swoim pokładzie energię elektryczną.

Zasięg pojazdu nowej generacji w spokojnym pozamiejskim ruchu wynosi ok. 575–650 km, choć – podobnie jak w przypadku samochodów elektrycznych – po wyjeździe na drogi szybkiego ruchu gwałtownie topnieje. Przyspieszenie od zera do 100 km/h zajmuje 9,2 s.

W październiku zeszłego roku Toyotę Mirai przerobioną na bezemisyjny papamobile japoński koncern przekazał w Watykanie papieżowi Franciszkowi, który w encyklice „Laudato si” z 2015 r. apelował o zmianę stylu życia oraz o ochronę ziemi i wszystkiego, co nas otacza. Papież poruszał się tym bezemisyjnym modelem m.in. podczas pielgrzymki do Japonii. Papieska toyota została wyposażona w silnik elektryczny o mocy 154 koni mechanicznych oraz zestaw ogniw paliwowych, służących do jego zasilania. Taka konfiguracja pozwala przejechać ponad pół tysiąca kilometrów na jednym tankowaniu, przy czym nowy papamobile emituje wyłącznie wodę oraz czyste powietrze.

– Stawiamy na technologię elektryczną: elektryczną z baterii oraz elektryczną z wodoru. Już dzisiaj połowa naszej

Samochody na wodór kontra elektryki na baterie

sprzedaży w Polsce to klasyczne hybrydy. Tylko w 2021 r. planujemy sprzedać kilkaset sztuk Toyoty Mirai, oczywiście jest to uzależnione od szybkości budowy stacji tankowania wodoru – mówi „Do Rzeczy” rzecznik prasowy Toyoty Robert Mularczyk.

Samochody zasilane wodorowymi ogniwami paliwowymi powinny szczególnie podobać się ekologom, ponieważ nie tylko są one bezemisyjne, lecz także w praktyce działają niczym mobilne oczyszczacze, przy okazji obniżając zanieczyszczenie okolicy. Niezwykle atrakcyjnie z punktu widzenia ewentualnych użytkowników wygląda też czas ładowania. Aby uzupełnić zbiorniki w osobowych autach na wodór, potrzeba mniej

więcej pięciu minut. To niesamowicie szybko w porównaniu z czasem potrzebnym do uzupełnienia prądu w akumulatorach w tradycyjnych elektrykach – te na ładowanie „do pełna” potrzebują wciąż co najmniej kilkudziesięciu minut. W teorii technologia wodorowych ogniw paliwowych łączy więc zalety pojazdów spalinowych oraz elektrycznych, choć biorąc pod uwagę cenę wodoru, jazda autem na wodę może być bardziej kosztowna niż tradycyjnym elektrykiem.

W praktyce problem zasięgu dla potencjalnych nabywców wodorowych aut jest jednak szczególnie ważny, ponieważ w Europie punktów ładowania tego typu aut jest jak na lekarstwo. W Polsce na razie nie ma ani



Toyota Mirai w Polsce będzie kosztować 299 900 zł FOT. MATERIAŁY PRASOWE

jednej publicznej stacji. Pierwszą stację w Warszawie przy ul. Prądyńskiego planuje uruchomić PGNiG. „Początek budowy badawczej stacji tankowania wodorem PGNiG w Warszawie zaplanowany jest na ten rok. Dokładna data realizacji inwestycji zależy jednak od terminu uzyskania zgód potrzebnych do jej rozpoczęcia. Posiadamy już komplet niezbędnych projektów (konceptyjny, architektoniczno-budowlany, techniczny), a wyłoniony w postępowaniu przetargowym wykonawca rozpoczął procedury administracyjno-prawne związane z uzyskaniem zgód na rozpoczęcie budowy” – wyjaśniło w informacji przesłanej „Do Rzeczy” biuro prasowe PGNiG, podkreślając „badawczy cha-

rakter tej stacji”, która ma pozwolić na zebranie doświadczenia na polu dystrybucji wodoru i badania jego jakości dla celów transportowych. „Podpisaliśmy umowę z Toyota Motor Poland, z którą wspólnie eksploatować będziemy stację w celach badawczych. W miarę pojawiającego się popytu na paliwo wodorowe będziemy starali się udostępniać stację do publicznego wykorzystania” – zaznaczyło biuro prasowe PGNiG.

Grupa Lotos w ramach projektu Pure H2 swój pierwszy punkt tankowania wodoru – zarówno samochodów osobowych, jak i autobusów – planuje uruchomić na stacji paliw Lotos przy ul. Spacerowej w Gdańsku. Druga wodorowa stacja Lotosu ma powstać w Warszawie.

Nad uruchomieniem stacji tankowania wodoru pracuje również Orlen, którego przedstawiciele wielokrotnie deklarowali, że koncern traktuje wodór jak paliwo przyszłości i następcę obecnie stosowanych paliw z ropy naftowej.

W zachodnich krajach Unii Europejskiej posiadacze aut na wodór też nie mają łatwo. Publiczne stacje znajdują się np. w podberlińskim Poczdamie, Rostocku oraz w Dreźnie (w sumie w Niemczech jest ich już ponad 100). We Francji stacji tankowania wodoru jest ponad 30. Stacje ładowania są również w duńskiej Kopenhadze, pod łotewską Rygą oraz w austriackim Wiedniu. I chociaż w szybkim tempie ma ich przybywać, to dalekie podróże wodorowym autem trzeba by obecnie bardzo dokładnie zaplanować. A i tak nie wszystkie miejsca będą dostępne: nie tylko Polska jest białą plamą na mapie stacji wodorowych portalu h2.live. Brakuje ich również na Słowacji, na Węgrzech, we Włoszech czy w Portugalii, o krajach takich jak Ukraina czy Rumunia nawet nie wspominając.

Tutaj przewagę mają auta elektryczne, których stacji ładowania jest w Europie nieporównywalnie więcej i które można też doładowywać po prostu z domowego gniazdka. Sam zakup wodorowego auta też dużo skuteczniej czyści konto niż zakup typowego samochodu elektrycznego. Cena Toyoty Mirai zaczyna się od 299,9 tys. zł.

Na świecie na razie niewiele jest nie tylko stacji tankowania wodorem, lecz także modeli samochodów jeżdżących na wodę. Do najlepiej sprzedających się należą właśnie Toyota Mirai oraz Hyundai Nexo, a więc futurystycznie wyglądający SUV z silnikiem elektrycznym o mocy 163 KM oraz deklarowanym przez producenta zasięgu wynoszącym aż 666 km. Auto od zera do 100 km/h przyspiesza w 9,5 s, a prędkość maksymalna wynosi 179 km/h. Jego największy problem – poza brakiem stacji do ładowania – to bardzo wysoka cena. Za model w wersji wodorowej trzeba zapłacić w Niemczech ponad 70 tys. euro, czyli ponad 350 tys. zł. Koreańczycy podobnie jak Japończycy mają już spore doświadczenie w oferowaniu takich pojazdów, bo przed debiutem Nexo od 2015 r. z ich taśm montażowych zjeżdżał seryjnie produkowany model ix35 FCEV.

Wodorowymi ogniwami paliwowymi zasilany jest również produkowany od 2015 r. przez japońską Hondę



BMW iX to pierwszy SUV tej niemieckiej marki zaprojektowany od podstaw wyłącznie do elektrycznego napędu FOT. MATERIAŁY PRASOWE

■ kosmicznie wyglądający sedan Clarity Fuel Cell. W trybie normalnym deklarowany zasięg auta, które w Europie zadebiutowało w roku 2016, przekracza 700 km.

PRZEŁOM W ELEKTROMOBILNOŚCI

Ikona światowej elektromobilności jest Elon Musk i kierowana przez niego Tesla, która w ubiegłym roku wyprodukowała pół miliona e-samochodów. Firma rozpoczęła już też budowę fabryki w Niemczech. Wyzwanie amerykańskiej Tesli rzucił Volkswagen. Według opublikowanych w zeszłym tygodniu danych niemiecki koncern – największy na świecie producent samochodów – w 2020 r. sprzedał 231,6 tys. pojazdów elektrycznych. Najpopularniejszymi modelami były ID.3, e-Golf oraz e-up!

Bardzo popularne były też elektryczne Porsche Taycan oraz Audi e-tron. Na rynku norweskim sprzedaż tego ostatniego modelu była nawet wyższa niż modelu 3 amerykańskiej Tesli.

Rosnąca sprzedaż elektryków skłania menedżerów z Wolfsburga do coraz bardziej ambitnych planów rozwoju. Niemiecki koncern w rozwój elektromobilności planuje zainwestować do 2025 r. aż 35 mld euro. Do 2030 r. na drogi ma wyjechać ok. 70 nowych modeli, które napędzane będą wyłącznie przez prąd. Celem Niemców jest bowiem pokonanie Tesli i zajęcie pierwszego miejsca na świecie w sprzedaży elektryków. Aby było to możliwe, koncern z Wolfsburga planuje inwestycje w technologie, które mają zmniejszyć koszty produkcji akumulatorów, obniżyć ceny samochodów elektrycznych, a także zwiększyć ich funkcjonalność. Podczas ubiegłotygodniowej prezentacji na „Power Day” – wydarzeniu wzorowanym na teslowym Battery Day – przedstawiciele koncernu ogłosili, że w ciągu kilku

lat rozpocznie się era akumulatorów ze stałym elektrolitem, co pozwoli na wzrost zasięgu elektryków o 30 proc. Zastosowanie nowych technologii ma także znacząco skrócić czas ładowania takich pojazdów. Według inżynierów Volkswagena czas potrzebny do uzupełnienia energii z 10 do 80 proc. w modelu ID.4 Pro, który obecnie wynosi 25 minut, do 2025 r. skróci się do 17 minut, a w kolejnych latach spadnie do 12 minut. Akumulatory ze stałym elektrolitem mają być też bezpieczniejsze, a zwłaszcza mniej narażone na przegrzewanie. Po fali doniesień o pożarach „elektryków” część nabywców samochodów tego typu mieszkających w domach jednorodzinnych na wszelki wypadek zdecydowała się np. na wymianę tradycyjnych drzwi prowadzących z przedsionka do garażu na drzwi ognioodporne.

Aby zwiększyć swoje szanse w walce o „pole position” w globalnym wyścigu elektryków, Volkswagen nawiązał już współpracę z trzema koncernami energetycznymi: BP, Enelem i Iberdrolą. Niemiecki koncern zapowiedział także inwestycje w fabryki baterii, zakłady recyklingu oraz zwiększenie liczby publicznych szybkich stacji ładowania: do 2025 r. Volkswagen ma pomóc w stworzeniu w Europie 18 tys. publicznych obiektów. Niemiecki koncern bierze też udział w budowie stacji ładowania w USA w ramach sieci Electrify America. Oczywiście, rosnącą sprzedaż elektryków obserwują także pozostali niemieccy giganci, tacy jak BMW czy Daimler. Do Polski nadjeżdża m.in. BMW iX – pierwszy SUV tej niemieckiej marki zaprojektowany od podstaw wyłącznie do elektrycznego napędu. Według deklaracji producenta auto na jednym ładowaniu może przejechać 600 km, a możliwość ładowania mocą 200 kW sprawia, że wystarczy 10 minut ładowania, aby móc przejechać 120 km.

Wielu właścicieli pojazdów elektrycznych – mimo że chwala sobie niemal bezgłośną jazdę czy świetne osiągi i brak wielu obowiązków serwisowych (odpada wymiana oleju etc.) – zakochanych w nowych technologiach przechodzi trudniejsze dni podczas mrozów, gdy zasięgi aut elektrycznych z akumulatorami na pokładzie znacząco spadają (nawet o ponad 10 proc. w stosunku do zasięgow wiosną i latem).

POŻEGNANIE Z SILNIKIEM SPALINOWYM

Nie wiadomo, kto ostatecznie wygra walkę o przyszłość motoryzacji. Niemal pewne wydaje się już jednak to, że czasy aut spalinowych dobiegają końca. Wiele państw na świecie już podało konkretne daty, po których nie będzie można sprzedawać w nich nowych samochodów emitujących dwutlenek węgla.

Premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson zapowiedział w zeszłym roku, że na Wyspach ostatnie nowe auta z tradycyjnymi silnikami spalinowymi będą mogły wyjechać z salonów w roku 2030, czyli 10 lat wcześniej, niż pierwotnie zakładano. O pięć lat dłużej w ofercie producentów aut mogą pozostać samochody hybrydowe. Wprowadzenie zakazu sprzedaży samochodów spalinowych planuje już też co najmniej dziewięć stanów w USA, w tym Kalifornia, Nowy Jork oraz Massachusetts.

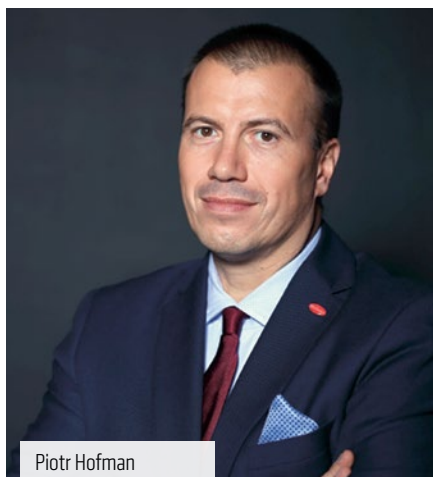
10 marca obecnego roku rządy dwudziestu unijnych państw – Austrii, Belgii, Danii, Holandii, Grecji, Malty, Irlandii, Litwy i Luksemburga – wezwały Komisję Europejską do ustalenia konkretnej daty, po której sprzedaż samochodów z silnikami spalinowymi na terytorium Wspólnoty będzie zakazana. Unia ma też wspólnie rozbudowywać infrastrukturę dla „bezemisyjnej mobilności”.

Producenci nie zamierzają czekać na ostatnią chwilę i już przyspieszają przesiadkę do aut niskoemisyjnych lub bezemisyjnych. Wydaje się pewne, że będą one napędzane silnikiem elektrycznym. Czas pokaże, czy energię będą czerpać z lepszych i coraz bezpieczniejszych akumulatorów czy z ekologicznych zestawów ogniw paliwowych samochodów na wodór. Te ostatnie brzmią bardzo obiecująco, ale by przesiadka z samochodów spalinowych na wodorowe zakończyła się sukcesem, potrzeba nie tylko ogromnych inwestycji w infrastrukturę. Znacząco stanąć muszą również same samochody.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Patourbanistyka

Rozwój miasta jako przestrzeni do życia, jak pisał Arystoteles, wynika z polityki budowania miasta. To polityka miejska, która jest domeną władzy, tworzy warunki do zagospodarowania przestrzeni przez różnych uczestników procesów inwestycyjnych. Miasto nie rozwija się bez rozwoju budownictwa, jednak sam jego rozwój nie gwarantuje prawidłowego rozwoju miasta. W Polsce mamy dobrze rozwinięty rynek i nowoczesną branżę deweloperską. Wciąż jednak przed deweloperami stoi dużo barier, które nie pozwalają na sprawniejsze i efektywniejsze działania. Problemy, które powinniśmy mieć na uwadze, są bardzo ważne i najwyższa pora, abyśmy wszyscy zdali sobie sprawę, że bez ich rozwiązania nie staniemy się światową czołówką nowoczesnego budownictwa i nowoczesnych rozwiązań urbanistycznych. Planowanie zagospodarowania przestrzeni to instrument do zarządzania inwestycjami w taki sposób, aby powstała wartość wspólnego dobra przestrzeni miejskiej. To władza planuje miejskie inwestycje, natomiast inwestor buduje zgodnie z tym planem. Zagospodarowanie przestrzeni nie wynika zatem ani z praw natury, ani z zasad wolnego rynku, ale z polityki prowadzonej w określonych uwarunkowaniach politycznych, prawnych, historycznych, społecznych i gospodarczych. Jego brak zaś powoduje ogólny chaos, którego konsekwencją jest nieumiejętne wykorzystanie przestrzeni. Od lat poruszanym problemem jest brak miejscowych planów zagospodarowania przestrzennego (zaledwie ok. 30 proc. powierzchni kraju jest nimi pokryte). Powstanie nowej infrastruktury mieszkaniowej w oparciu o miejscowe plany oznacza stabilność inwestycyjną i możliwość partycypacji inwestorów w kosztach utrzymania ładu przestrzennego. Niestety, realia zmuszają do budowania na tzw. wuzetkach (WZ – decyzja o warunkach zabudowy). Budowanie na takiej podstawie wiąże się z ryzykiem, że już wydane decyzje są uchylane przez wojewodów czy sądy administracyjne, co powoduje brak stabilności inwestycyjnej. Ponadto decyzje o WZ nie kreują kompleksowych rozwiązań urbanistycznych dla okolicy.



Piotr Hofman

Odnoszą się tylko do maksymalnie zawężonego obszaru inwestycji na konkretnej nieruchomości. Aktualnie obserwujemy kryzys planowania przestrzennego, którego braki widzimy gołym okiem np. w postaci procesu rozlewania się miast. Pozbawione infrastruktury osiedla podmiejskie to niekontrolowany rozrost przedmieść, rozwój tzw. stref peryferyjnych, a przy tym izolacja mieszkańców od instytucji kultury, szkół czy komunikacji. Ten problem w Polsce dotyczy nie tylko wielkich miast, takich jak Warszawa czy Wrocław, lecz także miast średnich i małych. Obecnie każda gmina prowadzi swoje, niezależne działania, często rywalizując ze sobą, przez co nie ma mowy o realizacji jakiegokolwiek sensownej, dużej strategii, na czym cierpią miasta, rozlewające się coraz bardziej na przyległe tereny. Niemal każda dobrze prosperująca gmina chce być ludniejsza i co się z tym wiąże – pobierać podatki od większej liczby mieszkańców. To normalne zjawisko, jednak bez jasnego planu rozwoju może rodzić często negatywne skutki oraz generować ogromne koszty ekonomiczne i społeczne, związane z koniecznością rozbudowy infrastruktury technicznej i komunikacyjnej. Konieczność zmiany podstaw prawnych gospodarowania przestrzenią i zmiany praktyki planowania przestrzennego jest oczywista i dostrzegają ją osoby odpowiedzialne za otaczającą nas przestrzeń, uczestnicy postępowań w zakresie jej zagospodarowania i oczywiście jej użytkownicy. Ani architekt czy inwestor,

ani przedstawiciel administracji, ani rzecznik inicjatyw obywatelskich nie są wszechwiedzący, ale mogą się spotkać i podążać wspólną drogą. Paradoksalnie, chociaż zaangażowanie mieszkańców i aktywistów w kształtowanie przestrzeni miast rośnie, to wiedza o prawodawstwie przestrzennym pozostaje domeną wąskiego grona ekspertów. Gąszcz przepisów i szczegóły techniczne sprawiają, że sedno sprawy – polityczne, projektowe i finansowe – pozostaje ukryte.

Żeby cokolwiek mogło się zmienić, mieszkańcy muszą zrozumieć, że standardy przestrzeni, w której żyją, nie zależą tylko od kondycji rynku czy dobrej woli dewelopera, ale w największym stopniu od jakości stanowionego prawa miejscowego, jakim są miejscowe plany zagospodarowania przestrzennego. To one regulują jakość i rodzaj zabudowy oraz standard przestrzeni publicznej. Tylko mając do dyspozycji dobre, nowoczesne plany urbanistyczne, zatwierdzone przepisami prawa, mieszkańcy miast będą mogli efektywnie wymóc zmiany w swoim otoczeniu. Nie ma sensu o wszystko obwiniać deweloperów, którzy nie są odpowiedzialni za źle działające przepisy prawa i uchwalanie miejscowych planów zagospodarowania. Wszyscy czekają na konkretne działania. Zwłaszcza że budownictwo to koło zamachowe w każdej gospodarce – bez niego nie ma mowy o rozwoju ani inwestycjach. Pozostaje też kwestia stałego deficytu mieszkań, który można ograniczyć przy odpowiednich regulacjach prawnych, a na pewno bardzo pomocne jest prawidłowe planowanie przestrzenne. Polska jako kraj rozwijający się jest idealnym miejscem, by być przykładem nowoczesnych koncepcji urbanistycznych. Jeśli zaczynamy walczyć ze smogiem, to możemy też spróbować powalczyć z urbanistycznym chaosem i bałaganem. Mimo tego, że świat idzie do przodu, warto powrócić do sprawdzonych wzorców i wizji urbanistów z XIX i XX w., bo to wtedy powstały nowoczesne organizmy miejskie, które służą nam często do dziś. Jestem przekonany, że wszyscy w Polsce chcielibyśmy, aby patourbanistyka na zawsze poszła do lamusa.



Wojciech Nagel

Powinniśmy dokonać ustawowego przeglądu systemu emerytalnego. Nie zwlekajmy z tym

Demografia, starzenie się społeczeństwa i tego skutki są obecnie kluczowymi problemami Polski i krajów rozwiniętych. Szacunki Instytutu Badań Strukturalnych wskazują, że proces starzenia się społeczeństw niezwykle ekspanduje. O ile mediana wieku populacji w Polsce w 2015 r. wynosiła 39 lat, o tyle w 2030 r. wyniesie 45 lat, a w 2050 r. – 50 lat. Będzie miało to wpływ na podstawowe procesy społeczne, rynek pracy i sytuację w systemie emerytalnym. W sposób bezpośredni wpłynie na jakość życia rodzin i edukację.

Pomimo negatywnych trendów demograficznych zmiany w systemie emerytalnym po 2010 r. podejmowane były głównie w agendzie politycznej. Dotyczyło to zawłaszczenia połowy aktywów OFE, zmian wieku emerytalnego, podwyższenia składki rentowej. Wprowadzono pozasystemowe nowe typy świadczeń emerytalno-rentowych, obiektywnie wzmagając presję na system podatkowy, ale też dobrą reformę Pracowniczych Planów Kapitałowych, prowadzoną od 2018 r., dobrowolną dla uczestników. Obecne wskaźniki partycypacji na poziomie 30 proc. są punktem wyjścia, potencjalnie PPK może objąć 11,5 mln osób. Jest to wsparcie dla systemu ZUS-owskiego, ale wymaga wysiłku, aby przekonać ludzi do pozostania w programie, wspieranym przez pracodawców i państwo. System emerytalny ewoluuje w stronę minimum, ostatnio nastąpił spadek liczby osób w wieku produkcyjnym o ok. 200 tys. i wzrost o blisko 200 tys. liczby osób w wieku emerytalnym. Pokrycie wydatków składkami w FUS spada: z 83 proc. w 2019 r. do prognozowanych 74 proc. w 2021 r. System zmierza w stronę coraz większego uzależnienia od budżetu.

REALNE KORZYŚCI

PPK ruszyły, osiągnęły bardzo dobre stopy zwrotu funduszy w 2020 r. – od 7,5 proc. do 12,5 proc. W przypadku pra-



FOT. ADRIAN STOK

Poprawić system

cownika zarabiającego 5,3 tys. zł brutto łączny stan aktywów wyniósł 3 tys. zł, a zwrot z inwestycji blisko 1,7 tys. zł. Oznacza to, że stopa zwrotu na inwestycji w PPK dla pracownika narastająco wyniosła 122 proc. Należy silnie akcentować korzyści finansowe dla ludzi. Osoby, które nie pozostały w PPK, z pewnością wezmą je pod uwagę. Najlepiej działa przykład z otoczenia pracy, koleżanek, kolegów, którzy korzystają na pozostaniu w planie, oraz wpłat ze strony pracodawcy i państwa. Niskie koszty związane z zarządzaniem aktywami są kolejnym czynnikiem wspierającym uczestnictwo. Średnia wysokość wynagrodzenia za zarządzanie waha się od 0,24 proc. do 0,41 proc. Średni koszt wynagrodzenia za zarządzanie funduszami PPK wynosi 0,35 proc.

Tak zwany konflikt pokoleń przebiega dzisiaj na płaszczyźnie wolnościowej i problematyki praw obywatelskich. Młodzi, którzy generalnie prezentują równościowe i antyelitarne podejście do życia, są niechętnie nastawieni do instytucji państwa, podatków, które należy płacić, i emerytur, na które trzeba odkładać. Nie rozumują w kategoriach ekonomicznych. Wiedza ekonomiczna Polaków w różnych grupach wiekowych jest niska, a osób młodych – zatrzaża. Cykliczne badania, prowadzone na zlecenie WIB i FGPW w 2020 r., ujawniły, że ponad połowa Polaków (52 proc.) uważa, że ich wiedza o finansach jest mała lub bardzo mała. Ponad 92 proc. badanych jest zdania, że zajęcia edukacyjne z tego obszaru powinny mieć charakter obowiązkowy. Brak wiedzy finansowej wykazują osoby



dwie. Tak mówią praktycy podatkowi, np. prof. dr hab. Konrad Raczkowski, autor rządowej reformy podatkowej VAT w 2016 r., były wiceminister finansów, który napisał i wydał cenioną w kraju i za granicą książkę pt. „Ekonomia systemu podatkowego”. Zaufajmy fachowcom. Logika tzw. krzywej Laffera, opisująca zależność pomiędzy stawką opodatkowania a dochodami budżetowymi, zachęca do zmniejszania podatków jako sposobu na zwiększanie dochodów państwa. Motywowane tą zależnością reformy podatkowe w Polsce w okresie recesji (2001–2005) zostały zapoczątkowane obniżką akcyzy i podatku CIT dla przedsiębiorców. Polityka ta okazała się słuszną. Powróciła ścieżka wzrostu gospodarczego i nowych miejsc pracy. Trwało to do 2009 r., kiedy z opóźnieniem dotarły do naszej „zielonej wyspy” konsekwencje kryzysu finansowego w USA. I zaczęło zadłużanie państwa, likwidację rezerw oraz podjęto zamach na OFE.

ZUS CZY IKE?

Majątek „do podziału” to ok. 148 mld zł, z czego blisko 80 proc. aktywów jest zgromadzonych w instrumentach notowanych (akcje). Do opinii publicznej przebiła się głównie informacja o wpływie do budżetu opłaty przekształceniowej OFE w wysokości 15 proc., niechętni rządowi pisali o haraczu pobieranym za przekształcenie funduszy. Znacznie ważniejszy wydaje się efekt decyzji osób, które zdecydują o wyborze przekazania swoich aktywów. Ponieważ założono, że w IKE może uczestniczyć 50 proc. zamiast 80 proc., tak jak wcześniej, oznacza to, iż do ZUS trafi połowa aktywów.

Ma to implikacje wobec wysokości opłaty przekształceniowej oraz kwestii dziedziczenia środków. W IKE środki podlegać będą dziedziczeniu i będą zarządzane, ale w ZUS – już nie. Po uzyskaniu uprawnień emerytalnych każdy właściciel aktywów będzie mógł jednorazowo lub ratalnie wypłacić z konta IKE bez podatków i opłat. Decyzja o pozostaniu w IKE będzie domyślna, a wybór ZUS będzie możliwy między 1 czerwca a 2 sierpnia br. Każdy z nas podejmie ją sam, uwzględniając czas pozostały do emerytury i kwestię dziedziczenia.

Podsumowując, pozytywne rekomendacje dla rządu w zakresie systemu emerytalnego są następujące:

1. Warto, aby premier rozważył powołanie pełnomocnika rządu ds. zmian w systemie ubezpieczeń społecznych. Pracując przy reformie ubezpieczeń społecznych z 1999 r., wdrażaniu PPE, próbie obrony OFE, obecnie rozwoju PPK, dostrzegałem jego brak. Przydałby się teraz, obserwujemy bowiem wielość w ubezpieczeniach społecznych: sprawa działalności gospodarczej w KRUS, likwidacja tzw. zbiegów umów, koncepcja emerytur stażowych, wygaszalność emerytur pomostowych. Zaczyna być tego za dużo, są rozbieżne interesy. Dział „praca” został oddzielony od „polityki społecznej”, a ZUS tam pozostał. Pełnomocnik jako znawca problematyki i negocjator; posiadający dobre, wieloletnie kontakty w kluczowych miejscach, na pewno by się sprawdził. Trudne reformy są w toku.

2. Należy powrócić do inicjatywy Ministerstwa Rodziny z 2017 r. i zachęcać ludzi do pozostawiania na rynku pracy po uzyskaniu uprawnień emerytalnych. Założenia projektu obejmowały zachęty (podatkowe lub finansowe) związane z pozostaniem na rynku pracy dłużej niż o rok lub dwa lata. Można rozważyć dodatkowe wynagrodzenie roczne za wydłużenie aktywności zawodowej, np. w wysokości 10 tys. zł, lub wprowadzenie wyższej kwoty dla osób, które się na to zdecydują.

Należy odstąpić od likwidacji tzw. zbiegu umów, czyli podnoszenia kosztów pracodawców i obniżenia wynagrodzenia pracowników. Nie można robić tego w pandemii, kiedy firmy walczą o przetrwanie.

3. Koncepcja tzw. emerytur stażowych jest obciążona znamieniem niekonstytucyjności i nie służy świadczeniobiorcom. Wypchnie z rynku pracy setki tysięcy relatywnie młodych ludzi, skąże ich na minimum emerytalne. Należy odstąpić od uchylecia przepisów o wygaszalności emerytur pomostowych. Ustawa została wypracowana w latach 2004–2009, jej zmiana oznaczałaby wzrost składki opłacanej przez pracodawców, z obecnych 1,5 proc. do przedziału od czterech do ośmiu razy więcej.

Zmierzeniu się z tymi problemami na pewno posłuży ustawowy przegląd systemu emerytalnego. Trzeba go przeprowadzić, powinien być wykonany w ubiegłym roku. Nie zwlekajmy z nim, jest potrzebny.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

młode w wieku 12–24 lata (83 proc.) oraz mieszkańcy wsi. Zaledwie co drugi z nich deklaruje, że przy podpisywaniu umów finansowych sprawdza podstawowe przepisy oraz zgodność danych osobowych. Tylko 12 proc. Polaków określa swoją wiedzę finansową jako dobrą lub bardzo dobrą.

Czy uprawnienia emerytalne się zdevaluują? Coroczny mechanizm waloryzacji oraz tzw. 13. i 14. emerytury gwarantują osłony ubogich świadczeniobiorców. Podobnie jak waloryzacja tzw. konta OFE w FUS tych osób, które nie pozostały i które objął mechanizm tzw. suwaka, a ich aktywa po 55. roku życia przeszły do ZUS. Dla ekspertów bezsporne jest, że tzw. 13. emerytura powinna być objęta kryterium dochodowym. 14. emerytura zdaniem wielu jest świadczeniem, które nie znajduje oparcia w dochodach budżetowych. Jest to wiarygodne, budżet państwa przed pandemią notował kilkoprocentowy deficyt. Polityka w zakresie podatków powinna być prosta. Kwota wolna wysoka, obciążenia niskie. Deklaracja roczna najlepiej – na stronę,

Autor jest doktorem ekonomii, od 2016 r. brał udział w pracach nad projektem ustawy o PPK. Jest członkiem RN ZUS i RK ds. PPK przy PFR SA. W latach 2016–2018 był prezesem Rady GPW.

TEST „DO RZECZY”: PROJEKTOR EPSON EF-11

Bardzo dobra jakość wyświetlanego obrazu, kompaktowe rozmiary oraz prosta obsługa – to największe zalety miniprojektora laserowego firmy Epson.

Elegancki projektor jak na swoje możliwości jest zaskakująco mały i wyjątkowo lekki. Jego wymiary wynoszą 18 cm x 18 cm x 7 cm, a waga to zaledwie 1,2 kg. Dla tak ultrakompaktowego sprzętu bez trudu można znaleźć miejsce w domu, a w razie potrzeby można go także wrzucić do torby i zabrać na biznesową prezentację. Na obudowie nie ma zbyt wielu przycisków, są jedynie włącznik oraz suwak do regulacji ostrości. Do bardziej szczegółowych ustawień służy niewielki pilot. Złącza, które ma projektor, to: USB 2.0 typu A, USB 2.0 typu B oraz HDMI 1.4.

Nowy model projektora Epsona oferuje również rzecz jasna możliwość bezprzewodowego przesyłania treści. W tym celu wykorzystano system Miracast, który pozwala łatwo strumieniować ze smartfona lub z tabletu zdjęcia z wakacji lub slajdy do prezentacji. Możliwe jest również oczywiście strumieniowanie filmów, ale z racji lekkiego opóźnienia nie jest to szczególnie zalecane.

EF-11 wyświetla obraz w rozdzielczości Full HD (1920 x 1080 pikseli) w formacie 16:9. Przekątna obrazu może wynosić od 30 do 150

cali. Wyświetlany obraz jest ostry, a kolory wyraziste. Bardzo przyzwoita jest również czerń. Testowany projektor świetnie nadaje się więc zarówno do oglądania filmów, jak i do grania w gry wideo czy prezentowania szefom lub klientom excelowskich tabel.



Maksymalna moc światła wynosi 1000 lumenów (w trybie ekonomicznym to 500 lumenów). Teoretycznie szala nie ma, w praktyce jednak – m.in. dzięki systemowi 3LCD oraz wysokiemu współczynnikowi kontrastu 2 500 000:1 – jest ona wystarczająca, aby oglądać telewizję nawet w słoneczny dzień.

Sprzęt jest bajecznie prosty w obsłudze. Laserowy miniprojektor automatycznie dostosowuje rzucany obraz do powierzchni projekcyjnej.

Projektor jest bardzo cichy (generuje hałas na poziomie zaledwie 27 dB). Dźwięk wydobywający się z niewielkiego głośniczka mono o mocy 2W jest czysty i wyraźny. Brzmienie może jednak rozczarować miłośników niskich tonów. Niestety, głośniczek nie należy do najgłośniejszych. Do pokazu na dworze będzie więc raczej niewystarczający, ale do domu lub do biura spokojnie powinien wystarczyć.

Plusem testowanego modelu jest również źródło światła. Producent zapewnia, że dzięki zastosowaniu technologii laserowej projektor powinien świecić nawet 20 tys. godzin. Statystycznej rodzinie testowany gadżet powinien więc spokojnie służyć przez 10 lat.

Wady? Po pierwsze, rozczarowująca jest niska jasność maksymalna. Po drugie, w tak nowoczesnym projektorze przydałyby się również złącza USB typu C, RCA oraz HDMI ARC. Po trzecie, miłośnikom nocnych seansów w pilocie może brakować podświetlenia przycisków.

Mimo tych minusów projektor Epsona jest z pewnością godny uwagi. Powinien spokojnie dać sobie radę nawet w niewielkich pomieszczeniach. Jak na projektor laserowy ma też bardzo przyzwoitą cenę. Za EF-11 trzeba zapłacić 3790 zł. ©

Jacek Przybylski

TOWAROWA HULAJNOGA

Re:Move. Tak nazywa się przypominający hulajnogę elektryczny trójkołowy pojazd cargo, którym w postpandemicznym świecie paczki mają dostarczać kurierzy. Tak przynajmniej wyobrażają to sobie projektanci z należącej do Volvo firmy Polestar. Maksymalna ładowność elektrycznej hulajnogę cargo to 275 kg. Ceny firma na razie nie podała. Wiadomo jedynie, że efekt przekształcania konceptu w gotowy do sprzedaży produkt ma zostać zaprezentowany jesienią bieżącego roku.



MINIATUROWY GŁOŚNIK GOTOWY NA WSZYSTKO

W kwietniu zadebiutuje w Polsce poręczny miniaturowy bezprzewodowy głośnik Sony SRS-XB13. Według zapewnień producenta głośnik ma wytrzymałą obudowę odporną na kurz, pył i wodę (IP67) oraz wydajny akumulator, który wystarczy na długie wiosenne imprezy. W komplecie znajduje się wielofunkcyjny pasek do zawieszenia na plecaku, na nadgarstku czy pod plażowym parasolem. Według Sony maleństwo zaskakuje dynamicznym dźwiękiem i mocnym brzmieniem, zapewnianym przez technologię EXTRA BASSTM oraz procesor Sound Diffusion Processor. Cena: 240 zł. ©

Jacek Przybylski

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!

Przeżyłam piekło
Hiroszimy.
Wywiad z ocaloną

Piotr Zychowicz – **Gehenna Hiroszimy i Nagasaki**

Piotr Włoczyk – **Kulisy budowy bomby atomowej**

Asbjørn Jaklin – **Polacy pod Narwikiem**

Jacek Bartosiak – **Starcie mocarstw w kosmosie**

Maciej Rosalak – **Brawurowe ucieczki z PRL**

Sławomir Cenckiewicz – **Testament Studnickiego**

Arkadiusz Karbowski – **Czesi na Wołyniu**

Tomasz Stańczyk – **Żydzi w polskich mundurach**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. ADDE STOCK

Lek znaczy życie



Katarzyna Pinkosz

Szpiczak to choroba, która wciąż nawraca. Dlatego niezbędne są nowe terapie, które przełamują oporność komórek nowotworowych. Dzięki temu pacjenci mogą normalnie żyć, traktując swoją chorobę jako przewlekłą

Wszystko zaczęło się od bólu pleców, który początkowo zrzucił na stres i styl życia. Po miesiącu fizjoterapii nie było jednak lepiej. Znajomy poradził, żeby zrobić rezonans magnetyczny. – Byłem pewny, że pokaże lekkie zmiany przeciążeniowe kręgosłupa. Gdy zobaczyłem wynik, aż mnie zamurowało: kilkanaście guzów, największy na biodrze: 12 cm na 8 cm. Byłem przerażony, ale trzeba działać, sprawdzić, co może być przyczyną. Najpierw podejrzewano raka kości – opowiada Witold Matuszyk. Dostał skierowanie do Centrum Onkologii, po

badaniach okazało się, że to nie rak kości, tylko szpiczak. – Dla mnie to była dobra wiadomość, bo w skali nowotworów wydawał mi się „łżejszy”, uznałem, że to „połączenie białaczki z osteoporozą”, jednak z lepszą przeżywalnością niż w przypadku raka kości – opowiada.

W momencie diagnozy miał 44 lata. Chociaż szpiczak plazmocytowy to najczęściej choroba osób starszych, po 65.–70. roku życia, to jednak coraz częściej taka diagnoza jest stawiana także osobom młodszym. – W świadomości społecznej funkcjonuje mit, że chory na szpiczaka to starszy, schorowany czło-

wiek, przykuty do wózka inwalidzkiego albo leżący w łóżku. Oczywiście, tacy pacjenci też są, jednak chorują też młodzi. Mój najmłodszy pacjent miał diagnozę postawioną w wieku 31 lat: w trakcie swojego wesela podniósł pannę młodą i... już się nie podniósł; okazało się, że kręgosłup był w strasznym stanie z powodu szpiczaka. Ten pacjent leczy się jednak z sukcesem już od pięciu lat, jest pełen energii, zadań społecznych i zawodowych. Najmłodsza osoba w Polsce z diagnozą szpiczaka miała 19 lat, a na świecie: osiem – mówi prof. Dominik Dytfeld z Katedry i Kliniki Hematologii i Transplantacji Szpiku Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu, prezes Polskiego Konsorcjum Szpiczakowego.

Witoldowi po diagnozie zaproponowano chemioterapię, radioterapię i przeszczepienie szpiku – takie leczenie zwykle proponuje się młodym osobom, które są w stanie znieść przeszczepienie. – Dowiedziałem się, że prognozy nie są złe, a w leczeniu szpiczaka w ostatnich latach dokonał się duży postęp, choć nie

wszystkie z metod są w Polsce refundowane – opowiada.

Przeszczep szpiku miał roku temu, tuż przed rozpoczęciem pandemii. Potem zaproponowano mu kolejny przeszczep lub udział w badaniach klinicznych. Zdecydował się na badanie kliniczne: początkowo otrzymywał terapię trójkową, składającą się z deksametazonu (steroidu) oraz dwóch nowoczesnych leków: karfilzomibu i lenalidomidu. Po ośmiu cyklach terapii, ponieważ wyniki leczenia były dobre, otrzymuje sam lenalidomid.

– Pacjent uczestniczy w badaniu klinicznym Polskiego Centrum Szpiczkowego. W wielu krajach, m.in. w USA, pacjentom po przeszczepieniu szpiku podaje się leczenie podtrzymujące, żeby pogłębić i wydłużyć remisję; zwykle otrzymują lenalidomid. W tym badaniu klinicznym chcemy wykazać, że w terapii podtrzymującej bardziej efektywne jest zastosowanie schematu trójkowego. U pacjentów, u których dzięki takiemu leczeniu doszło do całkowitej eliminacji choroby resztkowej (w szpiku nie ma nawet jednej komórki nowotworowej na milion), podajemy potem do 36 miesięcy lenalidomid. U pacjentów wysokiego ryzyka nadal stosujemy schemat trójkowy – wyjaśnia prof. Dytfeld.

PRZEŁOMY W SZPICZAKU

Jeszcze kilkanaście lat temu rokowanie w szpiczaku było bardzo złe: chorzy po diagnozie przeżywali średnio dwa, trzy lata. Od kilku lat w leczeniu tej choroby dokonuje się jedna z największych medycznych rewolucji: dziś jest już dostępnych kilkanaście (!) nowoczesnych leków o innowacyjnym mechanizmie działania i wciąż pojawiają się kolejne. Im więcej dostępnych terapii, tym lepiej, gdyż szpiczak to choroba podstępna: poddaje się leczeniu, jest remisja (cofnięcie choroby), niestety komórki nowotworu po pewnym czasie „wymykają się” działaniu leku i wytwarzają mechanizmy oporności na dotychczasową terapię. Następuje nawrót choroby, konieczne jest zastosowanie nowej terapii, następuje remisja, znów kolejny nawrót choroby, następne leczenie... – Gdy chory jest w remisji, mam świadomość, że ona za pewien czas się skończy i powinienem podać kolejną linię leczenia, a potem następną. Niestety, trzeba liczyć się z tym, że szpiczak będzie nawracać. Dlatego im więcej mamy możliwości terapii i kolarzenia różnych leków, tym chory ma

szansę na dłuższe życie – potwierdza prof. Dytfeld.

Witold prowadzi (niemal) normalne życie, jakby nie miał szpiczaka: intensywnie pracuje (jest menedżerem w branży deweloperskiej), ma rodzinę, sześciolatniego syna. Czasem gra z nim w piłkę, jeździ na hulajnodze, choć z aktywnością fizyczną stara się nie przesadzać, by nadmiernie nie przeciążyć kręgosłupa i biodra. – Nie wstaję rano i nie myślę, że jestem chory, tylko zastanawiam się, co jest do załatwienia. Traktuję szpiczaka jak chorobę przewlekłą. Na oddziałach hematologicznych spotykałem pacjentów, którzy jeździli na wózkach, a jednak po leczeniu większość stawiała na nogi. Były ciężkie przypadki, ale większość osób z tego wychodziła, funkcjonują w miarę normalnie – opowiada. To też zasługa wyjątkowych lekarzy, szukających rozwiązań dla pacjentów.

NOWE UKŁADANKI

Na leczenie według światowych standardów mogą jednak w Polsce liczyć tylko nieliczni pacjenci, w ramach badań klinicznych.

– Spośród kilkunastu najnowszych leków zarejestrowanych w leczeniu szpiczaka w Polsce dostępne są tylko cztery, w dodatku w bardzo wąskich wskazaniach. Pod względem dostępności do nowoczesnego leczenia plasujemy się na szarym końcu Europy – ocenia prof. Dytfeld. Problemem jest także to, że nawet leki, które teoretycznie są refundowane, pozostają dla większości pacjentów w Polsce niedostępne, przez bardzo wyśrubo-

wane kryteria włączenia do programów lekowych oraz przez to, że wolno je stosować tylko w określonych połączeniach, a w innych nie. – Przykładowo lenalidomid nie jest dostępny w pierwszej linii leczenia, karfilzomib musi być stosowany w mniejszej dawce w połączeniu z lenalidomidem, nie można go podać tylko z samym sterydem, a takiego leczenia potrzebowałoby wielu pacjentów, którzy nie kwalifikują się do przeszczepienia szpiku. Z kolei daratumumab mogą podać tylko z bortezomibem – wylicza prof. Dytfeld i wymienia schematy, które powinny być jak najszybciej dostępne w Polsce. – Bardzo potrzebne jest wzmocnienie pierwszej linii leczenia, gdyż wtedy choroba najlepiej poddaje się leczeniu: to np. lenalidomid u starszych pacjentów, którzy nie są kwalifikowani do przeszczepu, daratumumab u pacjentów młodszych. Drugą potrzebą jest skuteczna terapia dla pacjentów opornych na lenalidomid: niezbędny byłby karfilzomib z deksametazonem oraz pomalidomid z bortezomibem. Czekamy też na icksazomib dla chorych, którzy mają wysokie ryzyko szybkiego nawrotu choroby – mówi prof. Dytfeld.

Wydaje się, że nowych schematów i terapii jest wiele, jednak wynika to z natury choroby. – Tych wszystkich leków nie damy pacjentowi naraz, chcemy mieć do nich jak najlepszy dostęp, gdyż zwiększy to możliwości dostosowania terapii do chorego. Wiele osób, mimo tej ciężkiej choroby, dzięki nowoczesnym terapiom może wrócić do funkcji społecznych, zawodowych, rodzinnych. To ogromny sukces – mówi prof. Dytfeld.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Łukasz Rokicki, prezes Fundacji Carita im. Wiesławy Adamiec

Przed rokiem toczyły się procesy refundacyjne czterech leków na szpiczaka, obecnie już sześciu, niedługo może nawet ośmiu. Jeśli ich nie wprowadzimy, to trudno będzie się nam porównywać pod względem standardu leczenia nie tylko do krajów zachodnich, lecz także do Europy Wschodniej, gdzie ta dostępność jest bardzo duża. Potrzebny jest m.in. lenalidomid w pierwszej linii, karfilzomib dla pacjentów nawrotowych i opornych, daratumumab w formie podskórnej, co w dobie pandemii ma ogromne znaczenie. Ostatnia refundacja leku na szpiczaka była w 2019 r. i dotyczyła leków karfilzomibu w schemacie trójkowym KRd oraz daratumumabu w schemacie Dvd. Jednak dostęp do tych terapii w programach lekowych jest ograniczony, np. z leku karfilzomib w pierwszym roku refundacji skorzystało tylko ok. 90 pacjentów, gdyż jest on dostępny wyłącznie dla pacjentów jako terapia „pomostowa”, czyli u pacjentów kwalifikowanych do przeszczepienia szpiku, a powinien być dostępny także dla pacjentów, którzy się do niego nie kwalifikują, a są nawrotowi, oporni. Potrzebne są też leki doustne, takie jak icksazomib, lenalidomid, by pacjent mógł wziąć w domu lek i nie musiał na podanie leczenia przyjeżdżać do szpitala. Liczymy na to, że już na majowej liście refundacyjnej pojawią się pierwsze nowe schematy leczenia i terapie w szpiczaku.



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Dwór murowany starszy

Każdy wie, jak wygląda dwór szlachecki: parterowy z gankiem pośrodku, często z alkierzami, czyli dodatkowymi komnatami lub przybudówkami dostawionymi do głównego budynku. Nakryty dwu- albo czterospadowym dachem. Jaki jednak był w wiekach XVI i XVII? Tutaj pojawia się problem – wszystkie bowiem dwory, które przetrwały pierwszą wojnę, najazd bolszewików w 1920 r.



Dwór obronny w Szymbarku

FOT. DOMENA PUBLICZNA

i sowiecki potop lat 1944–1945, a potem rządy komuny, wybudowane zostały w XIX w., a tylko niektóre w XVIII w.

Bardzo nieliczne zaś, choćby dwór w Goszycach czy nieistniejący już w Rudnikach, pochodzą z drugiej połowy XVII w., ale i tak były wielokrotnie przebudowywane.

Jak wyglądały zatem szlacheckie domostwa u zarania dziejów Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Po pierwsze, były dwójakiego rodzaju – drewniane, którymi na razie nie będziemy się zajmować, i murowane, będące w ogólnym zarysie formą przejściową między wieżą rycerską z XV w. a późniejszym dworem murowanym.

Jednym z najstarszych zachowanych jest – jak podaje badaczka tych budowli Teresa Jakimowicz – dwór w Łopatkach koło

Łaska powstały w pierwszym ćwierćwieczu XVI w. z inicjatywy abp. Jana Łaskiego i mający jeszcze wiele cech średniowiecznej wieży obronnej. Dwory takie aż do wieku XVIII obecne były w krajobrazie Rzeczypospolitej, znajdowały się nawet na przedmieściach ośrodków takich jak Kraków czy Przemyśl. Do dziś ich podziały budzą duże emocje wśród historyków architektury. Ogólnie przyjmuje się, że tworzyły jeden z trzech typów budowli. Dwór wieżowy, którego dobrym przykładem jest Rzemień koło Mielca, zbudowany w XIV w. przez Rafała z Tarnowa jako wieża rycerska i wielokrotnie przebudowywany, m.in. już w XVII w. przez Stanisława Lubomirskiego. Jest to po prostu rozbudowana wieża mieszkalna, przebudowana na rezydencję z przydatkiem ganków, przybudówek i zwykle dobrze ufortyfikowana. Jednocześnie znacznie mniejsza od zamku czy pałacu – np. od zamku w Ogrodzieńcu przebudowanego w tym samym czasie na renesansową rezydencję przez Seweryna Bonera.

Kolejnym typem dworu murowanego jest budowla, którą sami współcześni nawet w XVII w. zwali kamienicą. Jak podaje Leszek Kajzer: „Niepisaną normą był budynek o trzech kondygnacjach, wzniesiony na planie krótkiego prostokąta i czasami opięty przyporami w narożach”. Doskonałym przykładem takiego typu budowli jest dwór w Jeżowie koło Gorlic. Patrząc na jego bryłę, łatwo wyobrazić sobie, jak ewoluowała dawna wieża rycerska – z wąskiego i wysokiego budynku mieszkalnego stawała się coraz niższa i szersza, wprost rozpychając się na boki, aby uczynić mieszkanie wygodniejsze dla szlachty epoki renesansu. Kamienice zwykle miały prosty podział wewnętrzny – dwie, trzy lub cztery izby na parterze i znacznie mniej

na piętrze, bo znajdowała się tam duża sala jadalna.

Trzecią formą dworów murowanych był kasztel – budowla o wyraźnych elementach obronnych – nawiązujący zresztą bezpośrednio do włoskich obiektów obronnych, np. Castello San Giorgio należącej do Gonzagów. Polski przykład to oczywiście sławny dwór murowany w Szymbarku wybudowany pod koniec XVI w. Jego bryła ma dodane na krawędziach alkierze, które w późniejszych czasach stały się łatwo rozpoznawalnym dodatkiem do dworów szlacheckich, także drewnianych. Kolejny przykład to kasztel we Frydmanie koło Nowego Targu, dziś w rękach prywatnych.

Budowle murowane wspomnianych trzech typów, które pozwoliłem sobie nazwać ogólnie „dworem murowanym starszym”, odnaleźć można praktycznie w całej dzisiejszej Polsce. Ich wygląd pokazują ryciny dawnych miast – np. w widoku Krakowa sporządzonym ok. 1603 r. i wydany w atlasie „Civitates orbis Terrarum” Georga Brauna i Fransa Hogenberga widzimy w okolicach Krakowa aż cztery takie dwory. Pierwszy pod Wawelem, drugi w Prądniku, kolejne dwa na granicach Kleparza. Jeden bardzo długi wznosi się na Stradomiu, inne wkomponowane są w zabudowę Kazimierza. Należy pamiętać, że wraz z upływem czasu, w XVII i XVIII stuleciu, te murowane budowle stawały się lamusami, o czym pisałem wcześniej. Dobrym przykładem odeszłego... do lamusa budownictwa są podkrakowskie Branice. Znajduje się tam ciągle przebudowany na początku XVII w. dwór wieżowy Braniczek oraz powstały na przełomie wieków XVIII i XIX klasycystyczny dwór Badenich, wzniesiony, kiedy jego starszy „ojciec” stał się mało wygodny do mieszkania. ©©

I RZECZYPOSPOLITA

• Łopatki

CHEF LOREK POLECA RUMUŃSKĄ RYBĘ PO GRECKU

Makrela przykryta warstwami warzyw – przepis podobny do polskiej ryby po grecku. To danie jednogarnkowe, bardzo łatwe do przygotowania. Pierwszy raz próbowałem go, gdy przyrządziła je moja mama. Polecam jako ciekawą alternatywę, gdy mamy ochotę zjeść danie rybne, ale chcemy uniknąć smażonych ryb.

Ryba przyrządzona pierwszy raz przez moją mamę jako alternatywa dla dań ze smażoną rybą.)

Składniki (porcja dla 4 osób):

- 2 makrele średniej wielkości (ok. 300 g)
- 500 g cebuli
- 400 g marchewki
- 4 liście laurowe
- 3 łyżki koncentratu pomidorowego
- 4 łyżki octu winnego (lepiej z białego wina, ale czerwone ewentualnie też się nadaje)
- 50 ml oleju słonecznikowego lub rzepakowego
- sól, pieprz

Przygotowanie:

Cebulę kroimy w piórka, a marchewki w plasterki. Makrelę myjemy i odcinamy głowę. Kroimy na kawałki (dzwonka) o szerokości ok. 4 cm. W garnku układamy warstwami: cebulę, plasterki marchewki i rybę. Powtarzamy ułożenie w ten sposób, aby uzyskać 3–4 warstwy, ale tak, by ostatnia była marchewka. Ostatnią warstwę polewamy olejem, octem i koncentratem pomidorowym (rozcieńczonym 200 ml

wody). Dodajemy także liście laurowe. Gotujemy na niewielkim ogniu przez 1,5 godz. Pod koniec gotowania dodajemy jeszcze szczyptę soli.

Sposób podania:

Na talerzu układamy warstwę warzyw, a na niej dzwonka ryby. Posypujemy delikatnie posiekaną natką pietruszki. Dobrym dodatkiem będzie chleb albo ryż.

Rybę możemy podać także z sosem jogurtowo-miętowym. Przygotowanie sosu: 100 ml jogurtu, pęczek mięty, sok z połowy cytryny, szczypta pieprzu. Miętę siekamy i łączymy z pozostałymi dodatkami. Warto spróbować także tę wersję – sos dodaje świeżości i całkowicie zmienia smak potrawy. ©©

*oprac. raw
Laurentiu Zediu „Lorek”
jest kucharzem, prezydentem
kulinarnym, finalistą MasterChef
Polska, ambasadorem rumuńskiej
kuchni w Polsce i polskiej kuchni
w Rumunii (skąd pochodzi).*



FOT. AGNIA ZALASZCZAK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Szklanka wody



FOT. ADRIEN STOCK

Puszką wody mineralnej marki X, naturalnie gazowanej. Pojemność 330 ml, kalorii 0, tłuszczu 0 (sic!). Nic takiego, zwykła woda, chociaż w tym przypadku podawanie bilansu kalorii i tłuszczu wydaje się absurdem. Ale cóż, współczesny świat tak ma, wszystko musi być skodyfikowane, klient ostrzeżony, a nuż podać do sądu, bo mu nie powiedziano. Kiedyś kupiliśmy osłonę przeciwsłoneczną na przednią szybę samochodu. Było na niej napisane: „Do jazdy zdjąć”.

Jeszcze bardziej absurdalne niż podawanie wartości odżywczych wody wydaje się zapakowanie jej w puszkę. Ale to jeszcze nic. Kiedy dokładnie czytać się w napisy na puszcze, można się dowiedzieć, że owa woda, którą wydobyto ze źródeł pod Kielcami, zawędruje na rynek Stanów Zjednoczonych. W tej puszcze. Dopuszczona została do użytku w Kalifornii, stanie Nowy Jork, Maine, Oregon, Vermont i paru innych.

Fajne, co? Włać trochę wody w kawałek aluminium, wsadzić do samolotu, następnie do tira, gdzie odbędzie tour po Ameryce. Wiem, nie powinnam się dziwić, bo przecież to samo od dawna dzieje się z różnymi designerskimi wodami typu Perrier, San Pellegrino, Evian, które smakują amerykańskim wybrednym podniebieniem tak bardzo, że są wożone na odległe kontynenty.

Mało tego, nie w puszkach, ale w butelkach z ciężkiego, grubego szkła. Kiedy moda na te wody zaczynała się w Stanach – pamiętam, to było

na początku lat 80. – nikt nie słyszał o śladzie węglowym. Czyli czym dla środowiska jest wyprodukowanie, zapakowanie i transport produktu od miejsca produkcji do miejsca docelowego.

Nie, nie kwestionuję konieczności picia wody. Pijmy jak najwięcej i cieszymy się dopóty, dopóki ją mamy. Cieszę się, że w Warszawie można pić wodę z kranu, cieszę się z każdego opadu i myślę, że wciąż nam, ludziom pierwszego świata, perspektywa braku wody wydaje się abstrakcją. Widok ludzi w Afryce stojących w kolejce za kanistrami do źródła pitnej wody to wciąż jakaś nierealność. Ostrzeżenia mędrców, że przyszłe wojny będą właśnie wojnami o wodę, wcale nie wydają mi się bezsensowne. Tylko co mogę zrobić w tej sprawie? Napisać list z prośbą do koncernu, żeby nie puszkował szklanki wody i nie wysyłał jej samolotem na inny kontynent?

Koncern odpowie mi, że awokado, które jadłam na kolację, też przyleciało samolotem z Meksyku, a kiwi z Nowej Zelandii. Tak, niestety wiem to i czuję się winna. Na swoje marne usprawiedliwienie powiem tylko, że ani awokado, ani kiwi nie rosną w Polsce. A oni mi odpowiedzą, że San Pellegrino też nie ma w Ameryce. I będą mieli rację. Niestety. ©©



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Jestem X-Menem

Kiedy byłem mały, jedna rzecz bardzo mnie zaintrygowała. Mianowicie dlaczego mój dziadek ma tak wiele włosów w nosie. Musiało upłynąć prawie pół wieku, żebym pojął, o co chodzi.

O to, że w momencie przejścia w tzw. jesień życia człowiek staje się X-Menem. Jeśli ktoś nie oglądał filmu, to wyjaśniam, kim są X-Meni. To mutanci, posiadający różne dziwne moce, niedostępne dla zwykłych homo sapiens. Na przykład profesor Xavier jest potężnym telepatą zdolnym wejrzeć w czyjś mózg, a nawet przejąć nad nim kontrolę. Cyklop ma laser w oczach, Magneto panuje nad wszystkim, co metalowe, a Storm steruje pogodą.

Jest jeszcze Wolverine, czyli po naszemu Rosomak – solidnie owłosiony facet, któremu szybko goją się rany, a w potrzebie z ręki wyrastają mu ostre jak brzytwa szpony. I o ile Magneto czy Iceman (kontroluje lód) spotkać można głównie w filmach, to Wolverine jest mutantem dość popularnym. Mam wrażenie, że mój dziadek był Wolverine'em, a i ja powoli się nim staję.

Otóż z upływem lat człowiek wiele traci. Wigor, sylwetkę, gładką skórę, zdolność wypicia sporej ilości alkoholu czy umiejętność trawienia laktozy. Długo sądziłem, że jedyną rekompensatą za te ubytki jest doświadczenie życiowe, zwane niekiedy mądrością, ale – umowy się – nie otrzymuje się go z automatu. Nie wszyscy na stare lata będą Nestorami, których rad słucha się z uwagą i szacunkiem. Natomiast

wszyscy, czy prawie wszyscy, będą mieli włosy w nosie. Oraz uszach.

Tak. Jakaś tajemnicza siła, może bóstwo, a może ewolucja, daje nam – ludziom po pięćdziesiątce – zupełnie nie spodziewaną moc. Co prawda z czubka głowy włosy wypadają, ale za to w nozdrzach rosną na potęgę. Ledwo wyrwiemy jakąś kępę, a już pleni się następna – zupełnie jak odcięta głowa smoka, na miejsce której wyrastają dwie nowe. Parę lat temu dostałem od żony trymer i zachnąłem się, na cóż mi takie urządzenie. Oczywiście miała rację. Gdyby nie ten ekwipunek, mój syn zadawałby dziś sobie pytanie, które mnie nurtowało w stosunku do dziadka. Acz muszę stwierdzić, że etap porostania uszu jeszcze przede mną.

Natomiast otrzymałem już inną moc Wolverine'a, to znaczy pazury. Nie wiem, czy to rekompensata za zmarszczki na twarzy oraz bóle brzucha po wypiciu łyżeczki mleka. Faktem jest, że ni z tego, ni z owego moje paznokcie uznały, iż pójdą na całość. Dotychczas rosły sobie w złotym tempie, akurat tak, żeby niespecjalnie się nimi przejmować. Nagle zamieniły się w fizjologiczne ferrari, z przyspieszeniem wgniatającym w fotel. Gdybym z pomocą odpowiedniego sprzętu nie walczył z ich ekspansją, mógłbym polować na jakąś zwierzynę – pod warunkiem, że byłaby powolna i słaba, bo jednak sprawności i siły Wolverine'a nie dostałem. Tylko szybko rosnące włosy i paznokcie.

Ale zawsze to jakaś supermoc. ©©



MAŁGORZATA WOŁCZYK

PIÓRKIEM I PAZURKIEM

FC Real Prawica

Małgośka – mówią mi – no i skończyłaś między pravicowymi dziadkami.

– No ba! – odpowiadam.

– W życiu nie byłam w lepszym towarzystwie! Nawet jeśli wspomnieć, że nieco „aktorzyłam” w młodości, jeżdżąc po festiwalach teatralnych Europy. Kiedyś w bohemie artystycznej w ramach Sceny Plastycznej KUL Mądzika, a dziś – prawi- ca i konserwa: mon amour!

I w dodatku nie ograniczam się do Warszawy, bo widmo prawicowej międzynarodówki krąży po Europie, a ja za nim. A gdy człowiek pracuje dla rzetelnej firmy „Do Rzeczy”, wtedy zostanie zaproszony na obiad w senacie hiszpańskim albo do słynnej restauracji dla polityków, gdzie ponoć Michnik z Jaruzelskim obficie zakrapiali swój projekt podążania modelem hiszpańskiej Transición („nie rozliczajmy, wybierzmy przyszłość”). Rodakom tak trudno uwierzyć, że to nie Polska lempartowa podoba się Europie, ale Polska zbuntowana wobec unijnego walca ideologicznego i dumna ze swoich korzeni. Jak można myśleć, że w Hiszpanii, kraju zniewolonym tęczowym terrorem, ktoś będzie podziwiał polskich epigonów w rodzaju Biedronia? Owszem, jest „czerwona” Hiszpania, która dopinguje naszym postępowcom, ale im się Polska często z Białorusią myli.

Mało tego, wydaje się, że prawdziwych intelektualistów z Zachodu poważnie

martwi to, co dzieje się w Polsce. Pisze do mnie z troską prof. Renato Cristin, Włoch, który obok Władimira Bukowskiego był inicjatorem apelu o powołanie instytucji na wzór Międzynarodowego Trybunału w Norimberdze, mogącej doprowadzić do osądzenia zbrodni reżimów komunistycznych, i dla niego bynajmniej Marta Lempart nie jest nowym Waleśą, tylko symbolem nowej, agresywnej lewicy. Piszą do mnie przedstawiciele świata akademickiego z Hiszpanii przygnębieni tym, że nawet Polska, w którą tak wierzyli, zaczyna zapadać na tę samą chorobę, która toczy postchrześcijański Zachód. Nikogo z nich nie obchodzi, co mają do powiedzenia polskie almodovary i drapieżne feministki.

Po niedawnym wydaniu w Hiszpanii książki prof. Legutki zaczęła się moda na niego. Dostaję listy od redakcji z prośbami, abym załatwiła choć jeden esej profesora do druku. Tymczasem polski mainstream uparł się wmawiać, że polska prawica to synonim zacofania, a Kościół to przeżytek.

No, dość tych jadów! Zaproszono mnie kiedyś do restauracji na Santiago Bernabéu ze wspianym widokiem na murawę i ćwiczących piłkarzy, bo widocznie uznano, że jestem z kraju Champions League i reprezentuję FC Królewskich Konserwatystów. Tak przynajmniej to sobie wytłumaczyłam! Zatem pora zakrzyknąć: „¡Hala Prawica!”. ©©

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Macoszka” Agnieszki Osieckiej



JOANNA SIEDECKA

Nawiązać bliższy kontakt z Osiecką, w rozmowach dążyć do tego, by jak najwięcej mówiła o sobie i swoich przyjaciółach (Kofta, Stanisławski, Markuszewski, Młynarski) – z zadań SB dla TW „Zadry” (12 stycznia 1977 r.).

Serial o poetce przypominał celebrytkę tamtych lat, śpiewaczkę, aktorkę i wróżkę, Józefinę Pellegrini. To dla niej podziwiany przez Agnieszkę ojciec, kompozytor, porzucił żonę, „domową kure”, oraz dorastającą córkę. Nienawidziła długo macochy, z czasem jednak ją zaakceptowała, nazywała „macoszką”, bywała

długa kolejka” – wspominała Maria Szablowska w swojej książce o życiu muzycznym w PRL, napisanej razem z Krzysztofem Szewczykiem. „Otwierasz lodówkę, wyskakują Pellegrini” – mawiano. Wszystkie media szeroko reklamowały „czołową wróżkę PRL”. Układała horoskopy dla wielu pism, radia, telewizji. Jako pierwsza zarejestrowała działalność wróżbiarską jako usługową. Wróżyła politykom, celebrytom, kolegom aktorom, liczyła sobie słono. Nagrodzono ją Złotym Krzyżem Zasługi i odznaką „Zasłużony Działacz Kultury”.

Archiwa IPN pokazały jednak przykry rewers błyszczącej kariery. Teczke Pellegrini zniszczono wprawdzie 31 stycznia 1990 r., być może ze względu na tajemnice jej prominentnych klientów. Mimo to zostały liczne dowody jej współpracy z bezpieką – tzw. zapisy ewidencyjne, według których 5 listopada 1974 r. inspektor Elżbieta Wojtowicz pozyskała ją „na zasadach dobrowolności” na tajnego współpracownika, informującego o środowisku aktorskim, o pseudonimie Zadra (od członu jej poprzedniego nazwiska – Zadora-Przyłęcka, po swoim pierwszym mężu, różnił się tylko jedną literką). W jej teczce paszportowej (pokażnej, bo dużo wyjeżdżała, m.in. na drogę wycieczki orbisowskie) są zlecenia SB: „Ze względów operacyjnych – paszport natychmiastowy”. A w teczkach osób, na które donosiła, są jej donosy, najczęściej własnoręcznie napisane. Najbardziej ohydny, nieszczęśliwy tzw. danych wrażliwych – na Wojciecha Młynarskiego (25 lutego 1976 r.). O chorobie nerwowej, o której jeszcze wtedy nie mówił, pobytach w klinikach, rzekomych próbach samobójczych, problemach małżeńskich. W kolejnym – o reakcjach środowiska na

cofnięty Młynarskiemu zakaz występów w mediach, karze za podpis pod „Listem przeciw zmianom w konstytucji”. Zachowały się też jej „przygnębiające” relacje z występów rozpracowywanego przez SB Kabaretu pod Egidą, na których bywała („Nie tędy droga do rozrywki”). „Charakterystyki” aktorów kabaretu, m.in. Piotra Fronczewskiego („mniej zdolny od Pietrzaka”). Gdy tylko było to możliwe, Jan Pietrzak wystąpił o odtajnienie pseudonimów agentów inwigilujących Egidę i TW Zadrą okazała się właśnie Pellegrini, o której pierwszy napisał.

Są też jej donosy na ludzi pióra, np. Jerzego Waldorffa (o jego seksualnej orientacji i stałym przyjacielu). Najbardziej kuriozalny i prostacki – z wieczoru autorskiego Juliana Strykowskiego w Związku Literatów (8 listopada 1976 r.). Pisała głównie o licznej publiczności (dostawiano krzesła) niemal wyłącznie pochodzenia żydowskiego, o semickich rysach. Wymieniła nazwiska tych, których znała. Zdumiewały ją „apoteozowanie żydostwa” i „łącząca zebranych atmosfera milczącej aprobaty i wewnętrznej spójni”.

W zadaniach zlecanych „Zadrze” przez por. Jerzego Filipskiego były m.in. informacje o wybitnym kompozytorze Zygmuncie Mycielskim, a także jej pasierbicy, Agnieszce Osieckiej. Nie ma ich wprawdzie w teczce Osieckiej, ale zawiera głównie materiały z lat 50. i 60. Z późniejszych już nie. Może właśnie dlatego, że miała na nią oko TW „Zadra”? Do końca długiego życia Józefina Pellegrini chwaliła się swoim darem jasnowidzenia, przewidywania nie tylko losów ludzi, lecz także świata. Nie przewidywała tylko jednego: że jej druga twarz wyjdzie jednak kiedyś na jaw. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Krdlewna Śmieszka na Zoomie



u niej i ojca (mieszkali również na Saskiej Kępie). Szpanowali, budzili zazdrość – mało kto miał wtedy prywatne auto, a Wiktor Osiecki woził nową żonę kabrioletem. „Ona w szalu, który rozwiewał wiatr, w ciemnych okularach, wyglądała jak prawdziwa gwiazda filmowa. Już w nowej rzeczywistości przekwalifikowała się na wróżkę. Widziałam ją wielokrotnie, jak na różnych bankietach miała swój namiot, w którym przepowiadała przyszłość, ustawiała się do niej



Wojciech Cejrowski
korespondencja
z USA

FABRICIO G.

Mamy na prerii takiego świra... To znaczy, mamy tu bardzo wielu, ale jeden wyróżnia się tym, że jest kompletnie zdrowy umysłowo, a mimo to świr. Inne nasze świry mają coś pod sufitem, co nadaje się do leczenia. No bo albo mają to z powodu przegrzanej słońcem czaszki, czyli da się leczyć, albo z powodu spędzania zbyt długich okresów na odludziu i w efekcie zaczynają gadać sami do siebie – to też daje się leczyć. Mamy wreszcie grupę świrów pijących rzeczy nienadające się do picia... w sklepie było kolorowe, a potem – przefiltrowane przez skarpetę – nabiera koloru normalnej tequili, ale tequila nie jest. Kopie tak jak oryginał, ale jednocześnie, gdy trafi do mózgu, to za każde kopnięcie „pobiera opłaty dodatkowe”, których normalna tequila nie pobiera. No i potem taki hobo, pijący tzw. soczek, potrafi opowiadać do gazety, że był świadkiem lądowania UFO, a gdyby go wziąć na wariograf, to wariograf potwierdzi, bo... hobo widział UFO naprawdę, tyle że powstało w kosmosie jego mózgu, a nie w tym zewnętrznym. To też zdecydowanie daje się leczyć, choć nie jest łatwe w leczeniu.

Natomiast ten świr, o którym zaraz opowiem, do psychiatry się nie nadaje, bo jest zupełnie zdrowy, a jedynie wybrał sobie taki styl bycia, który czyni go świrem. Posłuchajcie... Przed naszą knajpą na prerii zawsze stoi taxi. Nie jest oznakowane, bo nie musi być – wszyscy wiedzą, że to taxi. Kierowca nie poparzył sobie mózgu w upale, nie mieszka samotnie na odludziu, nie pije, lecz

po prostu z własnego wyboru codziennie jest kimś innym. Nawet ubrania wciąż dobiera nowe do nowego wcielenia, a stare rozdaje biednym, bo już niepotrzebne. Widziałem go kiedyś w szkockiej spódniczce, widziałem jako zakonnik, kucharza, żołnierza obcej armii.

Wsiadasz do jego taksówki, a on ci zaczyna opowiadać historię swojego życia i to jest za każdym razem inny życiorys. Ja go poznałem jako Fabricio. Tak mi powiedział – Fabricio Gonzales – i dołożył do tego opowieść o mamusi Włoszce i ojcu z Meksyku. Ale... wobec innego klienta mój Fabricio był włoskim śpiewakiem z lat 80. o pseudonimie Drupi i potrafił zaśpiewać stosowne przeboje. Sprawdziłem w sieci i się zgadzały. Przejrzałem życiorys piosenkarza i dowiedziałem się, że „Drupi to najlepszy hydraulik wśród śpiewaków i najlepszy piosenkarz wśród hydraulików”, bo zanim zrobił karierę na estradzie, zarabiał jako hydraulik. Zapropnowałem więc chłopakom w knajpie, że sprawdzimy, jak dalece Fabricio przygotowuje te swoje wcielenia. Jeff zepsuł kran w kiblu, a potem zagadaliśmy taksówkarza tak:

– Te, Drupi...

– Słucham Panów uprzejmie? Zaśpiewać coś czy podwieźć do domeczku? A może podwieźć ze śpiewem?

– Nie, nie, panie Drupi.

Kran w kiblu zepsuty i tak sobie pomyśleliśmy: Czy pan potrafi naprawić?

– Ależ! Oczywiście, że potrafię. Zanim zająłem się karierą śpiewacza, byłem hydraulikiem, a potem mnie kariera zmęczyła, wyjechałem z Włoch i przesiedłem się

tutaj na taksówkę. Tu mnie nikt nie znał, nikt nie zaczepiał, zakochane panienki nie piszczły na mój widok i tak od lat żyję sobie spokojnie.

– A kran w kiblu?

– Naprawię Panom od ręki, czyli pronto.

Poszedł i naprawił. A potem powiedział „Ciao ragazzi” i wyszedł.

Drupi już nigdy do nas nie powrócił – następnego dnia Fabricio przyszedł jako Hindus w turbanie.

A czy ja już Państwu wspominałem, że Fabricio jest Murzynem?

Tę swoją cechę też zawsze potrafi jakoś ograć. I to akurat robi fantastycznie. Ten jeden moment przedstawienia jest zawsze bardzo śmieszny, niezależnie od aktualnego wcielenia, w jakim Fabricio przyszedł. Do lokalnej legendy przeszła scena, którą nam urządził, gdy wparował do knajpy w szkockiej spódniczce.

Siedzi, opowiada życiorys. Gdy już rozwinął skrzydła, objaśnił nam swoje godło klanowe i pochodzenie, wojenne zawołanie i dewizę, niebiesko-zieloną kratę na spódniczce oznaczającą, że jest Barclay, gdy wywiódł swój ród od XII w., wówczas zadaliśmy mu to jedno kluczowe pytanie:

– Słuchaj, ale jak to wszystko możliwe, skoro ty jesteś Murzyn?

– Jaki znowu Murzyn? – odpowiedział Fabricio szczerze zdziwiony, a napięcie w knajpie stężało jak w dobrym filmie przed wybuchem.

– No zwyczajny... Nasz pospolity amerykański Murzyn – powiedział Jeff, a myśmy czekali.

– Znaczy, co? Jestem czarny na gębie? Ja? Szkot ze sławnego klanu Barkleyów?!

– Czarny – dobił go Ed.

– Ludzie, podajcie mi lustro!

– Tam jest, naprzeciwno, za barem – wskazaliśmy usługę.

Fabricio uniósł się na swoim stołku, popatrzył w lustro, zaczął klepać po policzkach zaskoczony, a potem zerwał się, latał od stolika do stolika, rozradowany, jakby właśnie odkrył Amerykę i wrzeszczał entuzjastycznie:

– LUDZIE, JESTEM CZARNY, JESTEM MURZYN, LUDZIE, HURRA, JESTEM CZARNY... LEĆ PO ZASIŁEK.

Z tymi okrzykami wybiegł z knajpy i odjechał. Za tamten występ dostał owacje na stojąco i wiwaty na ulicy.

A czemu ja Państwu opowiadam tę dość zwyczajną historyjkę z mojej prerii? Chodzi o słowo „Murzyn”, którego właśnie zakazują stosować: Rada Języka Polskiego wystąpiła w roli lewicowego cenzora. Mieli być fachowcami od gramatyki i ortografii, i tyle! Mieli notować przypadki NATURALNEGO wyjścia z użycia pewnych słów staromodnych lub przestarzałych.

Lewactwo skasowało już wierszyk o Murzynku Bambo. Poseł lewicy M. Gdula chce zakazać „W pustyni i w puszczy” – potargało go? „Przeminęło z wiatrem” też im nie pasuje. Amazon w USA wycofuje pewne KLASYCZNE książki i kreskówki: Mark Twain, Dr. Suess, Speedy Gonzales. Kupujcie, zanim zniknie! Następni będą Kipling, Gościnnny (Asterix, Mikołajek)... ©

TYGODNIK LIŚCICKIEGO

**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA

**TYGODNIKA „DO RZECZY”
MIESIĘCZNIKA „HISTORIA DO RZECZY”**



~~855~~ zł

**W PREZENCIE
KSIĄŻKA**

WOJCIECH ROSZKOWSKI
„BUNT BARBARZYŃCÓW. 105 PYTAŃ
O PRZYSZŁOŚĆ NASZEJ CYWILIZACJI”
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

295,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 560 zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI

E-MAIL: prenumerata@pmppg.pl

TELEFON: 508 040 664, 539 953 631

INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 126e0fb246



WIZJONERZY

ZDROWIA 2021

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA
W POLSCE 2021–2023”

11 maja 2021 r.

NAGRODY DLA WYBITNYCH OSOBOWOŚCI
ŚWIATA MEDYCyny ORAZ SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA,
LUDZI, KTÓRZY ZMIENIAJĄ POLSKĄ MEDYCYNĘ
I OPIEKĘ NAD PACJENTAMI.

INFORMACJE I ZGŁOSZENIA DO NAGRODY NA:
dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY

